



S.I.N.  
SERIES  
*buy me*

LU  
NA



# FINAL PROPOSAL

W NIEWŁAŚCIWYM MIEJSCU,  
O WŁAŚCIWEJ PORZE...

# K. BROMBERG

# FINAL PROPOSAL

K. BROMBERG

PRZEŁOŻYŁA MONIKA MENDROCH-KARBOWSKA

LU  
NA





## ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Ford*

WIATR SMAGA GAŁĘZIE DRZEW, A NIEBO ROZŚWIETLA SIĘ jasnym blaskiem, gdy w oddali uderzają pioruny. Przez króciutką chwilę dostrzegam gniewny ocean poniżej ściany okien znajdującej się przede mną.

A potem ponownie zapada ciemność.

Podróż tutaj nie zmniejszyła zbytnio mojej wściekłości.

W połowie pusta szklanka whisky w mojej dłoni również nie.

Byłem pewien, że z każdą milą, która oddziela mnie od braci, ich uspokajających tonów i bzdurnych wyjaśnień, moja furia osłabnie... ale byłem *w błędzie*.

Czas sprawił jedynie, że moje myśli się rozszalały, a poczucie winy w trzewiach stało się silniejsze.

Nadal to widzę. Świeżo wydrukowana książka w twardej okładce leżąca na stole. Słowa na jej stronach zredagowane tak, żeby się rozeszła na pniu. Dla publiki z jej nienasyconym apetytem na jedną z trzech rzeczy: skandaliczne historie, przewodnik „od zera do milionera” albo smaczki przydatne do zszargania reputacji.

Szok i podziw zawsze dobrze się sprzedawały.

*Kto mógł przewidzieć, że ta lagodna biografia Maxtona Sharpe’a, mojego ojca, sprawi, że tak się poczuję?*

To, co było w książce, nie powinno mnie wkurzać. *Albo raczej to, czego w książce nie było.* I tak nie powinno mnie to wkurzać.

*Ale wkurza.*

Biorę kolejny łyk, czując palenie i ciepło alkoholu, i szepczę: *Po prostu Ford.*

*Pieprzyć to.*

Dźwięki sączą się do mojej głowy. Cichy szum rozmów klientów baru, którzy utknęli tu razem ze mną. Wycie wiatru na zewnątrz. Wibrowanie mojej komórki na ladzie, informujące o jednej pieprzonej wiadomości za drugą. *Moi bracia.* Trochę się spóźnili.

Teatralny.

Przewrażliwiony.

Śmieszny.

Czy nie tych słów użyli, żeby mnie opisać? Żeby wszystko unieważnić?

*Liczy się tylko to, co mówią ludzie, których kochasz.*

Echo słów mojej mamy w głowie.

Mój telefon wibruje od kolejnej wiadomości. Co? Czyżby odrzutowiec wylądował z powrotem w Nowym Jorku i nagle zaczęli się martwić, że jechałem w burzy? A gdzie była ich troska wcześniej?

Jak już powiedziałem, *pieprzyć to.*

Będę się dąsać, pijąc tego drinka.

I następnego.

I jeszcze jednego.

W końcu i tak teraz nigdzie nie mogę pójść.

Rozglądam się po niewielkim barze, bardziej niż pewien, że tłum tutaj jest niezwykle, a ci ludzie nie znaleźli się w nim ze względu na atmosferę. Jesteśmy po prostu jedynymi kretynami, którzy postanowili przejechać przez cyklon tropikalny i teraz czekamy, aż ktoś uprzętnie z drogi drzewo z korzeniami leżące jakąś milę stąd.

Bar jest częścią raczej nijakiego, niespektakularnego, pozbawionego wszystkiego zajazdu położonego na pasie plaży tuż za Hamptons. Miasto w połowie drogi pomiędzy tutaj a nigdzie. Przeciętne miejsce, które dobrze sytuowani ignorują po drodze na plac zabaw w Hamptons, a przedstawiciele klasy średniej zauważają i żałują, że nie stać ich na choćby dzień pobytu.

To miejsce... cholera, nawet nie pamiętam jego nazwy – tak zwykłej i nieciekawej, że mi umyka – jest przestarzałe i pospolite. Bordowa skóra i ciemne drewno wydają się motywem przewodnim. Tanie wyposażenie i pospolite, masowo produkowane obrazki są wystrojem, którego żadne wewnątrz już nie potrzebuje.

Ma potencjał.

Ale wydaje się, że właściciel postanawia nie inwestować pieniędzy, żeby ten potencjał wydobyć.

Nie żeby mnie to w ogóle obchodziło.

Może i nie ma wolnych miejsc na noc, ale jest sucho i w tej chwili wydaje się bezpiecznie przy szalejącej na zewnątrz burzy. Och, i mają alkohol. To jest zdecydowanie plus.

Po mojej prawej coś głośno uderza o podłogę, po czym słyszę sfrustrowane westchnięcie kobiety.

– Zamknęli drogi. Zamknęli, kurwa, drogi. Wierzysz w to?

Skoro nie mogę być w domu w Sag Harbor – dokąd zmierzałem – to powinienem móc pić w spokoju.

A Pani Gaduła, która postanawia usiąść obok mnie, nie jest specjalnie spokojna.

Nie mam dziś do tego nastroju.

– Ładne usta – mamrocze mężczyzna po mojej drugiej stronie.

– Halo? Słyszałeś mnie? – powtarza kobieta, wywołując moje ciężkie westchnięcie. – Zamknięte.

Utknęliśmy.

Ani z cisy z mojej strony, ani z komentarza mojego sąsiada najwidoczniej nie wywnioskowała, że nie obchodzi mnie, co do mnie mówi.

– Doskonała obserwacja – mówię do swojego drinka. – Utknęliśmy tu wszyscy z pewnego powodu i nie jest nim atmosfera.

– Nie wydaje mi się, żebym mówiła do ciebie.

– Dobrze. Świetnie. – Zachwycony, że nie muszę z nikim rozmawiać, kiwnięciem palca proszę barmana o kolejny drink, gdy nagle coś, co powiedziała, dociera do mnie z pełną siłą. – Chwila. Zamknęli drogi?



## ROZDZIAŁ DRUGI

*Ford*

ODWRACAM SIĘ W STRONĘ STOJĄCEJ OBOK NIEZNAJOMEJ o zachrypniętym głosie i pachnącej intrygującymi perfumami. Mój wzrok napotyka parę wielkich, szafirowych oczu, zwężonych, ale przepełnionych ciekawością. Jej usta są pełne i obecnie zaciśnięte, policzki zaróżowione od, jak zakładam, chłodu panującego na zewnątrz. Włosy w kolorze ciemnego blondu, upięte w swobodny kok, teraz są raczej wilgotne, tak jak jej kurtka.

Powiedzieć, że jest ładna, byłoby niedomówieniem. W rzeczywistości jest, na swój sposób, naprawdę zachwycająca.

To jednak ten rodzaj zachwyty, w którym łączą się po równo to, co słodkie, i to, co piękne. Bardziej przypomina dziewczynę z sąsiedztwa niż wyrafinowaną, seksowną kobietę, a uniesiona brew mówi mi, że ona wie, że na nią patrzę i oceniam.

I nie jest tym szczególnie zachwycona.

*A to pech.*

– Chandler? – mówi do telefonu, którego wcześniej nie zauważyłem przy jej uchu. – No. Muszę lecieć. Nie pytaj. Coś wymyślę. Jak zawsze. – Odkłada głośno komórkę na ladę i odwraca się do mnie z jeszcze cięższym westchnięciem niż moje. – Tak. To właśnie powiedziałam. O drogach. – Podkreśla końcówkę wyrazu, jak gdyby faktycznie chodziło o więcej niż jedną. – W każdą ze stron można pojechać około milę i to by było na tyle z podróżowania dzisiejszego wieczoru.

– Chryste.

– Przykro mi, że to ja musiałam ci o tym powiedzieć. – Wzrusza ramionami, wcale nie przepraszająco.

Macham obojętnie ręką.

– Co się stało?

– Hm... gwałtowne oberwanie chmury? Burza roku 2022? Ten sam powód, dla którego, jak zakładam, siedzisz tutaj w tym mniej-niż-atrakcyjnym barze tak jak ja?

– Kurwa mać – mamroczę.

– Och. Czyli to w porządku, gdy ty mówisz *kurwa*, ale gdy ja to robię, mamroczesz pod nosem, jak gdyby dama nie mogła bluźgać?

Śmieję się lekko, żeby zignorować rozbrzmiewający w mojej głowie alarm, który ostrzega: *ona jest szalona*. A nauczony doświadczeniem wiem, że trzeba go słuchać.

– Nie skomentowałem twojego bluźgania ani słowem, ani spojrzeniem, ani niczym innym. – Kręcę głową i pocieram dłonią szczękę. – Ja tylko... pomyślałem, że zamknięcie drogi jest tymczasowe, dopóki nie sprzątną z niej tego drzewa.

– Cóż, najwyraźniej kolejne upadło za tym pierwszym, a potem następne. – Wskazuje kciukiem za siebie. – Ocean przedziera się przez opaskę brzegową i zalewa drogę, więc uznano, że przejazd jest zbyt niebezpieczny.

– Śmiałybym się, ale to było do przewidzenia. – Przechesuję dłonią włosy. – Dzięki za przyniesienie złych wieści.

– Mogło być gorzej. To miejsce mogło być zamknięte. Mógł im się skończyć alkohol. To znaczy...

– Załapałem, dzięki.

– No weź – mówi, a potem szturcha mnie, jak gdybyśmy znali się dłużej niż chwilę. – Nie może być aż tak źle.

Posyłam jej uśmiech, który nie ma nic wspólnego z radością.

– Czyżbyś była różowym jednorożcem?

– I to mówi człowiek, który próbuje być gburowatym dupkiem tylko po to, żebym z nim nie gadała i mu nie przeszkadzała. – Ostentacyjnie zagląda mi do szklanki. – Whisky, prawda?

– Różowy jednorożec i do tego czyta w myślach? – Unoszę brwi i gwizdzę. – Jestem pod ogromnym wrażeniem.

Kłania się i posyła mi uśmiech, który rozświetla jej twarz. Jezus, myliłem się. Jest w niej też mnóstwo seksu.

– Dziękuję. To jedna z wielu moich imprezowych sztuczek.

– Jedna z twoich wielu? – pytam.

– Och, on *umie* się uśmiechać – mamrocze tuż ponad wrzawą, a jej oczy znowu napotykają mój wzrok. – Dobrze ci w nim. Powinieneś częściej go nosić.

Posyłam jej speszzone spojrzenie.

– Zapamiętam.

– Och, widzę. Odrobina słodczy i wracamy do zrzędlowości. – Siada i obraca się na stołku w moją stronę. Wraz z ruchem uderza mnie nuta jej perfum. Co za ironia, że pachną jak słońce zamknięte w butelce.

– Właśnie. – Kiwam krótko głową, jak gdybym był poirytowany jej osobą i tym, że mi przeszkadza, a byłem i powinienem być nadal, a jednak wchodzę w to, choć z łatwością mógłbym odejść od baru. – Widzisz? Próby rozśmieszenia mnie są bezowocne.

– Zapamiętam – powtarza moje słowa z uśmieszkiem. – I tak mam lepsze rzeczy do roboty, niż siedzieć tu i próbować cię rozśmieszać.

Moja kolej, żeby się obrócić w jej stronę. Zderzamy się kolanami.

– Czyżby?

– Owszem. – Zamawia kieliszek cabernet sauvignon i ponownie patrzy na mnie wyczekująco.

– A co takiego lepszego masz do roboty? – wskazuję na bar i, jak na zawołanie, ponownie słyszę grzmot przypieczętowujący, że tutaj utknęliśmy i ona nie może stąd wyjść.

Przechyla głowę na bok i wypycha językiem policzek.

– Sprawy.

– *Sprawy*? Bardzo szczegółowe.

– A może tak: sprawy, którymi nie chcę się zajmować? Sprawy, których unikam? Sprawy, którym próbuję nadać sens? Czy to już jest wystarczająco szczegółowe dla pana, Panie Zrzedo?

Jakiś błysk w jej oku mówi mi, że coś ukrywa.

– Jasne. W porządku. To już inna para kaloszy.

– Najwyraźniej będę potrzebować kaloszy, żeby się stąd wydostać, jeśli woda dalej ma się podnosić.

– I potrafi żartować.

– Zawsze. Dlaczego ty jesteś zrzędlivy? To codzienność? – Mruży oczy i przygląda mi się badawczo, przygryzając jednocześnie dolną wargę. – Hmm. Jednak nie przypięłabym ci takiej łatki. Humorzasty może. Albo myśliciel, ale tylko dla wywołania efektu. Ale na pewno nie nieustannie zrzędlivy.

– Dzięki za analizę psychologiczną. – Przesuwam pustą szklankę w stronę barmana, sygnalizując potrzebę kolejnej. – Nie prosiłem o nią.

– A jednak ten komentarz właśnie potwierdził moją diagnozę.

– Znasz się na wszystkim – mówię.

Jej uśmiech robi się coraz większy. Cholera. Trudno go nie odwzajemnić. Czy nie wiedziała, że moim planem było przyjść tutaj i rozmyślać? Medytować nad tą whisky i wmawiać sobie, że mam wszelkie prawo czuć się zraniony, wkurzony i wszystko pomiędzy?

– No to o co chodzi? Problemy z dziewczyną? Przejechało ci psa? Zabrakło paliwa?

Moją jedyną odpowiedzią jest pusty wzrok.

– O mój Boże. – Kładzie dłoń na sercu. – To twój pies, prawda? – Oczy zachodzą jej łzami, czego się kompletnie nie spodziewałem, a jej głos staje się coraz cichszy. – Tak mi przykro. – Wyciąga dłoń i ściska moje kolano.

Oto moje opcje.

Mogę pozwolić temu kłamstwu żyć i wykorzystać je, żeby nabrała do mnie sympatii i w końcu dała mi spokój. Kiwnąć głową, porzucić to miejsce i przenieść się na jedno z krzeseł pod oknem naprzeciwko.

*Zupełnie sam.*

Ale gdy otwieram usta, by to zrobić, nic z nich nie wychodzi. To znaczy... istnieje gorsze towarzystwo od tej wspaniałej kobiety, która wydaje się – jak na razie – mieć świetną osobowość.

– Wybacz, że cię rozczaruję, ale nie mam psa, który zginął.

Błyskawica uderza ponownie i wokół nas słychać kilka gwałtownych wdechów. Kobieta obok mnie kiwa głową, prawie jak gdyby była mną rozczarowana, a ja nie jestem pewien dlaczego.

– Nigdy też nie twierdziłem, że w ogóle mam psa – kontynuuję. – To ty doszłaś do takich wniosków.

– Ale masz psa, prawda? – pyta, jakby to było bardzo ważne.

– A dlaczego to ma znaczenie?

– Bo jeśli masz psa, to to coś o tobie mówi.

– Co na przykład? – pytam, chociaż myślę tak samo.

Wzrusza ramionami.

– Że nie skupiasz się tylko na sobie. Że chcesz dzielić z kimś czas i przestrzeń. Że nie boisz się ubrudzić rąk... To znaczy zbieranie kup jest koniecznością.

– Co? – nagle wypluwam drinka.

– Nikt nie lubi ludzi, którzy nie chcą sprzątać kup po własnym psie.

– Zaskakujesz mnie na każdym kroku – mamroczę i wpatruję się w swoją szklankę, zanim przeniosę wzrok z powrotem na nią.

– Dobrze. Zaskoczenia to dobra rzecz. – Posyła mi uśmiech o mocy megawata.

*Kim jest ta kobieta i dlaczego nagle nie chcę, żeby przestała mówić?*

– Zatem? Pies? Brak psa? Co?

– Brak psa. – Unoszę ręce. – Tylko nie oceniaj. Kocham psy. Duże psy. Ale to jest minus mieszkania w mieście.

*I dlaczego mnie obchodzi, czy ona pomyśli o mnie inaczej po tej odpowiedzi?*

– W mieście?

– Na Manhattanie.

Unosi brwi, ale nie zdradza, jakie domysły wyraża jej mina.

– A dlaczego to wina miasta?

– Bo psy zasługują na podwórko, po którym mogłyby biegać, a moje mieszkanie w wieżowcu raczej na to nie pozwala.

– Są przecież profesjonalni wyprowadzacze psów.

– Jasne, ale spacer a podwórko do zabawy to dwie różne rzeczy. Skończyłaś już psie przesłuchanie?

Zaciska usta i ponownie patrzy na mnie w ten sposób, ale nie dzieli się swoimi myślami.

– Tak. Pewnie. Ale nadal... Och, rozumiem. Przeszkadzam ci w użalaniu się nad sobą – szepcze z delikatnym skinięciem głową, a potem ponownie zmienia temat tej chaotycznej rozmowy. – Moim zdaniem nie mogłeś wybrać na to lepszego wieczoru. To znaczy niczego tym nie osiągniesz, ale od czasu do czasu jest to potrzebne.

– Tak. Jasne. Coś w tym stylu.

Wiem, że następne pytanie, które zada, zabrzmi: *Co się stało?* Jest kobietą. I to bez wątplenia kobietą z bujną wyobraźnią.

Ale zamiast zachowywać się w przewidywalny sposób, schodzi ze stołka i rozgląda się dokoła, po czym rusza na drugą stronę baru. Patrząc, jak bierze coś do ręki, a następnie wraca i stawia między nami drewnianą miskę – która wygląda jak z lat siedemdziesiątych.

*Alarm ostrzegający o pierścionku zaręczynowym.*

Jak mogłem nie zauważyć tego raczej sporego pierścionka z diamentem na jej lewej dłoni? I dlaczego jego widok mnie dziwi?

– Jakiś problem? – pyta.

Kręcąc przecząco głową i zdaję sobie sprawę, że wpatruję się w miskę, którą właśnie przyniosła, zastanawiając jednocześnie, jaki jest jej narzeczony *kutas* lub mąż *kutas*.

– Co to?

– Przekąskowy miks. Proszę, powiedz, że jadłeś takie w dzieciństwie.

W ramach odpowiedzi przewracam tylko oczami.

– Na każdej takiej smutnej imprezie musi być coś do jedzenia. – Wkłada do ust garść zawartości miski. – I alkohol. – A potem upija łyk wina. – I... ktoś, kto będzie ci współczuł i powie, że masz stuprocentową rację, nawet jeśli ta osoba uważa, że się mylisz. – Podnosi rękę. – Zatem to jest mój biedny wkład, bo to miejsce chyba nie ma nic lepszego do zaoferowania. – Ponownie siada na stołku. – Powinieneś się czuć zaszczycony.

– Jestem. – Po raz pierwszy szczerze się uśmiecham. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek starał się tak bardzo jak ona poprawić humor obcej osobie. – Naprawdę.

– To miejsce nie może ci zaoferować wolnego pokoju ani niczego innego poza tą miską, w której dzisiejszego wieczoru grzebało już pewnie z dziesięć różnych rąk, ale ja mogę ci zaoferować moją wspaiałą osobowość i dyskretne ucho. – Uśmiecha się szeroko.

– I właśnie zjadłaś garść mieszanki zarazków – zauważam.

– A potem popiłam je winem, żeby alkohol zabił zarazki. Proste. – Bierze łyk wina, żeby podkreślić swoją teorię. – Dodatkowo dach wydaje się stabilny, a my jesteśmy w tej chwili susi.

– *W tej chwili* wydaje się właściwym określeniem.

Stuka kieliszkiem o moją szklankę.

– Zatem na zdrowie – mówi, a ponieważ ja tylko na nią patrzę, kontynuuje: – No, co? Jestem typem dziewczyny, której szklanka jest zawsze w połowie pełna.

– Najwyraźniej.

Wyciąga dłoń.

– Elle. Właściwie to Ellery. Miło cię poznać.

– Ellery? Nietypowo.

Chichocze.

– Ha. Ciekawy sposób na to, by powiedzieć, że imię jest interesujące, dziwne, znaczące. – Wzrusza ramionami, jak gdyby już to wszystko słyszała. – To nazwisko rodowe. Seleeery Elleeery – udaje dziecięcą przedrzeźniankę, a potem zaczyna się śmiać. – Boże, jak ja tego nienawidziłam, gdy byłam młodsza. Ale teraz już mi tak bardzo nie przeszkadza.

– Ford. Właściwie to Fordham. – Ściskam jej dłoń. – Nazwano mnie tak na cześć uniwersytetu albo firmy motoryzacyjnej, nie mamy zatem o czym rozmawiać, *Selery Ellery*.

– W takim razie w kwestii imion jesteśmy kwita.

– Owszem – mamroczę.

Oboje spuszcza wzrok i orientujemy się, że dalej wymieniamy uścisk dłoni, szybko więc cofamy ręce, po czym zwracamy oczy w stronę okna, żeby przerwać tę nagłą niezręczność, która się między nami pojawiła.

Niezręczność doprawiona zauroczeniem.

*Cholera.* Nie spodziewałem się tego.

Przesuwam dłonią po włosach i prześlizguję wzrokiem w jej stronę. Uśmiecha się łagodnie, pa-



trząc na przedstawienie, jakie Matka Natura urządza na zewnątrz – ujęcia zniszczenia podświetlone błyskawicami – i po raz pierwszy zauważam malutki dołeczek na jej policzku.

Oczywiście, że musi go mieć. Zabawna. Bezczelna. Cudowna. I ma dołeczek.

*A ja mam taką słabość do dołeczków.*

– Dokąd zatem zmierzałeś, zanim Fred ci przeszkodził? – pyta, gdy rozbłyski na chwilę ustają.

– Fred? – pytam, odwracając od niej wzrok.

– Burza tropikalna, w której utknęliśmy.

– Racja. Sorry. *Ten* Fred.

Rozglądam się. Niektórzy ludzie zasnęli. Inni gapią się w telefony. Kilku rozmawia z nieznajomymi, którzy siedzą obok. Ale gdy przenoszę wzrok z powrotem na nią, odkrywam, że najwyraźniej teraz jej kolej, by mnie obserwować. Moje dłonie. Moje przedramiona z podwiniętymi rękawami. Moja klatka piersiowa i dwa rozpięte górne guziki koszuli. Wzdryga się, gdy jej wzrok napotyka mój i wie, że została złapana.

Teraz też jesteśmy kwita.

– Dzięki za nic, Fred – rzucam złośliwie.

– Amen – przytakuje szeptem, nagle zajęta wycieraniem serwetką mokrych śladów po naszych kieliszkach.

Denerwuje się przy mnie. To ciekawe. A może zaniepokoił ją fakt, że złapałem ją na tym, jak mi się przygląda, chociaż ma pierścionek na palcu?

– No więc... dokąd się wybierałeś, Fordzie-nazwany-na-cześć-universytetu? Czy to ma jakiś związek z tym użalaniem się nad sobą?

– Sag Harbor – mówię szorstko.

– Nieźle. – Unosi brwi, ale zaraz je opuszcza, gdy zauważa, że nie podzielam jej entuzjazmu. – Jednak nie? – Ponieważ nie odpowiadam, kontynuuje: – Musisz wybrać, jedno albo drugie. Obojętność nie wchodzi w grę, gdy urządzasz imprezę użalania się nad sobą. Ale Sag Harbor. No. Jesteś blisko, a jednak tak daleko przy tej pogodzie.

– Jestem. – Kiwam głową, ale nie mówię nic więcej. Ellery sączy wino i wdaje się w gadkę szmatkę z barmanem.

Obserwuję ich interakcję. Dziewczyna jest z całą pewnością seksowna. Bezdyskusyjnie cudowna. I ten szczyry uśmiech, który rozświetla jej twarz, gdy się na niej pojawia.

*Ona jest zajęta, Ford.*

A rozmiar kamienia na jej palcu mówi, że jej facet chce, by wszyscy wiedzieli, że tak jest. *Zrozumiale.*

Jest późno. Whisky zaczyna uderzać mi do głowy. I ani trochę nie zbliżyłem się do odkrycia, dlaczego dzisiejszy wieczór i wszystko, co wydarzyło się wcześniej, tak mocno mnie uderzyło. Upijam kolejny łyk drinka, po czym na chwilę zamykam oczy.

*Mógłbym jej kupić większy diament.*

*Jezu. Skąd, u diabła, wzięła się ta myśl?*

Kręcę głową i tłumię śmiech. To alkohol. Bez dwóch zdań.

Ale gdy spoglądam na Ellery, jej niebieskie oczy lśnią z ciekawości, a brwi marszczą się, jak gdyby chciały mnie zapytać, z czego się śmiałem.

– Rozmyślałem, czy powinienem się przetrzucić na piwo – mówię, jak gdyby to tłumaczyło moją przypadkową wesołość.

– Piwo?

– Tak. To będzie długa noc i chyba powinienem zmienić tempo.

– To wszystko zależy od tego, do czego chcesz je dostosować. – Wybucha głębokim śmiechem, a mój umysł wędruje w kilka miejsc i wszystkie są związane z nią. Krzyżuje ręce na piersiach. – Dobra, wyrzuc to z siebie. Tę historię. Winowajcę, który stoi za twoim użalaniem się. Powiedz mi, kogo powinienam nienawidzić za to, że cię zasmucił.

Wszedłem tutaj, nie chcąc z nikim rozmawiać, a teraz, z jakiegoś powodu, ona sprawiła, że już mi to tak nie przeszkadza. Moje pierwotne wahanie minęło.

– To w zasadzie dość głupie...

– Widać, że cię martwi, więc nie powiedziałabym, że jest głupie.

– Pokłóciłem się z braćmi – mówię w końcu.

– Okej. Zatem sprawy rodzinne. To zawsze jest trudne. O co poszło?

– To długa historia.

Rozgląda się przez chwilę po pomieszczeniu, po czym wzrusza ramionami i ponownie spogląda mi w oczy.

– Chyba mamy na to czas, skoro w zasadzie utknęliśmy tu na jakąś chwilę. Czy to ma coś wspólnego z tym?

– Z czym? – pytam, patrząc tam, gdzie wskazuje.

– Z muszką, która wisi na twojej szyi. Jestem bardzo ciekawa, co za idiota decyduje się na elegancką imprezę w tak potworną pogodę. – Udaje, że drży, ale jej uśmiech jest figlarny.

Prycham.

– Ja. Moi bracia. My jesteśmy tymi idiotami.

– Och. *Ups*. Powinam sobie zatkać usta stopą.

– Idiota to zdecydowanie najmilsza z obelg, jakie dzisiaj usłyszałem... więc przyjmuję.

– Aż tak źle?

Kiwam głową.

– Coś w tym stylu.

Ktoś śmieje się głośno po drugiej stronie pomieszczenia, podczas gdy ona bierze kolejną garść przekąsek. Przyglądam się jej, gdy wyjmuje wszystkie precele i kładzie je obok miski. Dziwne.

Napotyka mój wzrok i mruga.

– Żyję na krawędzi.

Wybucham śmiechem.

– Burza tropikalna i zarazki jednej nocy.

– Zapomniałaś wspomnieć o zaangażowaniu się w relację z tajemniczym i zrzędlwym mężczyzną.

– Tak. To też. – Z jakiegoś powodu napięcie w moich barkach maleje z każdym komentarzem, który wymieniamy.

– Muszka... – Wykrzywia usta i robi minę, jakby chciała obstawiać. – Za wcześnie na bożonarodzeniową imprezę...

– Biorąc pod uwagę, że jest kwiecień, idziesz dobrym tropem.

– Zgaduję zatem, że to bankiet z nagrodami dla przełożonych, czyli *dla was*, jeśli to ty i twoi bracia jesteście jego organizatorami... Nie wiem, może zbiórka albo jeszcze coś innego... Och. Mam! To było przyjęcie z okazji premiery filmu. – Przechyliła głowę na bok. – Tylko nie mów, że jesteś sławnym aktorem, który ukrywa się w tym sennym miasteczku nad morzem i ma zamiar kupić ten zajazd, żeby tchnąć w niego nowe życie? Planujesz zrobić z tej miejscówki na przykład pensjonat dla elit, bo ty i twoi przyjaciele macie dość tego, że nigdzie na wakacjach nie możecie zachować prywatności.

– Czy ktoś ci powiedział, że masz bujną wyobraźnię?

Jej uśmiech staje się szerszy.

– Kolejna z wielu moich imprezowych sztuczek.

– Najwyraźniej.

– Czy twoje milczenie oznacza, że tak naprawdę jesteś Chrisem Hemsworthem w przebraniu?

– Cii. Nie zdradzaj mnie.

– Twoja tajemnica jest u mnie bezpieczna – szepcze. – Twój amerykański akcent jest doskonały.

Więc...

– Zbiórka charytatywna.

– Wiedziałam! – Uderza pięścią w blat.

– To coroczna elegancka impreza, którą organizujemy – mówię, myśląc o gali na rzecz osób z chorobą Alzheimera, którą urządzamy, żeby uczcić pamięć naszego zmarłego ojca. – I tak, zrobiliśmy ją pomimo nadchodzącej burzy, bo to tradycja i... cholera wie po co jeszcze.

– Bo jesteście mężczyznami i nikt, nawet Matka Natura, nie będzie wam stawiać ograniczeń!

– Teraz, gdy wyszło to z twoich ust, brzmi dość nedorzecznie. Ale tak. Coś w tym stylu.

Kiwa głową i zerka na mnie znad brzegu swojego kieliszka.

– I wasza kłótnia poszła o co? Nie mieli chrupiących tartinek czy któryś z twoich braci podrywał twoją dziewczynę i to cię wkurzyło? Albo... – kręci głowę, jakby chciała jeszcze zadać pytanie. – Coś jeszcze bardziej skandalicznego? No już, dawaj te soczyste szczegóły.

– Nic soczystego ani skandalicznego. Przykro mi, że cię rozczarowałem. – Uśmiecham się. Wyobrażenie sobie, że moi bracia mogliby spuścić wzrok ze swoich żon na tyle długo, by spojrzeć na kogoś innego, jest komiczne. Gdyby istniał obrazek przedstawiający kogoś, kto dosłownie połyka haczyk, to byłoby na nim oni.

Poza tym może i jesteście trojaczkami, ale nasz gust w kwestii kobiet diametralnie się różni. Ja jestem... *Po prostu Ford.*

Jeżę się na tę myśl i mój gniew rozpała się na nowo.

Jak mam jej powiedzieć, że moje zdenerwowanie ma związek z poczuciem bycia niewidzialnym, i jednocześnie nie wyjść na cipę? Że moje nazwisko definiuje to, kim jestem i jak ludzie mnie postrzegają. I że choć zawsze tak było, to nie zdawałem sobie sprawy z tego, że mnie również zagłusza?

– My po prostu... mieliśmy różne zdania. Pojawiło się coś niespodziewanego i ja postrzegałem to inaczej niż oni. Padły pewne słowa i nie byłem zachwycony tym, co zostało powiedziane.

– To znaczy, że jesteście blisko.

– A nie wszystkie rodzeństwa są?

Prycha i jest w tym zdecydowana drwina, która wzbudza moją ciekawość.

– Oczywiście, że są – mówi, ale to nie brzmi przekonująco.

– No więc tak, jesteście blisko.

Chwila, czy częściowo dlatego mnie to tak wkurzyło? Że nie mieli pojęcia, o co mi chodzi? Że, choć zwykle potrafimy kończyć za siebie zdania, a nawet myśli, tym razem nie zrozumieli, że wcale nie zraniło mnie to, co *było* powiedziane, ale to, co *nie zostało* powiedziane?

Kiwa głową, jak gdyby rozumiała.

– Okej, czyli w tej chwili nie lubimy twoich braci, tak? Jesteśmy na nich tak wkurzeni, że znowu zamówimy kolejkę?

Kiwam głową.

– Brzmi nieźle.

– A ilu ich masz? Jakie mają imiona? – pyta. – Bo wiesz, trudno wbijać szpilki w laleczki voodoo domowej roboty, jeśli nie są spersonalizowane.

Przy tej dziewczynie czuję się tak swobodnie, że nieomal jej odpowiadam i to bez wahania.

Ale jestem Sharpe i przez lata nauczyłem się, że gdy ludzie się o tym dowiadują, nie zawsze reagują pozytywnie. Zwłaszcza biorąc pod uwagę rozgłos, który uderzy w moją rodzinę, gdy tylko ukaże się ta biografia. Ostatnim, czego mi trzeba, jest podawanie jej imion moich braci, żeby mogła dodać dwa do dwóch i spieniężyć historię o jednym z nich pogrążonym w żałobie i dąsającym się w jakimś zajęz-dzie.

– Jest ich dwóch – mówię z machnięciem ręki, nie dodając, że jesteście kimś więcej niż tylko braćmi, bo identycznymi trojaczkami. – Ich imiona są nieistotne. Po prostu... czy kiedykolwiek zauważyłaś, jak inni patrzą na ciebie albo cię postrzegają, i to cię trochę odrzucało?

Wyjmuje kolejne precle z mieszanki i kładzie je na stole na stosiku.

– W pewnym sensie tak. To mi działa na nerwy. Czasami jest otrzeźwiający. I najczęściej mi nie schlebia.

*Zwłaszcza gdy jest to obserwacja twojego ojca.*

Odchrząkuję, bo czuję nagły przypływ emocji.

– Trafiłaś w sedno.

– Przykro mi.

Czystość w tej prostej odpowiedzi daje mi do myślenia. Słyszę w niej szczerą, tak rzadką w obecnych czasach, zwłaszcza od zupełnie obcej osoby.

Wyraz jej oczu jest równie szczerzy.

I musi to być mieszanka późnej godziny, trzeciej szklanki whisky i cholernych wydarzeń tego wieczoru, ale Jezu... nienawidzę tej nagłej presji w klatce i muszę się przejść.

Wstaję gwałtownie ze stołka, a oczy Ellery rozszerzają się ze zdumienia na mój nagły ruch.

– Co się...

– Proszę o uwagę! – krzyczy w tym samym momencie kobieta stojąca niedaleko wejścia do baru.

Ludzie szurają nogami, ale milkną i zwracają twarze w stronę mile uśmiechniętej kobiety, która bacznie wszystkich obserwuje.

– Posłuchajcie!!! – ryczy nasz barman, żeby zwrócić uwagę tych klientów, którzy są zbyt zajęci rozmową, aby na nią spojrzeć.

– Cześć. Mam na imię Amy – zaczyna, gdy w pomieszczeniu zapada cisza. – Jak niektórzy z was wiedzą, władze poinformowały właśnie, że zamknęli na noc drogę w obu kierunkach. Jeśli ktoś tego jeszcze nie słyszał, *ups*, przykro mi, że jestem posłańcem. Zatem tak, to oznacza, że utknęliście tutaj na noc, jeśli nie załatwiliście sobie pokoju w jednym z hoteli kawałek dalej. My też mamy wszystko zajęte. – Przez pomieszczenie przetacza się głośny jęk. – Dobra nowina jest taka – kontynuuje Amy – że możecie

zostać tutaj. To nie Ritz, ale jest sucho, mamy wygodne krzesła, a pokaz świateł na zewnątrz jest widowiskowy. – Uśmiecha się, wskazując na okna. – Kolejna zła wiadomość? Na mocy prawa stanowego musieliśmy przestać sprzedawać alkohol jakieś czterdzieści minut temu. Zamkniemy więc bar...

– Poważnie? – bełkocze jakiś mężczyzna z drugiego końca pomieszczenia, znad stołu, na którym stoi mnóstwo pustych kieliszków. Barman posyła Amy spojrzenie, które mówi, że poradzi sobie z nim, jeśli będzie musiał.

– Poważnie – powtarza kobieta z uśmiechem pełnym zrozumienia. Podnosi palec. – Ale to nie znaczy, że nie możemy sprzedać wam butelki waszej ulubionej trucizny *teraz*... albo tego, co z niej zostało, żebyście pili ją sobie spokojnie w ciągu nocy. – W pomieszczeniu rozlega się kilka okrzyków. – Pomyślałam, że to może kogoś uszczęśliwić.

Rozlega się klaskanie w ramach pokazu naszego smutnego stanu desperacji, a Amy dyga.

Ellery nachyla się i ten słoneczny zapach znowu jest wyczuwalny, tym razem zmieszany z jej szamponem.

– Chyba zatem pora podjąć decyzję, Ford – szepcze.

– Jaką?

– Whisky czy piwo?



## ROZDZIAŁ TRZECI

*Ford*

*Cztery godziny wcześniej*

CAŁY WIECZÓR MNIE TO ZŻERA.

To kłamstwo.

Zżera mnie, odkąd przeczytałem rozdział dwudziesty drugi. Ten zatytułowany „Ojcostwo”. Rozdział, w którym mój ojciec pisze o swoich trzech chłopakach. Jego największym osiągnięciu. Opisał w szczegółach problemy z Callahanem i to, jaki był z niego dumny, i to, że Ledger był uosobieniem jego samego, urodzony, by wejść w jego zawodowe buty, gdy ojciec postanowi je zwolnić.

Akapit po akapicie poświęcone moim braciom i ich miejscu w rodzinie Sharpe’ów. W zasadzie to we wszechświecie Sharpe’ów.

– O co ci chodzi? – pyta Callahan, wchodząc do penthouse’u. Wszędzie jest syf – ubrania, żarcie, bagaże, walizki z kosmetykami ich żon – który zrobiliśmy, wpadając tu i wypadając w ramach przygotowań na wieczór. On się tym nie przejmuje. Podnosi jakiś cukierek, wkłada go do ust i opada na kanapę. – Wziąłeś kij wyjęty z dupy Ledgera i wsadziłeś do swojej?

– Callahan. On był dla mnie największym wyzwaniem. – Maxton mówi to z uśmiechem. Ale za tym kryje się poczucie dumy. Miłość. Poczucie, że jedyną rzeczą, która mogłaby tego twardziela rzucić na kolana, byli jego synowie. – Callahan jest uparty jak osioł, ale, cholera, naprawdę mnie zaskakuje. Chowa swoją intuicję i talent do podejmowania właściwych decyzji za zuchwałym zachowaniem. Jakby czuł się niekomfortowo, będąc tak dobrym w tym, co przyjdzie mu do głowy. W tym sensie przypomina swoją mamę. Przebywanie w jego obecności jest jak bycie blisko niej.

– Odwal się, Callahan.

Niewłaściwa reakcja.

W przypadku mojego braciszka to jak rzucanie przynęty rekinowi. Praktycznie widzę, jak nadstawia uszu na te słowa.

I może chcę, żeby tak było. Może chcę, żeby mnie w to wciągnął, dzięki czemu dostanę bójkę, do której ciągnie mnie przez cały wieczór.

– Uuu – mówi z gwizdnięciem.

– Co to za dźwięk? – pyta Ledger, który wchodzi do pokoju. Patrzy na Callahana, potem na mnie, potem znów na Callahana.

I dlatego właśnie bycie trojczkami oznacza ból dupy. Plusem jest to, że intuicyjnie wyczuwamy, co się u nas dzieje... Minusem – sytuacja, w której nie chcesz, żeby ktokolwiek wiedział.

A teraz... cholera, teraz nie wiem, czego, do diabła, chcę.

– Twój kij? Jest teraz w jego dupie – wyjaśnia Callahan.

– Odpieprz się – mamroczę.

I teraz Ledger jest zaintrygowany.

– *Mój najstarszy. Ledger Maxtorn Sharpe. – Imiennik zostaje wspomniany z najłagodniejszym uśmiechem i błyskiem podziwu w oczach. – Gdy na niego patrzę, widzę młodszą wersję siebie, tylko dziesięć razy lepszą. Jeśli pojawia się przeszkoda, on się z nią mierzy. Jeśli napotyka wyzwanie, nie może się doczekać, żeby udowodnić, że potrafi więcej. Jest potężnym przeciwnikiem we wszystkich sprawach biznesowych.*

– *Myśli pan, że ludzie tak pana postrzegają? – pytam i od człowieka naprzeciwko dostaję to, czego się spodziewałem. Powoli pojawiający się uśmiech pogłębia linie wyryte na jego twarzy. Linie, których historie chciałbym poznać, ale mam poczucie, że równałoby się to powstawaniem jednej książki za drugą wypełnionych różnymi opowieściami.*

– *Nie obchodzi mnie, jak ludzie mnie postrzegają. Nigdy nie obchodziło. Myślę, że pod tym względem Ledger jest podobny. Bardziej zacięty, niż ja byłem, jeśli to można sobie wyobrazić, ale okazuje też więcej serca ode mnie. Jest łatwiej dostępny, podczas gdy ja tak bardzo starałem się nie być Maxtonem Sharpe'em z Bronxu, że nie obchodziło mnie, komu nadepnałem na odcisk, byle dostać to, co chciałem.*

– *I co to daje?*

– *Czyni go lepszym człowiekiem, niż ja byłem. Niż jestem. Z tym wiążą się większe oczekiwania, ale wątpię, że mężczyzna, na którego wyrósł Ledger, będzie miał jakiegokolwiek problemy z ich spełnieniem.*

– Najpierw unikasz alkoholu, a teraz taka postawa – Ledger, urodzony dyplomata, mówi to, usadawiając się na końcu kanapy, po przekątnej do mnie. – Co się dzieje? – słyszę jego pytanie, ale widzę tylko stronę za cholerną stroną pochwał skierowanych pod jego adresem. Najlepszy w klasie w Wharton. Nagroda Młodego Przedsiębiorcy. Historia po historii o tym, że jest dokładnie taki, jak człowiek, którego ubóstwiał.

Człowiek, którego ja również ubóstwiałem, ale teraz czuję, jakbym był dla niego niewidzialny.

– Ford? – ponawia pytanie.

I jakby na sygnał Callahan przesuwają się na kanapie, a wówczas coś uderza z głuchym łoskotem o podłogę. Nachyla się i tłumi śmiech.

– Wygląda, że tata też chce dołączyć do tej rozmowy – żartuje, gdy podnosi egzemplarz próbny książki i kładzie go na stoliku. – Wiesz, jak nienawidził naszych kłótni.

W pokoju zapada cisza, podczas gdy my wpatrujemy się w okładkę książki. Czarno-biała fotografia naszego ojca. Nie widać na niej koloru jego oczu, ale ich wyrazistość – zarówno pod względem jakości zdjęcia, jak i dokładności tęczy – jest fascynująca. Ma spokojny wyraz twarzy, a jego usta, identyczne z naszymi, układają się w prostą kreskę.

To jest zachwycające ujęcie człowieka, którego wszyscy kochaliśmy. Zdjęcie, które w pewien sposób odzwierciedla intensywność mężczyzny, z którym dorastaliśmy, zestawioną z miękkim sercem człowieka zbliżającego się do końca swojego życia.

Aż zaciska mi się gardło, gdy próbuję przetworzyć emocje wywołane tą okładką i tymi trzystoma trzynastoma stronami za nią.

Exposé jego życia. Chwile z jego dzieciństwa, które zaważyły na jego życiu. Bieda. Ojciec, który uciekł. Matka, która walczyła i bez przerwy pracowała. Jego pragnienie, by nigdy nie znaleźć się w takim położeniu, gdy dorośnie. Przedzieranie się przez college, którego ostatecznie nie skończył, bo zabrakło funduszy.

Historia o tym, jak zapoczątkował swoje imperium jako pomocnik kelnera. Jak nawiązywał przyjaźnie z właściwymi gośćmi, którzy później w niego uwierzyli i go wsparli. Jak potem zostali przez niego

sowiec wynagrodzeni, gdy osiągnął sukces, o którym większość tylko marzy.

Biografia mówi o miłości jego życia, naszej mamie. O jego pierwszych myślach, gdy ją spotkał. O jego ostatnich myślach, gdy musiał pochować ją w tak młodym wieku. I o bólu serca, który nadal czuł.

Są w niej rozdziały o ciemnych interesach i ludziach, którzy próbowali go sabotować. O jego wygłupach i zabobonach. O jego filozofiach w biznesie i życiu.

Gros z tego wiedziałem. O niektórych rzeczach przeczytałem po raz pierwszy i zawsze będę wdzięczny, że mogę zachować w pamięci więcej prawdy o człowieku, który przez większość naszego życia był dla nas całym światem.

I którego teraz nie ma.

Tym, czego się nie spodziewałem, była ciekawość – a nawet nadzieja – na to, jak postrzeżał mnie jako mężczyznę. I gdy przeczytałem tę część o Callahanie, a potem jego myśli o Ledgerze, wstrzymałem oddech i przewróciłem stronę.

– *Ma pan więc Callahana buntownika i Ledgera o osobowości typu A, proszę nam teraz powiedzieć o swoim środkowym synu, Fordhamie.*

*Oczy Maxtona smutniej, a uśmiech gaśnie na jego ustach.*

– *Moja żona skończyła Uniwersytet Fordham. To właśnie tam się poznaliśmy. Miałem dodatkową pracę jako doręczyciel kwiatów i przypadkiem na nią wpadłem. Od razu wyjąłem karteczkę z bukietu i wręczyłem jej kwiaty. – Uśmiecha się szerzej. – Stąd Ford otrzymał swoje imię. Ukłon w stronę dnia, w którym wiedziałem, że poślubię Carly.*

*Ten imponujący mężczyzna opiera się o fotel i wygląda za okno swojej sięgającej nieba wieży. Pod nim miasto pędzi na złamanie karku, a ja się zastanawiam, czy brakuje mu tego tempa, czy raczej docenia swoje obecne niespieszne życie.*

*Czekam, aż zbierze myśli. Mija chwila. Wspomnienia wracają po cichu, a emocje z nimi związane odbijają się w wyrazie jego twarzy.*

– *Ford jest... rozjemcą w naszej rodzinie. Zachowuje równowagę w naszym, czasami burzliwym, życiu. On jest... Po prostu Fordem.*

*Po prostu Fordem.*

Nie Fordhamem Rhysem Sharpe'em, drugim w klasie w Wharton, zaledwie ułamek niżej od brata. Nie Fordem, synem Maxtona i Carly, który trzymał rodzinę razem po śmierci matki. Nie Fordem, mężczyzną, który usprawnił pewne kwestie hierarchii służbowej w S.I.N., dzięki czemu firma stała się efektywniejsza i skuteczniejsza. Nie *moim synem*, tym, który dzwonił co wieczór, żeby sprawdzić, czy nic mi nie jest.

*Pieprzonym Po prostu Fordem.*

I tylko o tym potrafiłem myśleć dzisiaj wieczorem, gdy moi bracia i ich żony, Sutton i Asher, stali przed całą chmarą ludzi z szerokimi uśmiechami, serdecznie ich witając.

Jak oni mnie widzą? Czy dla nich też jestem niewidzialny? Czy jestem *Po prostu Fordem*, środkowym synem, o którym często zapominają i – *co ciekawe* – niewiele o nim wiedzą?

– Chodzi o tę książkę, prawda? – pyta Ledger, odrywając mnie od moich myśli. – Jej lektura przypomniała nam wszystkim, że za nim tęsknimy. Czy dla was było to tak samo trudne jak dla mnie?

– Dłatego. – Kiwam głową. – I z innych powodów.

Drink, o którym myślałem odrzucałem przez cały wieczór, wzywa mnie teraz po imieniu. Ale nie zbliżam się do lodówki wypełnionej piwem. Myślę, że gdy zacznę, nie będę umiał skończyć. Wytrzymuję raczej wzrok Callahana.

– To nic nie znaczy – w końcu mruczy cicho, jak gdyby ostrzegawczo.

*Co, do cholery?*

– Co? – pyta Ledger, podczas gdy ja się zastanawiam, czy komentarz Callahana oznacza, że gdy przeczytał książkę, też to zauważył. Albo mówiąc dokładniej, moją nieobecność w niej.

Zaskakujące, jeśli tak jest. Mój brat, który zwykle myśli tylko o sobie, zauważył, podczas gdy ten, który zwykle zwraca uwagę na wszystkie szczegóły, nie.

*Ale po co to ostrzeżenie?*

– Boże broń, *Po prostu Ford* tylko pogorszy sprawę, prawda Cal? – pytam.

– Czy ktoś może mnie oświecić, dlaczego wy dwaj gapiecie się na siebie, podczas gdy ja stoję tu w kompletnych ciemnościach?

– Po prostu Ford – powtarzam.

– Co z nim? Zapomniałeś, jak masz na imię? Czego nie rozumiem? – pyta Ledger, ale wiem, w której chwili to do niego dociera, bo ręka mu słabnie, gdy unosi drinka do ust.

– Tak jak powiedziałem, to nic nie znaczy. Jak we wszystkich książkach, nie wszystko zostaje zawarte w ostatecznej wersji. Pewne treści się usuwa. Winword na pewno miał mnóstwo materiału, którego zwyczajnie nie mógł wykorzystać – mówi Callahan, nawiązując do autora.

– Usuwa? Masz na myśli te nudne części, które nikogo nie ciekawią, tak? Bo dlaczego miałby wykorzystać cokolwiek, co tata powiedział o mnie, gdy może pisać o złym chłopaku Callahanie i protegowanym Ledgerze?

*Bo nie miał na mój temat do powiedzenia nic na tyle wartościowego, by zawrzeć to w książce.*

No i proszę.

Większość rzeczy spływa po mnie jak po kaczce. Rzadko coś mnie dotyka emocjonalnie. Prawie nic. Ale świadomość, że mój ojciec miał o mnie tak złe zdanie, jest przygnębiająca. Ta presja, jaką czuję w klatce, jest dezorientująca. Ta potrzeba udowodnienia, że jestem kimś więcej niż *Po Prostu Cholernym Fordem* wprawia mnie w zakłopotanie.

– Pieprzenie – mówi Ledger.

– Pieprzenie? – krzyczę.

– A żebyś, cholera, wiedział, *pieprzenie* – mówi Ledger, wchodząc w moją przestrzeń. – Zapłaciłem cenę, o jakiej nie masz pojęcia, więc chrzanić ciebie i twoje durne komentarze.

Mięsień w jego szczęce pulsuje, a w oczach iskrzy furia, którą rzadko u niego widzę. Bardzo dobrze, bo ja też jestem wściekły.

– Ford – mówi Callahan, próbując uspokoić napięcie, które jak zwykle sam stwarza. – Jesteśmy dorosłymi, na których skierowane są kamery i o których fałszywe plotki są normą. Wszyscy wiemy, jak oni przekręcają słowa i robią sensację z gówna, żeby sprzedać kolejny egzemplarz. Tak samo jest z tym – wskazuje na książkę.

– Ale to były słowa taty! – krzyczę. – One nie zostały zmyślone!

– Jesteś śmieszny. – Ledger przewraca oczami. – Tata był z nas dumny. Nawet z ciebie...

– A gdyby role się odwróciły? Co gdyby...

– Gówno by mnie to obchodziło. Ciebie też nie powinno – mówi Callahan. – Przestań być takim cholernym wrażliwcem.

Ale mnie obchodzi.

Obchodzi mnie bardziej, niż chcę przyznać.

– Pieprzyć to. I pieprzyć was obu. – Idę w stronę drzwi i ignoruję ich wołanie.

Nie ma sensu kontynuować rozmowy, która zmierza donikąd.

Żadnego.

Jestem kimś o wiele więcej niż *Po prostu Fordem*. Pierdolić ich, jeśli myślą inaczej.

Nie zadowolę się samą wzmianką.

Byciem nieszanowanym Sharpe'em.

Byciem *po prostu* nikim.





## ROZDZIAŁ CZWARTY

*Ellery*

ROZGLĄDAM SIĘ PO ZACIENIONYM POMIESZCZENIU. Kilku klientów pozostawionych własnemu losowi wybrało sobie fotele i zwinęło się w nich w kłębki, żeby się umościć na dłuższą chwilę. Inni kupili butelki z alkoholem i szukają wygodnego miejsca. Jeszcze inni podjęli głupią decyzję o tym, by wyjść i poszukać szczęścia, próbując obejść blokady drogowe.

Ja, z drugiej strony, stoję z butelką cabernet wciśniętą pod ramię, miską przekąsek w jednej dłoni, kieliszkiem w drugiej i skanuję pomieszczenie, jednocześnie całkowicie ignorując nieustanne brzęczenie komórki w mojej torebce, informujące o przychodzących wiadomościach.

Zdecydowałam się na tę podróż z jakiegoś powodu i najpewniej jest nim osoba wysyłająca mi wiadomości.

Rozglądam się po pomieszczeniu i czuję lekko rozczarowana, że nie widzę Forda.

Czy on też wyszedł?

Kupił tę butelkę whisky, a potem uciekł do pokoju, który wcześniej zarezerwował, ale nic o tym nie powiedział?

Czemu mnie to w ogóle obchodzi?

Bo tak. Czy nie taka właśnie jestem? Troszcząca się o wszystkich i wszystko dokoła kosztem samej siebie?

Ale w tym było coś więcej. Tu chodziło o... *niego*.

Nawet nie znając dokładnych szczegółów tego, co przydarzyło mu się dzisiaj wieczorem, wiem, że mu współczuję. Walka z braćmi. Świadomość tego, jak cię postrzegają i poczucie odrzucenia.

I wcale nie zakłuło mnie to dlatego, że ten facet spełniał wszystkie wymogi, które stawiam męż-

czyznom, by uznać ich za atrakcyjnych. O Jezu, tak. Te ciemne włosy z lekką falą. Te bursztynowe oczy ze złotymi plamkami. Ta silna szczęka i prosty nos. Te szerokie ramiona i naprawdę seksowne przedramiona. Te dłonie... och, tak, miał takie fajne dłonie.

Ta cała rozpięta koszula i muszka zwisająca mu z szyi tylko dodawały mu seksapilu.

Ale z każdej jego części, która próbowała być gburowata, wyłaniało się coś innego. Sprawiał wrażenie miłego, gdy próbował być szorstki. Otwartego, gdy chciał zostać sam. Zainteresowanego, nawet gdy próbował być powściągliwy.

I może ta ostatnia rzecz uderzyła mnie odrobinę mocniej, niż powinna. Zwłaszcza że minęły wieki, odkąd ktoś patrzył na mnie z takim ogniem w oczach.

A może to pierwszy raz od dawna, gdy to w ogóle zauważyłam? *Albo chciałam, żeby ktoś to zauważył.*

Czy to nie śmieszne, że tracę oddech, gdy Ford wchodzi z powrotem do strefy barowej? Że jestem podekscytowana wizją lepszego poznania go? Że czuję ulgę, że nie wyszedł?

Ponieważ jego biała koszula jest całkowicie przemoczona i przylega do klatki piersiowej, zakładam, że poszedł po coś do samochodu.

Ale nie zastanawiam się, dlaczego poszedł do samochodu, nie myślę o winie, które ściskam pod pachą, ani o czymkolwiek innym, bo jestem nim zbyt zauroczona. Tym, jak podchodzi do kanapy na drugim końcu pomieszczenia, gdzie teraz widzę butelkę whisky i szklankę na stoliku przed nim. Tym, jak bezceremonialnie i nonszalancko rozpina smutną, białą, mokrą koszulę, która do niego przywiera, i zdejmuję ją z obu ramion po kolei, tak że widać każdy cholerny pracujący mięsień.

Jego zarysowane mięśnie brzucha.

Jego szeroką klatkę piersiową z delikatnym śladem ciemnych włosów.

Opaloną skórę, która odzwierciedla godziny spędzone na zewnątrz bez koszuli.

*Na miłość boską...*

Jestem pewna, że huk, który słyszę, wywołuje moja szczęka opadająca na podłogę.

Nachyla się i szuka czegoś w torbie, którą przyniósł, dając mi równie atrakcyjny widok swoich ramion, po czym wyciąga bluzę.

Jest wyblakła i wygląda na znoszoną. Wciąga ją przez głowę, kończąc tym samym część pokazu rodem z filmu *Magic Mike*, ale ponownie otwieram szeroko oczy, gdy widzę na jej przedzie logo Wharton Business. *Świat jest mały*. Człowiek nie nosi tak kochanej bluzy, jeśli nie chodził do tej szkoły.

Wygląda na to, że Ford jest też dobrze wykształcony.

Gdy podnoszę wzrok znad tych liter rozpościerających się teraz na jego klatce, ponownie napotykam jego bursztynowe oczy. *Fiu, fiu!* Gdy nasze spojrzenia się krzyżują, w moim żołądku dzieją się zabawne rzeczy, które nie powinny się tam wydarzać. Na jego twarzy zakwita krzywy uśmiech, a szklanka whisky uniesiona w moją stronę jest zaproszeniem do zajęcia pustego miejsca obok.

Wbrew rozsądkowi, stopy same prowadzą mnie w tamtą stronę.

*Co ty wyprawiasz, Elle?*

Aniołek na jednym ramieniu udaje, że nie słyszy diabełka na drugim. Na szczęście brzęczenie komórki strzepuje oba z nich, gdy podchodzę do stolika.

– Koniec kontemplacji? – pytam, gdy stawiam miskę z przekąskami na stoliku i uśmiecham się do niego.

Patrzy na mnie znad krawędzi szklanki, po czym kiwa głową, wprawiając w drżenie krople wody.

– Zawsze byłem łasy na dobrą whisky, a w tym miejscu, o dziwo, można taką dostać.

– Nigdy nie lubiłam iść na całość. – Robię skwaszoną minę i krzywię się, podczas gdy uśmiech na jego twarzy staje się coraz szerszy. Dopiero wtedy dociera do mnie dwuznaczność mojego stwierdzenia i przepraszająco wruszam ramionami.

– Ten smak się nabywa. Jestem pewien, że z czasem sprawiłbym, że byś go polubiła – mamrocze, rzuca krótkie spojrzenie na moje usta, a potem podnosi wzrok.

Wydaje mi się, że gdy zdjął koszulę, razem z nią pozbył się gburowatości.

– Dlaczego nie lubisz precli? – pyta, uniesieniem brody wskazując na miskę i dwa precle, które właśnie wyjęłam.

– Mam dość soli na co dzień. Nie muszę dosalać.

Wybuchła śmiechem.

– Poważnie?

– Nie. Może. – Nachylam się i wyjmuję z miski kolejny precel. – Może po prostu lubię być ekscentryczna.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem, nasze spojrzenia krzyżują się na dłużej, niż powinny, po czym on spuszcza wzrok i kręci głową.

– To w tobie też lubię.

Gorący i sypie komplementami prosto z serca.

Czy ten facet może już przestać się wspinać po miarce doskonałości?

Rozglądam się dokoła i zdziwiona mówię:

– Zakładam, że to będzie dzisiaj nasze łóżko.

– Na to wygląda. Przynajmniej to nie podłoga. Bonusem jest zabójczy widok na świetlne show na zewnątrz.

Kanapa ma ten sam kolor głębokiego bordo co stołki przy barze, ale mimo że wygląda na twardą, jestem zdziwiona, jak jest wygodna, gdy się w nią zapadam. Kręcę tyłkiem, żeby pokazać swoje zadowolenie, po czym opieram się i szepczę:

– Zastanawiam się, co jest nie tak z tą kanapą?

– Co masz na myśli? – wzdycha, siadając, ale ten dźwięk szybko słabnie, gdy nasze biodra stykają się w ograniczonej poduszkami, ciasnej przestrzeni.

Przez chwilę czuję podenerwowanie i zastanawiam się, dlaczego w ogóle go doświadczam. On jest mężczyzną. Ja jestem kobietą. Mamy gdzie spędzić noc. Nasze stykające się biodra nie powinny być problemem.

A jednak... Nagle trochę czerwienieję i desperacko zaczynam myśleć o czymś innym niż jego lędkowie dotykające moich.

Gorąco tu.

Czy tu jest gorąco?

Próbuję przełknąć ślinę. Zdecydowanie jest tu gorąco.

Ruch. Muszę się... ruszyć, żeby nie myślała o silnych, umięśnionych udach tego mężczyzny. Robię obrót, dzięki czemu opieram się plecami o brzeg kanapy, zgiętym kolaniem dotykam jego nogi, a twarz mam zwróconą w jego stronę.

Kontakt kolana z udem jest zdecydowanie lepszy od kontaktu biodra z biodrem.

Oczywiście zaczynam myśleć, że istnieje o wiele lepsze połączenie niż tylko biodra z biodrem – miednica z miednicą, klatka z klatką, usta z ustami. *Przestań, Elle*.

Przewracam oczami, a gdy podnoszę wzrok, napotykam speszoną minę i uniesioną brew, jakby chciał powiedzieć, że widzi mój rumieniec, i wie, o czym myślę.

Nie wiem, czy jest sens zaprzeczać, że jego naga klatka i mięśnie brzucha nie przelatują mi przez myśl.

Zaczynam więc głądzić.

– O czym to mówiliśmy? – pytam, składając dłonie.

– O naszym łóżku na noc.

– Tak. Miejsce do siedzenia. Kanapa. To miejsce tutaj. – Poklepuję dłonią tył kanapy. – Pytanie brzmi, dlaczego jeszcze nikt tego miejsca nie zajął? To pierwszorzędna nieruchomość. Te okna. Stolik, na którym można ułożyć stopy. Żadnych pijanych, chrapiących mężczyzn, jak po drugiej stronie tego pomieszczenia. To znaczy – nawykowo kładę mu dłoń na przedramieniu. *Skóra. Dotyk. Znowu*. I niemal krzyczę, gdy cofam ją równie szybko, jak go dotknęłam – z całą pewnością jest tutaj tabliczka z informacją, że kanapa jest zarezerwowana dla Chrisa Hemswortha.

Mierzy mnie dziwacznym spojrzeniem, ale kąciki jego ust unoszą się. Może i odłożył swoją zręczliwość na bok, ale nadal jest milczący. Nadal zmartwiony.

– Ach, czyli to było napisane na tej kartce, którą zgmiotłem bez czytania?

– Oczywiście. – Udaję, że prychem. – Jestem pewna, że twoi ludzie skontaktowali się z jego ludźmi i wszystko ustawili.

Ponownie się uśmiecha i ten widok wart jest mojego głupiego zachowania. W nagrodę podnoszę jego butelkę whisky i dolewam mu do szklanki bez pytania. Kiwa głową i upija łyk, ze wzrokiem utkwionym w dłoń trzymającą szklankę.

Mimo że zdjął tę zręczliwą koszulę i obdarzył mnie uśmiechem, ta kłótnia najwyraźniej nadal mu ciąży.

– Przykro mi z powodu twoich braci. Jestem pewna, że to, o co się pokłóciliście, było ważne, prawdziwe i, w pewnym sensie, jakoś się naprawi.

Przytakuje, ale jakoś bez przekonania.

– Może.

– Jeśli to ma jakieś znaczenie, ja też pracuję z moimi braćmi.  
– Początek tego zdania mówi mi, że za tym kryje się jakaś historia.  
– E tam. – Wzruszam ramionami. – To jest częściowo moja firma, ale ja tego nie czuję. Widzisz, posiadam dwadzieścia pięć procent tego biznesu, tak jak moich dwóch braci przyrodnich i mój ojczym, ale ponieważ mam waginę... – Krztusi się drinkiem, a ja patrzę na niego z niewinnym spojrzeniem. – *Co?*  
– No, dobrze, że ją masz. Wagi... jakkolwiek. Nie zniósłbym myśli, że uznałem za tak atrakcyjnego kogoś, kto jej nie ma... – Śmieje się, a jego policzki różowieją. To cudowne i więcej niż schlebające myśleć, że uważa mnie za atrakcyjną. – Po prostu... powiedzmy, że to moja kolej, żeby... zamknąć japę.  
– Zatem mamy remis.  
– Tak. Jasne. To whisky przeze mnie przemawia. – Upija łyk i unosi brwi. – Na czym skończyliśmy?  
– Mówiliśmy o waginach – mówię celowo, żeby zobaczyć jego reakcję.  
– Tak. Jak mógłbym zapomnieć? Jasne, to jest ogromnie ważne – przekomarza się. – Opowiedz mi o nich.  
– O nich? – żartuję. – Zapewniam cię, że mam tylko jedną.  
– Nie. Nie o twojej wag... – Milknie, a na jego twarz wraca ten chłopięcy uśmiech. – O braciach. Rodzinie. Tych ludziach.  
– Tych ludziach. Łapię. – Chichram się. – Nie ma zbyt wiele do opowiadania. Przejęłam własność po mamie, gdy zmarła.  
– Przykro mi.  
– W porządku. To było dawno temu. – Wzruszam nieznacznie ramionami. Ale nie jest w porządku. Cholernie mi jej brakuje. Każdej minuty każdego dnia. Ale gdy o tym wspominam, przed wszystkimi udaję, że to *jest w porządku*.  
– Wiem, ale ja też należę do Klubu Mam, Które Odeszły, więc niestety wiem, że *w porządku* nie zawsze oznacza, że naprawdę jest w porządku.  
Nie jestem przyzwyczajona do tak jawnej szczerości u mężczyzny. Jest mile widziana, obca i sprawia, że pierścionek na moim palcu staje się jeszcze cięższy.  
– Przykro mi.  
– W porządku. – Jego echo mojej odpowiedzi wywołuje u mnie uśmiech.  
– Dużo łatwiej rozmawiać o waginach niż o tym, prawda?  
Jego uśmiech mówi mi, że przyjął tę beztroskę.  
– Zatem, Ellery, opowiedz mi o nikczemnym ojczymie i złych przyrodnich braciach.  
Tym razem wybucham śmiechem i postanawiam wyjaśnić to najlepiej, jak umiem, choć w swoim środowisku jestem znana głównie z tego, że trzymam wszystko w środku.  
– Mój tata zmarł, gdy miałam dziewięć lat. Moja mama wyszła ponownie za mąż za bardzo przedsiębiorczego mężczyznę, który miał dwóch synów z pierwszego małżeństwa. Założyli wspólnie firmę zajmującą się przebudowami, odnieśli umiarkowany sukces, a gdy mama zmarła, jej procent własności przeszedł na mnie.  
– Wyczuwam nadchodzące *ale*.  
– Nic ci nie umknie – mówię. – *Ale* oni obaj są dupkami rywalizującymi o uwagę i uznanie tatuścia.  
– Twojego ojczymusia, tak?  
– Tak, ale unikanie tego określenia ułatwia mi życie i nie przypomina im, że nie łączą nas więzy krwi.  
– I dzięki temu jesteś im równa.  
– Właśnie. Poza tym oni cały czas mają nadzieję, że sami zostaną wybrani, by przejąć własność starego ojca, gdy ten przejdzie na emeryturę. Cholera, przypisują sobie zasługi za wszystko, co osiągnę. Każdy pomysł, z jakim wyjdę, jest przez nich uwalany, tylko po to, żeby następnego dnia mogli wyjść z tym samym i przedstawić go jako najlepszą rzecz na świecie.  
– Innymi słowy są mizoginistycznymi dupkami, a ty żyjesz swoim własnym, zmodyfikowanym życiem Kopciuszka.  
– Pierwsza część jest dość trafiona, druga, niestety, raczej też. W ich oczach powinnam po prostu siedzieć, ładnie wyglądać i nie wchodzić im w drogę, poza odbieraniem telefonów i przynoszeniem kawy.  
– Ale twoja mama tego nie robiła.  
– Nie. Ale wiedzieli, że w oczach taty przebiła obu i ich brednie by nie przeszły. No, ale skoro teraz jej nie ma...

Prycha.

– Może i nie znam cię zbyt dobrze, ale nie wyobrażam sobie, że przyjmujesz służalczą rolę.

– Prawda? – wzdycham. – To jest frustrujące. Bycie częścią tej firmy jest moim prawem. Moja mama pomogła ją zbudować. Ja chcę jej pomóc odnieść sukces... Może to jest dla mnie sposób, by być blisko czegoś, co było jej. Tylko dlatego, że jestem kobietą...

– Z waginą.

– Tak, to już ustaliliśmy. – Chichoczę, doceniając jego próbę rozluźnienia rozmowy, która jakimś cudem stała się bardziej napięta, niż się spodziewałam.

– Co z tym byciem kobietą? Przepraszam. Proszę, dokończ, co mówiłaś, zanim ci przerwałam.

– Nie, w porządku. – Dlaczego fakt, że przeprasza za dobre maniery, wytrąca mnie z równowagi? *Może dlatego, że nie przywykłaś do mężczyzn, którzy traktują cię z szacunkiem?* – Tu nie chodzi o samo bycie kobietą. Problemem jest ciągle bycie niedocenianą. Czy to takie złe mieć pragnienie, chcieć, budować coś naprawdę swojego? Mieć szansę doświadczyć porażki? A może odnieść sukces? – Wypuszczam z frustracją powietrze, a gdy patrzę z powrotem na Forda, w jego oczach widzę zrozumienie, które sprawia, że czuję się usłyszana w sposób, jakiego od wieków nie doświadczyłam. – W rodzinnym biznesie, podobnie do tego, co mówiłaś o braciach i tym, co się dzisiaj wydarzyło, łatwo jest stracić z oczu ten wielki plan. Codzienny i ogólny sukces firmy. Tymczasem moi bracia nieustannie pragną zrobić wrażenie na moim ojczymie, dzięki czemu liczą na większą nagrodę, to że zostaną pogłaskani po głowie czy czego tam od niego oczekują. Mam dość bycia częścią tego jazgotu. To ja chcę być tą, która go robi.

– To go zrób – mówi rzeczowo.

– To nie takie łatwe, jak ci się wydaje.

– Nic, czego warto pragnąć, nie jest łatwe, Ellery.

Coś w sposobie, w jaki wypowiada moje imię tym głębokim, cichym tenorem, każe mi na chwilę zamilknąć i spokojnie wsiąknąć w jego dźwięk.

– Zaryzykuj. Spróbuj. – Uderza swoją szklanką o mój kieliszek. – Jeśli tego nie zrobisz, prawdopodobnie nigdy się nie dowiesz, co może się wydarzyć.

Zagryzam dolną wargę, nalewając sobie więcej wina. On ma rację. Wiem, że ma rację. A jednak... pytanie brzmi: jak?

Mieliśmy ten remont Hotelu Carlton, nad szczegółami którego spędziłam wiele godzin tylko po to, by oddać projekt jednemu z moich braci, bo nagle byłam potrzebna gdzie indziej. A to „gdzie indziej” okazało się porządkowaniem firmowych akt.

Były zlecenia, które negocjowałam i zdobyłam tylko po to, by później się dowiedzieć, że właściciele wolą, by kierował tym mężczyzna. Wiedziałam, że to ściema i rezultat tego, że moi bracia spędzili noc z kierownikiem projektu, pijąc, jedząc i podsuwając mu jego słabości – striptizerki i steki. Gdy stali się już dobrymi kumplami, żadna próba przekonania go nie zmieniłaby jego zdania.

Nie wspominając już o ściemach, które bracia serwowali mi sami. Podawali mi złą lokalizację czy czas spotkania, więc gdy pojawiałam się spóźniona trzydzieści minut, byłam wytrącona z równowagi i wyglądałam nieprofesjonalnie. Usunięte maile, które jakimś cudem załatwili za mnie. Psuli plany budowy, żeby udowodnić, że nie wiem, co robię.

I tak dalej, i tak dalej...

Jak zatem mam wyjść z tego świata, żeby udowodnić swoją wartość, jednocześnie w nim pozostając? Jak mam, sama, przedstawić w Haywood Redesigns wyjątkową okazję, żeby udowodnić, że w przeciwieństwie do braci mam swoją wartość?

Opieram się z powrotem na kanapie, kładę stopy na stolik i wgapiam się w sufit, podczas gdy między nami zapada komfortowa cisza.

– Jak to się stało, że stawiasz dziś czoła Frankowi? – pyta.

Winowajca alkohol sprawia, że chichoczę.

– Fredowi?

– Obojętne. Fredowi. Frankowi. Philowi. – Macha ręką. – Skąd się tu wzięłaś?

– Wycieczka.

– Tak po prostu?

– Musiałam oczyścić głowę. Podjąć pewne decyzje. Jak mówiłam: różne sprawy.

– Ach, tak. Wymijające sprawy. – Znów podnosi swoją szklankę, żeby stuknąć o mój kieliszek. – Za radzenie sobie z trudnymi sprawami. Na zdrowie.

– Na zdrowie – mamroczę i patrzę na niego znad kieliszka, biorąc łyk. On idzie za moim przykładem, a potem kładzie głowę na oparciu kanapy i zamyka oczy.

– Zabiłbym teraz za coś do jedzenia – mamrocze.

– Cheeseburger i frytki brzmią niebiańsko.

Krzywi się na tę myśl.

– O wiele lepiej niż mieszanka z zarazkami.

– Masz rację. Nieskończenie lepiej. – Rozglądam się po pomieszczeniu i zauważam, że odkąd rozmawiamy, sporo osób przysnęło. – To miejsce jest ciekawe.

– Dlaczego?

– Naprawdę ma potencjał, ale wydaje się, jakby ktoś się poddał.

– Ludzie poddają się ze zbyt wielu powodów, Selery Ellery.

Przewracam oczami, ale po cichu lubię, gdy mnie tak nazywa.

– To prawda. Ale pomyśl tylko. To miejsce ma świetną lokalizację. Na plaży, która wydaje się odosobniona. Gdyby ktoś poświęcił mu trochę uwagi, odrobinę zmodernizował...

– Zbudował restaurację. Mój Boże, jesteś świetna. Wyobrażasz sobie, ile by zarobili na nas dzisiaj, gdyby ją mieli? – Klepie się po brzuchu. – Umieram z głodu.

– Ja też. Rozwaliłabym ten bar i dodała...

– Nie. Zachowaj bar. Marża na alkohol jest absurdalna i może przynieść zysk, jeśli restauracja nie ma klientów.

– Słuszna uwaga – mówię.

Odwraca głowę, ciągle opartą o kanapę, otwiera oczy i nasze spojrzenia się spotykają. Ma senny wzrok i ciężkie powieki, ale w jego oczach jest powaga.

– Co? – pytam.

– Siedzimy tu i gadamy od wielu godzin, a ty jeszcze o nim nie wspomniałaś.

– O nim?

Wzrok Forda celuje na moją dłoń, na której diament lśni nawet w przytłumionym świetle.

– *O nim*. Zakładam, że to jest powód, dla którego twój telefon dzwoni przez cały wieczór.

Zerkam na pierścionek, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Może dlatego pojechałam na wycieczkę. Może...

– Może to jest część tych *spraw*? – pyta, a ja znowu napotykam jego wnikliwe spojrzenie. Spodziewam się zobaczyć osąd, mimo że zaprzysiężając się z nim, nie zrobiłam nic złego, ale jest wręcz odwrotnie. Ciche zrozumienie połączone z niewypowiedzianą ciekawością.

Kiwam głową.

– *Dużo spraw*.

– Twój sekret jest u mnie bezpieczny, Elle. – Wyciąga dłoń i klepie mnie po kolanie.

Mrugam, żeby powstrzymać łzy, których w ogóle nie powinno być pod moimi powiekami, a gdy podnoszę wzrok, oczy Forda są znowu zamknięte. Jego dłoń spoczywa ciężko na mojej nodze, a klatka zaczyna się unosić i opadać równym rytmem. Odpłynął.

Pewnie powinnam zrobić to samo.

Ale sen mnie opuszcza. Jestem niespokojna. Mój umysł nie chce się zatrzymać.

*Twój pomysł z tą podróżą jest niemądry, Ellery. Na litość boską, kiedy zamierzasz potraktować to życie, naszą relację poważnie i zakończyć to czekanie? Ustalmy w końcu datę.*

Kładę dłoń na kanapie i patrząc, jak świat szaleje na zewnątrz, próbuję jednocześnie uspokoić gniew w środku. I staram się dojść do tego, jak uspokoić ten dysonans, który wywołało we mnie zdanie Forda.

*Twój sekret jest u mnie bezpieczny, Elle.*



## ROZDZIAŁ PIĄTY

*Ford*

ZAKRYWAM OCZY PRZEDRAMIENIEM, żeby osłonić się przed promieniami słońca.  
Chryste, ale na zewnątrz jest jasno.

Dlaczego bolą mnie plecy?

Dlaczego śmieciarki są dzisiaj tak cholernie głośne?

A potem to do mnie dociera. Gdzie jestem. Wczorajsza noc. Burza.

*Ellery.*

Powód, dla którego to moja pierwsza myśl po otwarciu oczu, pozostaje nieodgadniony, ale gdy patrzę obok, jej tam nie ma.

Ani jej torby.

Ani żadnego przekłętego śladu po niej poza preclami obok opróżnionej do połowy miski.

I nie wiem, dlaczego tak mnie cholernie kłuje, że jej tu nie ma.

Przekręcam się na kanapie, żeby rozejrzeć po pomieszczeniu. Większość ludzi pozostała na tych samych miejscach, które zajmowali, gdy odpłynąłem. Zwinięci w kłębki. Oparci o ściany z wyprostowanymi nogami skrzyżowanymi w kostkach. Leżący na podłodze na rozciągniętych kurtkach przeciwdeszczowych, które izolują ich od starego dywanu.

Słońce weszło. *Wyraźnie.* Co oznacza, że burza minęła. A skoro w pomieszczeniu jest mniej ludzi niż poprzedniego wieczoru, to może uprzątnięto drogi.

– Chryste – mamrocę i przesuwam dłońią po twarzy, dźwięk przesuwanych po zaroście opuszek przypomina mi, jak źle muszę wyglądać.

I wtedy pod moją do połowy pustą butelką whisky stojącą na stoliku zauważam serwetkę z jaki-

miś gryzmołami.

Nachylam się, żeby ją podnieść, i uśmiecham, gdy spadają z niej na podłogę precle.

*Uniwersytecie Fordham,*

*miło było cię poznać. Musiałam wcześniej ruszyć w drogę i zmierzyć się ze „sprawami”.*

*Dziękuję za towarzystwo, radę i ucho. Jestem pewna, że wszystko się z twoimi braćmi ułoży. Może nasze ścieżki znowu się kiedyś przetną. Tymczasem...*

*Selery Ellery*

Trzymam serwetkę w dłoni i opieram się z powrotem o kanapę, wpatrując w charakter pisma.

Nie zostawiła mi numeru telefonu.

No i tak, *jest* zaręczona.

Dlaczego więc pamiętam niewyraźnie, że obudziłem się zeszłej nocy, a ona leżała pod moim ramieniem z głową na mojej klatce? I dlaczego pamiętam, że mi się to spodobało?

Przeczesałem dłonią włosy.

Telefon mi padł. Desperacko potrzebuję szczoteczki do zębów, prysznic i maszynki do golenia. A jasne niebo i nieobecność Ellery sugerują, że drogi są otwarte.

Miejmy nadzieję, że są otwarte w tym kierunku, w którym ja muszę jechać.

W ciągu kilku minut docieram na parking, z torbą w dłoni i rozbieganym wzrokiem. Słońce może i wyszło, ale w powietrzu czuć chłód bryzy znad oceanu.

Pozostałości po burzy leżą wszędzie. Gałęzie drzew. Śmieci rozrzucone dokoła. Piasek rozsiany przez wiatr.

Dopiero, gdy odwracam się w stronę zajazdu, po raz pierwszy widzę, jaka to dziura. W przeszłości, gdy tędy przejeżdżałem, budynek obity szarym szalunkiem znajdował się gdzieś z dala od drogi. Wczoraj wieczorem ten hotel był czymś, do czego uciekłem przed burzą.

Ale tego ranka, przy świecącym słońcu, dźwięku mew w oddali, stojąc na środku parkingu, przyglądam mu się uważniej.

Zajazd White Sands.

Tak jest napisane na wyblakłym szyldzie. Logo stanowi latarnia morska, mimo że w zasięgu wzroku żadnej nie ma.

Ktoś tu chyba popłynął twórczo.

To miejsce ma urok. Jego rozmiar nie przytłacza tła, które stanowi dlań błękitne niebo, ani tego, co, jak zakładam, jest deptakiem i plażą po drugiej stronie. W zbyt wielu miejscach popełnia się ten sam błąd. Ich właściciele myślą, że wielkość konstrukcji i pojemność są najważniejsze, ponieważ więcej po-ko-i równa się więcej zysku.

Nie rozumiem, że jeśli hotel nie znajduje się w atrakcyjnym miejscu – a tu o atrakcyjności stanowią plaża z jednej strony i bujne listowie drzew Nowej Anglii otaczające drugą stronę – to ludzie nie będą chcieli spędzić w nim więcej niż jednej nocy.

A do zysku dorzucają się właśnie goście, którzy zostają w hotelu – żeby zamówić serwis pokojowy, wypić w barze i patrzeć na upadki surferów na plaży, zjeść w hipotetycznej kawiarni na deptaku.

*Potencjał.*

To właśnie powiedziała Ellery zeszłego wieczoru. Miała rację. To właśnie widzę, gdy patrzę na podniszczoną fasadę, która jest zużyta i potrzebuje uwagi. Teren wokół budynku można ulepszyć, wejście do zajazdu uatrakcyjnić, a mur oporowy po zachodniej stronie przerobić tak, żeby pasował do ogólnego stylu zajazdu.

Mam mnóstwo refleksji na temat tego, jak podnieść walory tego miejsca i przyciągnąć ludzi. Jak pozostawić trwałe wrażenie, tak żeby klienci wracali. To jest to, co nauczono mnie oceniać, poprawiać i ulepszać – nas wszystkich, w zasadzie, moich braci i mnie. Staje się to drugą naturą, gdy dorasta się z ojcem potentatem branży hotelarskiej, który nieustannie testuje twoją wiedzę i umiejętności.

*Co jest nie tak z tym miejscem?*

*Co byś zmienił, żeby przyciągnąć więcej klientów?*

*Jak byś zwiększył ich zyski?*

*Co, według ciebie, robią dobrze?*

Słyszę głos mojego ojca zadający te pytania i jest to słodko-gorzkie, puste uczucie, którego się nie spodziewam.

*Po prostu Ford.*

Czy tak mnie postrzegali, gdy odpowiadałem na te jego wszystkie pytania? Czy słyszał ten namysł w moim głosie, gdy dawałem mu odpowiedzi, żeby udowodnić, że znam się na rzeczy? Że udowadnia-



łem, że jestem warty tego nazwiska, które było dla mnie jednocześnie błogosławieństwem i przekleństwem?

Zatopiony w myślach, które z powrotem krążą wokół wczorajszej nocy i tej pieprzonej biografii, idę na tył nieruchomości. Jest tam kręta ścieżka, której, tak jak wszystkiemu tutaj, przydałoby się trochę uwagi. Więcej kwiatów na klombach po obu stronach i kilka dodatkowych ławek, żeby entuzjaści mediów społecznościowych mogli robić zdjęcia i oznaczać kurort. Gotowe rozwiązania marketingowe, takie jak te od gości, to zawsze strzał w dziesiątkę.

Ale myśli – o moim ojcu, o biografii, o wczorajszym rozpiardole – blakną, gdy podnoszę wzrok i widzę wspaniałą plażę.

Mówią, że gdy zobaczyło się jedną plażę, widziało się już wszystkie, ale to cholerne nieporozumienie.

Niektóre plaże są pełne śmieci. Niektóre mają beznadziejny piasek. Na innych są kamienie, krasnorosty i cokolwiek jeszcze.

Ale ta plaża, cholera, *ta plaża* zasługuje na to, by znaleźć się w nazwie zajazdu nawet po tej gwałtownej burzy. W zasadzie wiatr i deszcz może nawet dodały jej uroku. Piasek został uformowany przez wiatr w białe fale, a na jego powierzchni nie ma ani śladu stóp. Woda w kolorze głębokiego błękitu uderza o brzeg.

Wyobrażam sobie, jak mogłoby tu wyglądać latem. Parasole i kabiny plażowe ustawione dla gości. Kelnerzy roznoszący im na deptaku rumowe poncze i daiquiri, żeby każdego uszczęśliwić. Do tego boisko do siatkówki dla tych, którzy nie mogą usiedzieć beczynn timer. Nawiązać współpracę z firmą wypożyczającą rowery czy skutery elektryczne i oferować je gościom po obniżonej stawce.

Z przyzwyczajenia podnoszę telefon, żeby zrobić zdjęcie.

– Cholera.

Faktycznie bateria padła.

*Nie powinieneś pracować, Ford.*

Ponieważ jednak instynkt obserwowania, oceniania i poprawiania był we mnie ukorzeniany przez całe życie, łatwo mi się przełączyć na ten tryb, nawet o tym nie myśląc.

W związku z tym należy stąd wypierdalać. Jechać do Sag. Znaleźć... cokolwiek, co muszę znaleźć.

I zmierzyć się w końcu z niekończącymi się wiadomościami od Callahana i Ledgera.

Wsuwam dłoń do kieszeni, a moje palce natrafiają na serwetkę, którą zostawiła mi Ellery. Tę, którą z jakiegoś powodu zachowałem. Tę, która mi przypomina, że *to wszystko jakoś się ułoży*.

To się okaże.

Patrę ostatni raz na ten niespodziewany widok, odwracam się na pięcie i zmierzam w stronę wynajętego samochodu.

I wtedy dostrzegam umieszczony w oknie zajazdu napis. Na sprzedaż. Ha! To chyba tłumaczy, dlaczego miejsce jest tak zaniedbane. A mogłoby się wydawać, że lepiej by było doprowadzić taki budynek do jak najlepszego stanu i potem sprzedać go za wyższą cenę.

A może on został podreperowany i wcześniej było tu jeszcze gorzej?

*Nie twój problem, Sharpe.*

To prawda, że S.I.N. zajmuje się wyrafinowanymi, luksusowymi kurortami, ogromnymi hotelami, a nie takim rodzinnym biznesem rodem ze znaczków pocztowych jak ten tutaj. To nie nasza działka. Nie nasza specjalizacja.

To jednak nie powstrzymuje mnie przed rzuceniem ostatniego, długiego spojrzenia, zanim siądę za kółkiem i odpalę silnik.

*Potencjał.*



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

*Ellery*

PRZYGLĄDAM MU SIĘ.

Tak samo, jak robiłam to dzisiaj rano, gdy spał. Zastanawiam się, dlaczego tak trudno było mi dzisiaj wyjść z baru.

Cień tych gęstych rzęs rzucony na opalone policzki.

Fala włosów na jego czole.

Wyblakła biała blizna nad jego prawą brwią, której zeszłego wieczoru nie zauważyłam w przytłumionym świetle.

To niewytłumaczalne przyciąganie, które odczuwam względem niego, mimo że zwykle jestem odporna na długie spojrzenia i pełen napięcia dotyk.

Nie bez powodu wyszłam bez pożegnania.

Mogłam sobie wmawiać, że to przez obowiązki i plan, którego musiałam się trzymać, ale to byłoby totalna bzdura. Nie mam żadnego planu ani umówionego spotkania. Tak naprawdę powód, dla którego stałam przed kanapą dobre pięć minut, zastanawiając się, czy obudzić Forda, zanim wyjdę, ma dużo więcej wspólnego z przedmiotem, który z pomocą słońca tworzy pryzmaty we wnętrzu mojego samochodu.

Albo raczej ze wszystkim, co jest z nim powiązane.

Mój pierścionek zaręczynowy.

Chandler Holcomb.

I obowiązki związane z byciem Sinclair-Haywood.

Ale nie myślę o żadnej z tych rzeczy, gdy Ford stoi do mnie plecami, prezentując szerokie ra-

miona i wąski tyłek. Przygląda się zajazdowi, dłonią osłaniając oczy od słońca.

I z całą pewnością żadna z tych rzeczy nie przeszła mi też przez myśl, gdy przebudziłam się na moment z głową na jego piersi i jego dłonią przypadkiem, choć władczo położoną na moim udzie.

Wiem, że spał.

Wiem, że nie chciał.

A jednak... to tak żywe wspomnienie. Tymczasem ja zwykle po przebudzeniu w nocy niczego nie pamiętam.

Wciskam guzik i mój silnik się rozbudza.

*Jedź, Elle. Ruszaj.* Żadna z wczorajszych rzeczy nie miała znaczenia.

Rzucam ostatnie spojrzenie na Forda, po czym zmuszam auto, by ruszyło, i wyjeżdżam z parkingu.

Myślę o straconych okazjach.

Myślę o: *a co, jeśli.*

Oraz o tym, że muszę mocniej przycisnąć gaz, zanim zrobię lub powiem coś, czego mogę potem żałować.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

*Ford*

*Cztery tygodnie później*

CO TO JEST? – PYTA LEDGER, stojąc w drzwiach mojego biura i dzierżąc teczkę z dokumentami, których nie potrafię odróżnić od setek innych trzymanyh w biurach.

– Ale co? – pytam. – Najpewniej nazywamy to teczką. Otwierasz taką i wkładasz pomiędzy okładki papiery, żeby je zabezpieczyć i trzymać razem. Możesz nawet umieścić na niej etykietę, żeby szybko rozeznąć się w zawartości.

– Zawodowy, kurwa, komik – mówi żartobliwie Ledger, podchodząc do mojego biurka, po czym rzuca na nie papiery.

Patrzy na mnie etykieta, na której moim charakterem pisma nakreślono nazwę „nieruchomość White Sands”. Wiedziałem, że to nadejdzie. No cóż, nie ma lepszego momentu, by przejść do sedna.

Opieram się w fotelu i po prostu patrzę na brata.

– Od kiedy zabierasz rzeczy z mojego biurka?

– Od kiedy sam podejmujesz kroki dotyczące nieruchomości, bez konsultacji z Callahanem lub ze mną? – ripostuje, krzyżując ręce na piersiach, po czym siada na fotelu naprzeciwko.

– Nie wiedziałem, że jesteś tutaj królem wszystkiego. – Podnoszę folder i przrzucam go na drugą stronę mojego biurka. – Gdy ostatnio sprawdzałem, moje nazwisko też było na szyldzie w holu.

– Owszem, ale to też moje nazwisko. A ponieważ cała twoja korespondencja znajduje się na naszym papierze firmowym, to, zdaje się, jest zatem również mój biznes. – Wzrusza ramionami, ale oczy mu się zwężają. – Zabawne, że nigdy wcześniej nie słyszałem o tym miejscu, a ty teraz chcesz wywalić kupę pieprzonych pieniędzy na kupno czegoś, co nawet nie pasuje do naszego portfolio.

– Ta kwota jest małym punktem na twoim finansowym radarze.

– Co nie znaczy, że to w porządku.

– Nie. Nie znaczy. Ale nie sprawia też, że jest nie w porządku. – Wskazuję na folder, który przygotował dla mnie nasz zespół do spraw nieruchomości. Porównania z podobnymi nieruchomościami. Dokumenty wstępne od naszych kredytodawców. Informacje o kupcach, którzy mogą być konkurencją w tym przetargu. – Budynek idzie na aukcję, a ja zamierzam się na niej znaleźć, żeby go kupić.

– Ten motel, zajazd czy cokolwiek, kurwa, to jest, znajduje się poniżej poziomu S.I.N. i obaj to wiemy. Zakończmy tę farsę. Idźmy dalej.

– Jezu, Ledger. – Wstaję z fotela i podchodzę do okna, z rękami schowanymi w kieszeniach. Patrzę na miasto pod nami, ale niewiele widzę, zaślepiiony przez złość. – Czy możesz przestać być... *takim Ledgerem?*

Od naszej kłótni minęły cztery tygodnie. Cztery tygodnie, podczas których w typowym stylu Sharpe'ów zamietliśmy wszystko pod dywan i zachowywaliśmy się, jak gdyby nic się nie stało.

Sprawy między nami trochę się wygładziły – nie wracamy do tego, więc nie musimy o tym rozmawiać – ale to nie to samo.

Nadal jestem zraniony, a oni wciąż uważają mnie za cipę.

Sęć w tym, że myślałem, iż jesteśmy we trójkę w tym lepsi. Że nauczyliśmy się rozmawiać, komunikować, czy jakkolwiek, do cholery, to się nazywa. W ciągu ostatnich czterech lat, od śmierci taty, mocno nad tym pracowaliśmy. Jak sobie radzić z tą stratą, jak być rodziną, gdy nie ma już rodziców, i jak być tym, kogo ten drugi potrzebuje, gdy go potrzebuje.

A może to wszystko ma znaczenie tylko wtedy, gdy dotyczy Callahana lub Ledgera. W końcu ja jestem *Po prostu Ford*.

Taa.

To ciągle kurewsko mnie boli.

I myślę, że jeszcze bardziej wkurwia mnie fakt, że oni nadal nie rozumieją, czemu czuję się zraniony, lub, co więcej, w ogóle ze mną o tym nie porozmawiali. Kiedy wróciłem z Sag Harbor, zapytali tylko: „Między nami dobrze?”.

Szum wokół książki nie umilknie tak szybko. Zbliża się dzień premiery, a autor biografii dostał sporą zaliczkę, więc wydawnictwo zrobi wszystko, żeby koszty mu się zwróciły i żeby jeszcze na tym zarobić. Przyjęcia dla dziennikarzy. Reklamy radiowe. Godzinny, specjalny program w szczytnej oglądalności. Mój ojciec byłby zachwycony tą uwagą. A ja na samo wspomnienie książki czuję, jakby ktoś wbijał mi nóż w plecy.

– Co się dzieje, Ford? Czego mi nie mówisz? – Jego głos brzmi szczerze i nie mogę tego znieść.

Bo to jest to, czego chciałem. Chciałem, żeby zapytał i żebym mu odpowiedział, ale teraz nie chcę. Nagle łatwiej mi być na niego i Callahana zły, niż porozmawiać.

Bujam się na piętach i wzdycham.

– Czy kiedykolwiek czujesz... że... Wiesz co, nieważne. – *Nie warto.*

– Czy kiedykolwiek co czuję?

Jego słowa wiszą w powietrzu. Odwracam twarz do człowieka, z którym jesteśmy podobni jak dwie krople wody, poza kilkoma bliźniami i drobną różnicą wzrostu, i zastanawiam się, jak możemy być tak blisko, a jednocześnie tak daleko.

Zerkam na teczkę z dokumentami, jej etykietę, a potem z powrotem na niego.

– Kupuję tę nieruchomość.

– Po co? Żeby ją zburzyć i przywrócić nabrzeżu integralność, pozbywając się tej maskary?

– Na pierwszy rzut oka nie wyglądasz na takiego władczego, Ledger.

– Ani ty, choć właśnie zakładasz, że możesz sobie bez pytania wziąć miliony i wyrzucić je na jakiś śmieciowy projekt.

– Dobra, wykorzystam własne pieniądze. Żaden problem. – Wytrzymujemy nasze spojrzenia, podczas gdy cisza się przedłuża.

Przechodzę na drugi koniec biura, po czym przeczesuję dłonią włosy i wydaję z siebie jęk. Pracowałem non stop przez ponad dekadę, bez przerwy, by budować tę firmę i jej nazwę. Ciągła presja. Nieustanne tempo. Moi bracia znaleźli miłość, zrobili sobie przerwy i założyli rodziny, podczas gdy ja nie ruszałem się z miejsca i trzymałem straż. Przez jedną, kurwa, chwilę chcę czegoś, co mogę nazwać swoim. Jasne, to nadal będzie pod nazwiskiem Sharpe, ale będzie *moje*. Moja wizja. Mój sukces. Moja porażka.

– Potrzebuję przerwy.

– Okej, zrób sobie. Pracowałeś bez ustanku i zasługujesz na chwilę odpoczynku. Wiesz, że nie

musisz pytać. Po prostu, kurwa, weź wolne. Mamy przecież ponad dwadzieścia kurortów na całym świecie, do wyboru, do koloru. Ocean. Pustynia. Góry. Co wybierasz i którą kobietę zabierasz?

– Nie *taką* przerwę.

– To jaką? O czym ty mówisz? Mamy z tym objawieniem zaczekać na Callahana? Mogę go poprosić, żeby przyszedł po swoich spotkaniach i...

– Nie. – Trzymam dłoń przed sobą, żeby go powstrzymać. – Potem zdasz mu relację.

– Z czego? – pyta i po raz pierwszy wyczuwam, że rozumie, że z czymś się zmagam.

– Mam pomysł, za którym chcę pójść, a wy mnie w tym wesprzecie.

Ledger opiera się na fotelu, z uniesionymi brwiami posyła mi neutralne, ale lekko graniczące ze zdziwieniem spojrzenie.

– Mów dalej.

– Sygnowana kolekcja Sharpe'ów.

Marszczy brwi, ale z wrodzoną dla biznesmena ciekawością kiwa głową.

– Kontynuuj.

– A gdybyśmy stworzyli nową serię, nowatorską ekskluzywną gałąź tego, co dla nas charakterystyczne? Sygnowaną kolekcję skierowaną do elit lub sław? Mała nieruchomość z prywatnym konsjerżem, ochroną albo dodatkowymi pokojami dla ochrony, z którą tacy goście zwykle podróżują? Elegancja i luksus, z których S.I.N. jest znane... Jednocześnie dając im poczucie odzyskanej *normalności*. Taka nadmorska ostoja.

– I mówiąc o tym, masz na myśli nadmorski zajazd White Sands?

Powstrzymuję kąśliwą uwagę, która ciśnie mi się na usta, gdy słyszę pobrzmiwające w jego tonie obrzydzenie do staromodnych hoteli. Znając Ledgera, wiem, że już skrupulatnie przejrzał i przeanalizował zdjęcia zajazdu. Tyle że te nie oddają stanu faktycznego, nawet gdy patrzy się na nie oczami wytrenowanymi do szukania potencjału. Sam też nigdy bym w to nie uwierzył, gdybym nie zobaczył tego miejsca na żywo.

– Dokładnie: White Sands z sygnowanej kolekcji Sharpe'ów.

Ledger zawsze długo myśli, zanim zareaguje, i tym razem też nie rozczarowuje pod tym względem. Przyglądam mu się, jak siedzi z zaciśniętymi ustami, zmarszczonymi brwiami, rozmyślając nad moim pomysłem, i wiem, że waży plusy i minusy. Zrobiłem tak samo, gdy ta myśl przyszła mi do głowy. Stało się to na tylnym patio rodzinnego domu w Sag Harbor. Siedziałem tam, słońce ogrzewało mi skórę, aż w końcu przysnąłem. W tym stanie pomiędzy jawą a snem mogłem to sobie doskonale wyobrazić. Odremontowany zajazd, z luksusowymi apartamentami, gdzie trzy czy cztery standardowe pokoje połączylibyśmy w jeden wielki. Balkony wychodzące na morze i wpuszczające do środka bryzę oceanu. Prywatne jacuzzi w każdym apartamencie. Kucharze na miejscu przygotowujący posiłki zgodnie z gustem klientów. Prywatna plaża.

*Potencjał.*

Czy to nie to słowo dryfowało mi po głowie, gdy przerzucałem tego wieczoru kanały w telewizji? Na jednym z nich leciał program o prasie ścigającej jakąś gwiazdę pop, która chciała po prostu prywatności na wakacjach. Na innym była historia potentata oprogramowań komputerowych, który nie potrafił uciec od codziennego życia ani poczuć się normalnie. Wspomnienia z naszych własnych, rodzinnych podróży, gdy musieliśmy zrezygnować z jakichś aktywności, bo paparazzi próbowali zrobić nam zdjęcie, żeby zarobić na wyplatę.

Kto inny może zbudować lepiej coś tak potrzebnego niż człowiek, który sam tego doświadczył?

Gapię się na brata. Cały czas rozważa to, co powiedziałem. On wie, jak to jest, gdy ktoś atakuje twoją prywatność. Zna to uczucie, gdy chcesz tworzyć wspomnienia z rodziną, ale nie masz na to przestrzeni ani miejsca.

– Bogaci lubią być traktowani jak bogaci. Lubią też, gdy daje im się możliwość, by poczuli się normalnie. Wiemy to lepiej niż ktokolwiek. Jak myślisz, dlaczego tata zabierał nas co lato do Montany, gdy byliśmy nastolatkami? Żebyśmy poczuli się jak wszyscy w Ameryce. – Wzdycham i milknę na chwilę, myśląc o letnich miesiącach spędzanych z dala od Nowego Jorku. Była to odmiana od czasu, który zwykle spędzaliśmy w domu w Sag Harbor, ale po śmierci mamy przebywanie tam stało się zbyt bolesne. – To trudna równowaga, ale moglibyśmy ją osiągnąć w miejscu, które ma mniejszą skalę niż nasze typowe hotele.

– Wszyscy mówią, że chcą być traktowani normalnie, a gdy tak się dzieje, wkurwiają się, że się za mało koło nich skacze.

– Znasz to z pierwszej ręki? – drwię, a on w odpowiedzi pokazuje mi środkowy palec i przewraca

oczami.

– Słuchaj, w teorii to dobry pomysł, ale nigdy nie odzyskamy pieniędzy, które wtopimy w takim miejscu. A choćby zbliżenie się do takiej renowacji, o której mówisz, zajmie nam lata.

– A ty myślisz, że fortunę, którą wydaliśmy na Ocean's Edge czy The Retreat, odzyskaliśmy jednego dnia? – pytam, wymieniając dwie niedawno zakupione i wyremontowane nieruchomości.

– To nie to samo i dobrze o tym wiesz. To kwestia dyskusyjna. Jak mówiłem, to nie jest tożsame z naszą marką.

– Pieprzyć markę. Wyjdźmy poza nią. Zredefiniujmy ją. Rozbudujmy.

– To nie jest ćwiczenie w Wharton. To jest nasza firma. Dobry pomysł. Zła decyzja biznesowa.

– Gówno prawda. To moja decyzja biznesowa i, jak powiedziałem, zgodzisz się na nią. – Nie wierzę, że to mówię, a z wyrazu twarzy Ledgera wnioskuję, że on też nie. – Ty codziennie podejmujesz decyzje dotyczące S.I.N. i kierunków, w których idziemy. Decyzje, za którymi wszyscy idziemy. Teraz czas, żebyś zrobił to samo dla mnie.

Ledger marszczy czoło i wypuszcza głośno powietrze. *Udało mi się wyprowadzić go z wyćwiczonej równowagi. Dobrze.*

Krzyżuje nogi. Rozgląda się po pokoju. Nie powinienem go pospieszać, gdy jest w takim nastroju. Dopiero gdy nasze spojrzenia się krzyżują, dostrzegam w jego oczach pogłębiający się niepokój.

– Skąd to się wszystko bierze, Ford?

– Czasami chodzi o coś więcej niż pieniądze. I tak, bardzo łatwo mi to powiedzieć, biorąc pod uwagę, że opływamy w szmal. Nie zaprzeczę. Ale tu chodzi o potrzebę zrobienia czegoś więcej. Czegoś innego. Zmuszenia się do wysiłku i rzucenia sobie wyzwania. To nie wydaje się nierozsądną prośbą.

Jego kiwnięcie głową jest powolne i wyważone. Tak samo jak westchnięcie, które wydobywa się z jego ust.

– Czyli w tym wszystkim chodzi o książkę. – Ponieważ nie odpowiadam, tylko gapię się na niego, mówi dalej, miękkiem głosem, jak typowy starszy brat. – Tata kochał każdego z nas na swój sposób. Tylko dlatego, że jakiś autor i wydawca zdecydowali, żeby zrezagować tę biografię tak, a nie inaczej, nie znaczy, że kochał cię mniej. Ludzie, którzy się dla ciebie liczą, znają prawdę, Ford. A kupowanie jakiegoś rozpadającego się zajazdu niczego nie wynagrodzi.

Odchrząkuję emocje, które zaciskają mi gardło.

– Nigdy was, chłopaki, o nic takiego nie prosiłem. Proszę teraz.

Ledger wstaje i zmierza w stronę drzwi, ale zatrzymuje się przed nimi. Czeka odrobinę zbyt długo, zanim się odwraca i spogląda na mnie. Zwykle kiwnięcie głową. To wszystko, co mi daje. Ale to wystarczy, by wiedzieć, że zostałem wysłuchany. A on, chociaż może nie pojmuję mojego powodu, z całą pewnością rozumie, że to dla mnie ważne.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

*Ellery*

ELLE... NIE ROZUMIEM.

– Jasne, że nie. – Mój uśmiech jest wymuszony, bo za wszelką cenę chcę, żeby to się odbyło spokojnie. – Ani ty, ani moi bracia czy mój tata, czy ktokolwiek, nikt nie uznał, że nasz ślub to dobry pomysł. To miała być pewnego rodzaju prywatna i zawodowa fuzja naszych rodzin.

– To nie...

– Tak. – Wyciągam rękę i chwytam dłoń Chandlera. Na mojej lewej dłoni lśni pierścionek z diamentem. Symbol miłości, której tak naprawdę nie czujemy.

A przynajmniej ja nie czuję.

– Łatwo było dać się w to wplątać. Ty. Ja. Obietnice, które składano za moimi plecami, żeby wprowadzić cię w nasz rodzinny biznes i jednocześnie scementować przyszłość naszych rodzin.

– Skąd ty...

Nie wiedziałam. Założyłam. Ale jego odpowiedź tylko potwierdziła moje przeczucie. To sprawia, że moja potrzeba staje się jeszcze silniejsza. Nasze przypadkowe spotkanie, które nie było przypadkiem. Moi bracia zachęcający mnie, żebym umówiła się z mężczyzną, którego uznali za świetnego faceta. Dobry towar. Wszystkie punkty odhaczone. Szalony romans i oświadczyły z najwyższej półki.

Wszystko, czego, jak się wydaje, pragnie dziewczyna. Relacja jak z podręcznika, z niemal klinicznym wydźwiękiem.

To wszystko było sfabrykowane dla upragnionego efektu. Udana fuzja biznesowa pod przykrywką idealnego związku.

A ja w to szłam. Aż w końcu miałam dość.



Pytanie tylko, co wywołało taką zmianę w moim sercu?

*Może tamta pobudka pewnego ranka po burzy, gdy zdałam sobie sprawę, że chcę, by o moim szczęściu decydowało coś więcej niż kontrakt.*

– Elle. Jasne, że to wszystko: nasze spotkanie, randki, zysk, jaki miałyby z tego nasze rodziny, było pomysłem twoich braci, ale potem naprawdę się w sobie zakochaliśmy.

– Zdajesz sobie sprawę, jak to brzmi, prawda? – Mój nerwowy śmiech odbija się niemal echem od ścian pokoju.

– Tak. Podobnie jak z tego, jak brzmiało wszystko, co jeszcze niedawno sama mówiłaś.

– Czyli co? – Krzyżuję ręce na piersiach i czekam, aż Chandler o Zranionym Ego zacznie mnie upokarzać.

– Czyli to, że nawet nie wierzysz w miłość. Że romans jest niedorzecznym pojęciem. Że relacja musi być korzystna dla obu stron.

– Masz rację. Powiedziałam to. I w to wierzę – odpowiadam z nadzieją, że te same słowa pozwolą mu łatwo odejść. – A ty nie chcesz czegoś więcej? Moje poglądy na temat uczuć nie oznaczają, że ty nie zasługujesz na coś lepszego.

Zabić go uprzejmością. Ustawić go w centrum. Połechtąć jego ego.

– Elle... spójrz na siebie. Jesteś inteligentna, piękna, odnosisz sukcesy. Jaki mężczyzna nie chciałby cię przy swoim boku?

– Ten, który zasługuje na miłość? Który chce mieć rodzinę? Który... Nie wiem.

– Ale seks jest okej, prawda?

Rozciągam usta w wąskim uśmiechu.

– Oczywiście.

*Ale dobry seks to nie wszystko.*

Czy nie o to w tym chodzi? Musi. Jako kobieta opuszczona przez wszystkich, których naprawdę kochała – najpierw przez ojca, gdy miałam dziewięć lat, a potem przez matkę, gdy miałam osiemnaście – nie bardzo podpisuję się pod pojęciem miłości.

Miłość daje jedynie fałszywe poczucie bezpieczeństwa, po czym niszczy i porzuca na pastwę losu.

Zgadzam się, że taka umowa dałaby nam obojgu korzyści. Być może nawet uzyskałabym przewagę w zawodowej dynamice naszej rodziny.

Chandler to świetny facet. Jest uprzejmy, odnosi sukcesy i tak, jest przyzwoitym kochankiem. Mogłabym w to pójść, bo przecież są na świecie gorsze rzeczy niż związek z dobrym człowiekiem, zwłaszcza kiedy się nie wierzy w miłość.

Ale w pewnym momencie zrozumiałam, że mnie również czyni pionkiem w grze, nad którą nie mam kontroli.

I to całe objawienie przyszło po jednej, niespodziewanej nocy.

Tamtej nocy, gdy zasnąłam na klatce piersiowej nieznanego po wielu godzinach rozmowy. Tej samej, w czasie której śniłam pierwszy raz od wieków. Sny miałam zaś wypełnione wyblakłymi wspomnieniami rodziców i scenami z ich wyjątkowej i niezrównanej miłości.

Tej samej nocy, w czasie której ktoś mi powiedział, że nic, czego warto pragnąć, nie jest łatwe.

Ford.

Ford, nazwany na cześć college'u i marki samochodu. Ford bez nazwiska, co w pewnym sensie nadaje temu jeszcze większą głębię. Mężczyzna z grymasem niezadowolenia i kolekcją pięknych uśmiechów. Jasne, był atrakcyjny, seksowny i tak dalej, co sprawiało, że żołądek mi podskakiwał za każdym razem, gdy mierzył mnie tymi swoimi bursztynowymi oczami, ale tu chodziło o coś więcej.

O słowa, które wypowiadał, i przekonanie, z jakim to robił. O obserwowanie, jak zmagają się z nieznanym demonem, i świadomość, że choć jesteśmy na różnych ścieżkach, w pewnym sensie przechodzimy przez coś podobnego.

Jedna nocna rozmowa z nieznanym mężczyzną okazała się katalizatorem zmiany, która we mnie nastąpiła i wywołała niezgodę na ustatkowanie się. Niezgodę na to, by pozwolić moim braciom i ojcu wziąć to, co prawnie należy do mnie. Niezgodę na bycie tłamszoną. I potrzebę udowodnienia, że mogę mieć wszystko, co zechcę.

Zdejmuję pierścioneł z palca z największą godnością, na jaką mnie stać, i patrzę w brązowe oczy Chandlera, gdy mu go oddaję.

– To należy do ciebie.

Zaciska powieki, jak gdyby chciał pokazać, że skoro tego nie widzi, to nie wierzy, że to się dzieje.

– Czy możemy przełożyć tę rozmowę?

– Co? – Wykrzykuję te słowa, z ręką nadal wyciągniętą.

Ramiona mu opadają.

– Spytałem, czy możemy przełożyć tę rozmowę? Tę część zrywania ze mną?

– Chandler...

– Proszę, Ellery. – Wyciąga rękę i zamyka mi palce wokół pierścionka, który tkwi teraz w mojej dłoni. – Czuję się jak idiota, prosząc cię, ale...

– Przyjście – szepczę.

W przyszłym miesiącu ma na nim zostać uhonorowany za swoją pracę. Otrzyma wtedy tytuł „Architekta roku”.

– Tak. Wiem, że proszę o dużo...

– Przynajmniej tyle mogę zrobić. – Wzdycham i cofam rękę. Pierścionek wydaje mi się teraz jakby cięższy. I to by było na tyle, jeśli chodzi o stawianie grubych kresek.

– Jesteś pewna?

Dlaczego musi być taki miły? Taki rozumiejący? To wszystko byłoby dziesięć razy łatwiejsze, gdyby był fiutem.

– Jestem pewna, ale potem... Oddam ci to – mówię, podnosząc pierścionek.

Uśmiech, który pojawia się na jego twarzy, nie sięga oczu, ale i tak jest szczery.

– Nie. Chcę, żebyś go zatrzymała. Może zmienisz zdanie. – Nadzieja czająca się w jego głosie sprawia, że czuję, jakbym miała zgagę.

– Chan...

– Proszę. Nalegam. – Robi krok w tył i wzrusza ramionami. – Daj temu kilka miesięcy. Może się zastanowisz. Może zrozumiesz, że jesteś w stanie nauczyć się mnie kochać, tak jak ja nauczyłem się kochać ciebie. – Gdy zaczynam kręcić głową, on kontynuuje. – Proszę. Dla mojego ego.

– Tak. Dobra. Okej. – Kiwam głową, choć już wiem, że nie zmienię zdania. Dałam temu dwanaście miesięcy. I wiem, że to koniec.

Dzisiaj jest mój dzień, by zacząć na nowo.

Najpierw zerwanie z Chandlerem.

Potem, miejmy nadzieję, wszystko, nad czym pracowałam przez ostatnie tygodnie, ułoży się na moim następnym przystanku w dzisiejszym planie dnia.

To jest jedno wielkie *jeśli*, ale chcę – *nie... ja muszę* – z niej skorzystać.

Ciekawe, że ktoś, kogo spotykasz w najdziwniejszej sytuacji, daje ci radę, nadzieję i chęć, żeby zmienić coś, czego nie miałeś sił zmienić wcześniej.

Jedna noc, w czasie której utknęłam w burzy, i moja perspektywa uległa zmianie. Moje pragnienia się zmieniły. Cofam to. Moje pragnienia zawsze tam były; to raczej zapał do tego, by je dla siebie zabezpieczyć, się wzmocnił.

Jestem dziewczyną, która zwycięża bez względu na koszty.

Gdy wychodzę z mieszkania Chandlera, zostawiając za sobą te fragmenty siebie, które przylgnęły do mnie w ciągu ostatniego roku, i stając się tą nową mną, mam tylko nadzieję, że osiągnięta pozycja jest na tyle silna, by wszystko zadziało na moją korzyść.

Poniesienie druzgocącej klęski i przyznanie wszystkim racji to nie są bowiem opcje, które mogłabym akceptować.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

*Ford*

ZDERZAM SIĘ Z LUDŹMI RAMIONAMI, przeciskając się przez małą przestrzeń, zaskoczony liczbą obecnych tu osób. Ostatnio na aukcji nieruchomości byłem... *nigdy*. Cholera, nie pamiętam, ile czasu minęło, odkąd angażowałem się w projekt na tak podstawowym poziomie.

Jestem podekscytowany.

– Po frekwencji sądzę, że zostaliśmy już przelicytowani – szepcze do swojego towarzysza jakaś kobieta, gdy przepycham się obok, by dotrzeć na przód sali.

Rozglądam się, ale nie widzę w tłumie znajomych twarzy, nie spodziewam się też ich zobaczyć. Myślę, że ogólna cena, za jaką ten zajazd zostanie sprzedany, jest jedną dziesiątą tego, co w S.I.N. płacimy za nasze typowe nieruchomości.

– Pozwólmy jej licytować – mówi z kolei do kogoś facet, którego mijam z lewej strony, i utykam za kobietą nieświadomą mojej obecności. – To jej pieniądze. A jeśli się okaże, że potrafi to miejsce postawić na nogi, to przeniesiemy własność na firmę. Jej ryzyko. Nasza nagroda.

*Pierdolony oszust.*

– Zbankrutuje – odpowiada mu facet, do którego tamten konspiracyjnie szeptał.

– A co w tym złego? Kolejny dowód na to, że sobie nie radzi. Poza tym, jeśli jej się nie uda, to wszystko będzie nasze jeszcze szybciej.

*Poprawka. Obaj są dupkami.*

Patrzę na nieznajomych – jestem pewien, że jednego skądś znam – kiwam delikatnie głową w ramach powitania w stronę tego, który jest zwrócony w moją stronę, zanim nieświadoma niczego ich towarzysza orientuje się, że za nią czeka kolejka, i usuwa się w bok.

– Czy możemy już zacząć to cholerne przedstawienie? – marudzi jakaś kobieta, gdy zajmuję obok niej jedyne wolne miejsce.

Uśmiech, który jej posyłam, pozostaje nieodwzajemniony. Świetnie. To znaczy, że nie muszę się wdawać w głupie pogaduszki. I na szczęście to się nie zmienia, gdy licytatorka zajmuje swoje miejsce na podium i rozpoczyna aukcję kilku nieruchomości z dzisiejszej listy.

Niektóre z nich to domy jednorodzinne. Inne to nieruchomości komercyjne. Jeden jest kompleksem mieszkaniowym. Każdy zaś pustą skorupą reprezentującą czyjeś marzenie, które roztrzaskało się, gdy bank przejął nieruchomość.

Tłum zmniejsza się z każdą zakończoną aukcją, po czym sala zapełnia się z powrotem przed kolejną.

Tak samo jest i teraz.

– Następny – mówi licytatorka, poprawiając czerwone oprawki okularów na nosie i wpatrując się w dokumenty – to zajazd White Sands. Nieruchomość położona przy 13212 White Sands Drive. To wyjątkowa okazja, by stworzyć światowej klasy, dochodowe, luksusowe miejsce na najbardziej pożądaną plaży Wschodniego Wybrzeża, niewiele ponad dwie godziny drogi od Nowego Jorku. Położony na pięcioipółakrowej działce na nadbrzeżu, ten warty uwagi teren oferuje przepiękny widok na wodę i zachodnią ekspozycję na zjawiskowe zachody słońca. – Przechodzi do szczegółów dotyczących nieruchomości. Liczba domków. Umocnione nabrzeże. Prywatna plaża. Inne możliwe pomysły dla tego miejsca, takie jak zburzenie go i stworzenie kompleksu mieszkalnego lub potężnego, wysokiego hotelu.

Wszystkie te szczegóły moja ekipa zdążyła już sprawdzić i zweryfikować. Wiele osób na sali czeka, aż kobieta rozpocznie licytację.

I tutaj planuję wkroczyć do akcji z pierwszą ceną, która wszystkich znokautuje.

– Licytacja zaczyna się od dziesięciu milionów. Czy mamy jakichś chętnych? – Szybkie spojrzenie na salę i widzę, że kilkanaście osób podnosi swoje tabliczki. – Co państwo powiedzą na jedenaście milionów? – Tabliczki ponownie unoszą się w górę, przy dźwięku głosów wołających za.

– Piętnaście milionów – mówię głośno, podnosząc tabliczkę, tak że wszyscy zebrani, łącznie z licytatorką, patrzą na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Piętnaście, proszę pana? Czy dobrze usłyszałam? – pyta, podczas gdy jej asystent siedzący obok notuje mój numer z tabliczki i coś wściekle gryzmoli.

– Tak. Piętnaście.

– Czy słyszę, że ktoś...

– Piętnaście i pół – głos kobiety, której nie widzę, woła z drugiego końca sali.

– Piętnaście i pół dla pani w czerwieni. Czy mam...

– Szesnaście – mówię.

– Szesnaście i pół – ripostuje kobiecie głos, co sprawia, że wstaję, żeby zobaczyć konkurentkę. Nie widzę jej. Zasłaniają ją dwaj mężczyźni, którzy wcześniej rozmawiali o tym, żeby pozwolić jej licytować. Zauważam ich zadowolone z siebie uśmiechy i porozumiewawcze spojrzenia.

– Siedemnaście – odpowiadam, zanim licytatorka w ogóle spyta, co sprawia, że kobieta cicho chichocze, podczas gdy publiczność odwraca w oczekiwaniu głowy w stronę mojej konkurentki.

– Siedemnaście i pół – mówi kobieta, a ja w końcu widzę jej tabliczkę nad głowami ludzi siedzących wokół. I właśnie wtedy tych dwóch mężczyzn się odsuwa, a ja ją dostrzegam.

Zamieram w tej samej chwili, w której jej wzrok pada na mnie. Znam te niebieskie oczy i ten zaskoczony uśmiech.

– Ellery? – wypowiadam bezgłośnie jej imię, wpatrując się w nią w całkowitym szoku, kręcąc głową, z opuszczoną szczęką.

Ona wpatruje się we mnie, a mężczyźni obok niej – ci, których znam, ale nie umiem nigdzie przypisać ich twarzy – gapią się na nią w sposób, który sugeruje, że ją znają. To... to są jej *przyrodni bracia*.

Ta myśl dociera do mnie razem z ich usłyszanymi komentarzami i łączę wszystko z jej wyjaśnienia sprzed miesiąca.

– Proszę pana, czy chciałby pan złożyć kontrofertę? – Głos licytatorki w końcu do mnie dociera i przebija się przez zaskoczenie, które mną zawładnęło.

Tak.

Nie.

*Oni cały czas mają nadzieję, że zostaną wybrani, by przejąć własność starego ojca, gdy ten przejdzie na emeryturę. Cholera, przypisują sobie zasługi za wszystko, co osiągnę. Każdy pomysł, z jakim wyjdę, jest przez nich uwalany, tylko po to, żeby następnego dnia mogli wyjść z tym samym i przedstawić*

*go jako najlepszą rzecz na świecie.*

– Po raz pierwszy – mówi licytatorka. Mój wzrok pada na Ellery i jej cichą prośbę. – Po raz drugi. – Muszę podnieść tabliczkę, ale tego nie robię. – Ostatnie wezwanie do licytacji. – Ellery patrzy na mnie stanowczo. – Sprzedane pani w czerwonym za siedemnaście i pół miliona.

W sali rozlegają się oklaski, podczas gdy ja stoję tam, oszołomiony, gapiąc się na nią ze świadomością, że w porównaniu z tym wszystkim, o co prosiłem brata wczoraj, ona najpewniej potrzebuje więcej.

Pytanie brzmi, dlaczego jej to oddałem? I dokąd ona, do cholery, teraz poszła?



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*Ellery*

ZARAZ ZWYMIOTUJĘ.

To normalne uczucie, gdy właśnie wydało się ogromną część życiowych oszczędności – włączając w to fundusz powierniczy, którego się jeszcze nawet nie otrzymało – i pieniądze z pożyczki, której sama jesteś gwarantem... na nieruchomości, która wymaga cholernych nakładów finansowych, żeby miała szansę się rozwinąć.

Naprawdę zaraz zwymiotuję.

Ręce mi się trzęsą od adrenaliny – od aukcji, od tego, co zrobiłam, od widoku Forda licytującego przeciwko mnie.

Ford.

*Co on tu, do diabła, robi?*

Zerkam przez ramię, żeby sprawdzić, czy go widzę, ale moi bracia popędzają mnie przez tłum, trzymając dłonie na moich plecach i prowadząc do biura kasjera.

– Zaczekajcie. Dajcie mi chwilę – mówię, zrzucając ich dłonie, po czym biorę kilka głębokich wdechów, żeby uniknąć hiperwentylacji.

– Wszystko w porządku, Elle? Dałaś się wciągnąć w licytowanie, żeby udowodnić swoją rację? Właśnie zdałaś sobie sprawę z tego, ile kasy wydałaś?

Taksuję mojego młodszego brata, Gregory'ego, spojrzeniem.

– Spadaj. Idź się chełpić gdzie indziej.

– Ja? Chełpić? – śmieje się. – To ty powinnaś się chełpić kupnem ruiny za marne siedemnaście i pół miliona tylko dlatego, że nie mogłaś pozwolić, by królowie gościnności cię przebili.

– Królowie gościnności? – pytam, kładąc dłonie na kolanach i skupiając się na oddechu.

Prawie osiemnaście milionów.

O mój Boże.

– Fordham Sharpe? Sharpe International? – Gregory pyta, jakbym była kretynką, a mnie na dźwięk tego nazwiska zaczyna wirować w głowie. Ten konglomerat, jakim jest S.I.N. Tym właśnie *był? Jest?* Jezu. – Bywaliśmy w ich kurortach. Rozmawialiśmy o tym, że zrobilibyśmy wszystko, żeby znaleźć się na ich liście uprzywilejowanych kontrahentów. Mielibyśmy roboty do końca życia. Naprawdę jesteś tak tępą, że nie wiesz, kim oni są?

Nie reaguję na protekcyjnalne pieprzenie Gregory’ego, bo skupiam się na dwóch prostych słowach: Ford Sharpe.

Nie zwykły Uniwersytet Fordham, gburowaty facet, któremu rzuciłam kilka razy w twarz słowem wagina, bo to sprawiało, że się czerwienił.

Ale Fordham Ultrabogaty Sharpe, stojący na czele imperium rodziny, którą każdy zna.

– Ja też chodziłem z tymi skurwielami do Wharton – mówi Joshua, a mój wzrok wędruje w jego stronę. – Trojaczki, które uważają, że są pod każdym przeklętym względem doskonałe.

– No dzięki, Joshua. Nie poznałem cię w tej brodzie. Z chęcią odpowiedziałbym ci komplementem, ale nie wydaje mi się, żebyś ty mnie takim obdarzył. – Podnoszę wzrok i widzę Forda stojącego z uśmiechem zadowolenia na twarzy. Szybko taksuje spojrzeniem mojego brata, po czym przenosi je na mnie.

Uff.

Ciągle to ma. Ma to. Nieważne. Bo nawet teraz, gdy mój żołądek szaleje, a w głowie wiruje, jedno spojrzenie na Fordhama Sharpe’a potwierdza, że on zdecydowanie to *ma*.

A ja zdecydowanie tego *chcę*.

A mówiąc to, mam na myśli wszystko, co sprawia, że ludzie stają przed nim na baczność.

Nawet ja. Nawet teraz.

Fordham Sharpe.

Jezu. Jak mogłam tego nie poskładać do kupy?

– Sharpe. – Joshua wyciąga dłoń na powitanie Forda, próbując ratować swoją dupę. – Przecież wiesz, że żartowałem.

Ford zerka na dłoń Joshuy, potem z powrotem patrzy mu w oczy ze stoickim spokojem.

– Oczywiście, że tak. Przepraszam, ale muszę przez chwilę porozmawiać na osobności z Ellery. – Jego uśmiech jest protekcyjnalny i gdyby nadal nie było mi tak słabo, pewnie bardziej rozbawiłoby mnie to, z jaką łatwością zlekceważył Joshuę.

Mój brat, wyrażając sobą niezręczność, której nigdy u niego nie widziałam, cofa zawieszoną w powietrzu dłoń, po czym wsuwa ją do kieszeni, jak gdyby nigdy jej stamtąd nie wyjmował.

Ponieważ ani Joshua, ani Gregory się nie odsuwają, zbyt zajęci myśleniem, jak naprawić swój błąd i sprawić Fordowi przyjemność, on kładzie mi dłoń na plecach i mówi:

– Może wyjdziemy na chwilę na zewnątrz?

– Jasne – mamroczę, ale on prowadzi nas już przez drzwi, choć wciąż próbuję przetworzyć to, że on tu jest. Że licytował przeciwko mnie. Że jego dłoń rozgrzewa właśnie moje plecy i posyła fale uderzeniowe w głąb mojego systemu nerwowego.

Milczymy, manewrując między przypadkowymi ludźmi kłębiącymi się na zewnątrz, po czym siadamy na ławce pod rozłożystym dębem. Ford siedzi zwrócony w moją stronę, nachylając się, z przedramionami na kolanach i twarzą zbliżoną do mojej.

– Zabawne, że się tu spotykamy – mówi, z uprzejmością, ale ciekawością w oczach. Ostrożny.

– Cóż, to z pewnością było niespodziewane – mówię, żeby dać sobie chwilę na znalezienie słów i myśli, które brzmią spójnie, bo te w mojej głowie są bezładną masą.

– Z całą pewnością tak było. – Powoli kiwa głową. – Co ty sobie myślałaś? – pyta.

Od razu prostuję się, bo po pierwsze, nie takiego zdania się po nim spodziewałam. A po drugie, brzmi jak moi bracia, jak gdyby nie wierzył, że potrafię sobie poradzić z takim projektem. Natychmiast czuję gorzki posmak w ustach.

*Nie zniszcz tego człowieka, za którego cię miałam, Ford. Proszę, nie rób tego.*

Spinam ramiona, gotowa, by się bronić.

– Co sobie myślałaś? Wydaje mi się, że dokładnie to co ty. Licytowałam projekt, który daje wiele możliwości. Mnóstwo potencjału.

– Licytowałaś przeciwko mnie.

– Chciałam go. Jasne, że zamierzałam licytować przeciwko tobie i wszystkim innym. Skąd miałam wiedzieć, że Fordham Sharpe z Sharpe International Network wmaszeruje tam i będzie próbował skraść show? – Pytam ze zdrową dawką sarkazmu. – Gdy się poznaliśmy, nawet nie znałam twojego nazwiska.

– Rozmowa w barze nie uzasadnia twojej potrzeby, by wiedzieć o mnie wszystko. I żeby było jasne, rozmawiałem z tobą dłużej, niż zwykle rozmawiam z ludźmi, więc... zrób z tym, co chcesz.

I oto pojawia się zrzędlivość.

Ale on ma rację. Nic nie był mi winien, tak samo jak ja nic nie jestem dłużna jemu.

Wyciągam rękę w jego stronę.

– Ellery Sinclair. Z Haywood Redesigns.

– Domyśliłem się tej części z Haywood, jeśli to byli twoi przyrodni bracia. Nie wiedziałem o tej części Sinclair. – Opiera się o ławkę i przeczesuje dłonią włosy. Pachnie drewnem cedrowym, oceanem i wszystkim pożądanym. – Jezu. Co za mały, pieprzony świat.

– Znasz moich braci?

– Joshua. Znam go z Wharton i spoza uczelni. Nie jestem jego fanem.

– Ani ja, jak już wiesz – mówię, przyglądając mu się.

– To dlaczego pozwoliłaś, żeby cię do tego zachęcili? – Unosi rękę. – Po co licytowałaś? Po co podbijałaś stawkę?

– Ja? – krzyczę. – To ty nie chciałaś ustąpić. A moi bracia nie mają z tym nic wspólnego. Tu chodzi o mnie. To ja chciałam tego projektu. I właśnie wydałam cholernie dużo pieniędzy, żeby go zdobyć. Więc jeśli ktokolwiek powinien być zły, to ja za to, jak tam wszedłeś, jakbyś był panem tego miejsca, podniosłeś cenę i wszystkich wyruchałeś. *To znaczy mnie.*

– Wyruchałem cię? Może o tym powinnaś pogadać z braćmi? To oni liczą na twoją porażkę, żeby mogli wkroczyć i ocalić...

– Myślisz, że o tym nie wiem? – śmieję się. – Z jakiegoś powodu w końcu użyłam swoich cholernych pieniędzy, żeby się zakwalifikować. Żeby mieć czym licytować. Mój fundusz powierniczy. Moje nazwisko na pożyczce. – W głosie pobrzmiwa mi histeria, gdy ta rzeczywistość do mnie dociera. Mam teraz pięć i pół akra i hotel, na które było mnie stać, ale ta cena wyszła poza moją strefę komfortu z winy człowieka, który właśnie mnie przepytuje. Czy nadal mam pieniądze na konieczną modernizację? Tak, ale z powodu ceny podniesionej przez naszą licytacyjną wojnę nie tyle, ile zakładałam w budżecie.

A to wszystko bez wliczania nieprzewidzianych problemów i wydatków, które zawsze zdarzają się w takich projektach.

Do oczu napływają mi łzy, które staram się przegonić mruganiem, bo nie chcę mu ani na jotę okazać swojej bezbronności, która nagle mnie zalała.

– To dlaczego nie przestałaś licytować? – pyta, łagodniejszym już głosem, jakby usłyszał panikę w moim.

– Bo tego chciałam. Bo tego potrzebowałam. Chryste – szepczę, po czym odrzucam włosy do tyłu i związuje je w kok na czubku głowy. – Ty najwyraźniej też. – Patrzę na niego i wytrzymuję jego spojrzenie, nagle chcąc znać odpowiedź na pytanie, którego nie miałam czasu zadać. – Dlaczego przerwałeś?

Unosi podbródek w stronę drzwi do domu aukcyjnego, gdzie stoją moi bracia, udając, że nie patrzą w naszą stronę.

– Przez nich. Przez to, co usłyszałem. I co mi powiedziałaś.

Zerkam na nich z opóźnieniem.

– Czyli zrezygnowałaś z tej nieruchomości dla mnie?

Jego kiwnięcie jest wolne i wyważone, otwiera i przymyka na zmianę usta, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Myślę, że ty potrzebujesz jej bardziej ode mnie.

Jego gest uderza mnie prosto w trzewia i na nowo rozbudza panikę.

– Dzięki. Dziękuję. – Wstaję z ławki i zaczynam chodzić przed nim tam i z powrotem. *Co ja narobiłam? Jak mogłam myśleć, że sama poradzę sobie z tym projektem? Umiałam go przebudować z zamkniętymi oczami. Mam plany, rzuty i arkusze kalkulacyjne, które wyciągam niczym asa z rękawa, ale do tego dochodzi o wiele więcej. I to o wiele więcej uderza teraz we mnie z całą siłą. Przytłacza mnie. – Jest twoja. Możesz ją mieć.*

Ford prycha.

– O czym, do cholery, ty mówisz?

– Sorry. Nieważne. – Śmieję się nerwowo i pocieram czubek nosa. – Przepraszam za mój mały



atak paniki, ale jedno to o czymś marzyć i tego chcieć, a czym innym jest podjąć działania i mieć szansę to zdobyć. Teraz to do mnie dociera. Że mam szansę. Że to jest moje. Wszystko naraz. *O mój Boże.*

– Okeeej – przeciąga to słowo, uważnie mi się przyglądając. – Myślę, że panika to normalna reakcja. Tak samo jak radość. Duma. Ekscytacja. Oczekiwanie.

Ponownie zaczynam przed nim nerwowo dreptać, znowu trzęsą mi się dłonie pod wpływem adrenaliny.

– Byłam głupia, myśląc, że może mi się udać? Dając się wciągnąć w aukcję i przekraczając budżet, jaki sobie założyłam? Byłam głupia, prawda? Byłam...

Ford w jednej chwili staje przede mną, chwyta moje dłonie i pochyla głowę, żeby nasze spojrzenia mogły się spotkać.

– Nie jesteś głupia. Pozbądź się tej durnej myśli, Ellery. Wiesz, że sobie z tym poradzisz. Wiesz, że potrafisz. *Ja wiem, że potrafisz.* Wiesz, że to jest *dokładnie* to, czego chcesz i na co zasługujesz.

Kręcę głową, jak gdyby miało to nie dopuścić do mnie jego słów.

– Umiejętności to jedno. Poradzenie sobie z projektem tej wielkości jest... – Projekty zawsze przekraczają budżet. Siła robocza i rosnące koszty materiałów budowlanych. Niedobór pracowników. W głowie wiruje mi od rzeczy, które wzięłam już pod uwagę, ale które w tej chwili nadal wywołują we mnie panikę.

To są moje pieniądze.

Nie Haywood Redesigns.

*Moje.*

Znałam ryzyko. I bardzo chciałam je podjąć. Jestem świadoma, że trzeba wydać pieniądze, żeby je zarobić. Ale możesz być najbardziej zaciętym człowiekiem na świecie, a nadal czuć się przytłoczony ryzykiem, które na siebie bierzesz.

– Ellery.

– Daj mi chwilę. – Podnoszę ręce i zmuszam stopy, żeby się zatrzymały, a mój oddech, żeby się uspokoił.

Mogę to zrobić.

*Wiem, że mogę to zrobić.*

– Ellery. Spójrz na mnie – Ford mówi tym swoim nieustępliwym tonem.

– Co?

– Wypełniłaś już dokumenty? – Jego pytanie we mnie uderza.

– *Dokumenty?*

– Kupna. Aukcyjne.

Gapię się na niego, mrugając, bo najwyraźniej za nim nie nadałam.

– Nie. To znaczy chciałam, ale potrzebowałam świeżego powietrza. A potem ty się pojawiłeś... i nie, nie wypełniłam.

– Okej. W takim razie chodźmy wypełnić nasze dokumenty.

Podnoszę głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Co masz na myśli, mówiąc *nasze*?

– Nasze. Twoje i moje. Wspólnicy dzielą się po połowie. To jest moja propozycja.

– *Co?*

– Słyszałaś mnie. *Nasze.*

– Nie możesz tak po prostu...

– Owszem, mogę – mówi nonszalancko, jak gdyby był przyzwyczajony do tego, że ludzie zgadzają się na wszystko, czego zażąda. W końcu jest Sharpe'em, a oni mają reputację tych, którzy dostają dokładnie to, czego chcą. – Będziemy dobrym zespołem. Ty stresujesz się kapitałem, a ja mam kapitał, który właśnie chciałem wydać. Martwisz się ryzykiem, podczas gdy moją mocną stroną jest rynek i to, gdzie nieruchomości powinna być konkurencyjna. Przebudowa to twoje dziecko, bo to twoja specjalność. A gdy skończysz, ja mam powiązania na rynku i sprzedam wyjątkowość nieruchomości tej klienteli, którą mam na myśli. Dodając jedno do drugiego, nasz podział pół na pół zmniejsza naszą ekspozycję rynkową i ryzyko.

– Ale to również dzieli zyski – ripostuję, bardziej po to, by brzmieć rozsądnie.

– Jak się nie ma, co się lubi... – droczy się ze mną, a ja wpatruję się w niego z osłupieniem. Oto mężczyzna, którego spotkałam raptem dwa razy, chce być moim partnerem, mówi mi, że będziemy dobrym zespołem, a trzeźwa ja, która zawsze najpierw myśli, potem działa, rozważa to.

*Co jest ze mną nie tak?*

- A co jeśli nasze wizje odnośnie do tej nieruchomości się różnią?
- Pójdziemy na kompromis.

Prycham.

- Sharpe i kompromis?
- Oceniasz mnie, Ellery? – pyta, a całą moją uwagę skupia ten jego wesoły uśmiezek.
- Nie. Tak. To znaczy pewnie jesteś przyzwyczajony do...
- Partnerów i kompromisów? Tak. W zasadzie jestem. Czym jeszcze we mnie rzucisz?

– Ale co z podziałem obowiązków? Ja mieszkałabym na miejscu. Jeśli ja byłabym tutaj sto procent czasu, a ty w mieście, to nie powinniśmy się dzielić równo po połowie. Myślę, że powinniśmy skorygować twoją propozycję i podzielić czterdzieści do sześćdziesięciu.

– Ooo, już idzie po trupach. To znaczy, że dobrze ci pójdą negocjacje z podwykonawcami. Jestem pod wrażeniem. *I podoba mi się to.* – Przechyliła głowę z boku na bok, rozmyślając nad moim komentarzem. – Cóż, jeśli ty zamierzasz być tu cały czas, to ja też.

– Że co?

– Słyszałaś mnie. Cholera, chętnie bym zmienił otoczenie. Mogę pracować z każdego miejsca, a jeśli będę potrzebny w biurze, zawsze mogą po mnie wysłać śmigłowiec.

Rodzina Sinclair-Haywood odniosła sukces na praktycznie wszystkich poziomach. Gdybyśmy nie chcieli już pracować ani dnia w życiu dłużej, nadal byśmy sobie poradzi.

Ale daleko nam do Sharpe'ów. Oni są na zupełnie innym poziomie absurdu.

A Ford wspominający mimochodem ich prywatny śmigłowiec to brutalne przypomnienie o nierówności pomiędzy naszymi stylami życia, chociaż ja tam na swoje nie narzekam.

– Oszalałaś, wiesz?

– Ale ty rozważasz tę opcję, prawda? – Posyła mi chłopięcy grymas, który sprawia, że unoszą mi się kąci ust.

Rozważam, czyż nie?

– Tak po prostu? – pytam. – To znaczy... Ty mnie nawet nie znasz.

– Znam.

Krzyżuję ręce na piersiach.

– Znasz? Co o mnie wiesz?

– Wiem, że nie znosisz precli w imprezowym miksie, nie przejmujesz zarazkami i że wolisz czerwone wino, dokładniej dobre cabernet, od whisky. Co jeszcze? Hmm. Że zasługujesz na więcej uznania, niż dostajesz od swoich skretyniałych przyrodnych braci. Że pocierasz o siebie stopy jak świerszcz, gdy śpisz. – Wzrusza ramionami, po czym się śmieje. – O, i masz waginę.

Kobieta przechodząca obok nas bierze gwałtowny wdech, słysząc tę ostatnią część, a ja ordynarnie wybucham śmiechem.

– Jezu. – To słowo aż muszę wykasłać.

– To ty o tym poinformowałaś, nie ja.

Robię krok w jego stronę.

– Mówisz poważnie, prawda?

– Myślałem, że to już ustaliliśmy.

– Nie musisz tego skonsultować z braćmi czy coś? To znaczy... twoja kłótnia tamtego wieczoru. Poprawiło się? Będą chcieli to zatwierdzić? To znaczy...

– Wszystko to *status quo*. Nie to samo, ale niczym się nie różni. I nie. Nie potrzebuję zatwierdzenia. To moja decyzja. Mój wybór.

– Ford... – Rozglądam się po ludziach chodzących po podwórzu, jak gdyby to oni mieli mi dać odpowiedź, którą, jestem pewna, już znam. – Nie mogę ci na to pozwolić. Nawet nie rozumiem, dlaczego chcesz...

– Daj mi jeden dobry powód, dlaczego nie możesz.

Bo to jest śmieszne.

*Bo prawie cię nie znam i może się to skończyć obopólną nienawiścią.*

Bo to powinno być moje.

– Te wszystkie powody, które pojawiają się w twoich oczach, nie są wystarczająco dobre. Okej. Złamałaś mnie. Dzielimy się fifty-fifty, oboje mieszkamy na terenie nieruchomości, a ja dopilnuję, żebyś miała niekończące się zapasy imprezowej mieszanki bez precli.

– Hmm. Nie jestem pewna, czy to mi wystarczy – mówię z grymasem, który ostrzega, by nie szukał w moich słowach dwuznaczności.

– Okej. Podział pół na pół. Oboje mieszkamy na terenie, a ty pierwsza wybierasz, gdzie chcesz spać. *Ostateczna propozycja.*

– Ostateczna propozycja? – Wydaję z siebie cichy gwizd. – Ostro się targujesz, Ford. Pewnie dlatego wy, Sharpe'owie, rządzą światem.

Jak to się stało, że wychodząc stamtąd, czułam, jakbym dźwigała na barkach cały świat, a teraz nagle czuję, że to jest wykonalne?

– No dalej, Selery Ellery. Daj mi szansę. Daj nam szansę. – Wyciąga rękę, tę samą, której nie podał na powitanie mojemu bratu. – Umowa stoi, *partnerko?*

– Nie wierzę, że się na to zgadzam – jęczę, czując nagłe uderzenie podekscytowania.

– Czy to znaczy „tak”?

Patrzę mu w oczy, przyjmuję jego uśmiech i wyciągam rękę. *Co ja, do diabła, wyprawiam?*

– Tak.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

*Ford*

NIE MIAŁA PIERŚCIONKA NA PALCU.

Podpisałem się właśnie na wykropkowanej linii jako współwłaściciel nieruchomości z kobietą, której zbytnio nie znam, i gdy wślizguję się na tylne siedzenie, a mój kierowca rusza z powrotem do biura, to jest jedyny fakt, jedyna uporczywa myśl, która kołacze mi się po głowie. Nie widziałem nigdzie tego wielkiego, lśniącego, diamentowego pierścionka zaręczynowego.

A wierzcie mi, szukałem go.

Moja komórka dzwoni i wiem, kto do mnie telefonuje, zanim jeszcze spojrzę na ekran.

– Długo ci to zajęło – mówię zamiast powitania.

– Koleś. Gdybyś tylko wiedział, przez jakie piekło właśnie przeszedłem. Rozmowa na Zoomie, która trwała jakiś trylion godzin. Próbowałem wydobyć jakiś sens z łamanego angielskiego i mojego nieistniejącego portugalskiego, za co należy mi się medal – mówi Callahan.

– Och, biedactwo. Naprawdę musiałeś poświęcić dzisiaj kilka godzin, w czasie których nie mogłeś się pieprzyć pomiędzy telefonami?

– I to mówi facet, który chciał kupić... chatki? Motel? – Prycha. – Co do, kurwy nędzy, Ford?

– Dzwonisz więc, żeby udzielić mi reprimendy, bo zignorowałem tę, którą dał mi wcześniej Ledger?

– Nie.

Pozwalam ciszy zapasać między nami, czekając na część zaczynającą się od *ale*. Nic jednak nie nadchodzi.

– Jak to *nie*?

– Masz MBA. Jestem raczej pewien, że znasz znaczenie tego słowa.  
– Odpierdol się.  
– Z chęcią – śmieje się Callahan. – Szczerze mówiąc, myślę, że jest to ciekawy pomysł z przyzwoitym potencjałem.

– Co? Ty tak na poważnie?

Callahan się ze mną zgadza? Piekło zamarzło?

– Tak. Sutton też uważa, że to dobry pomysł – mówi, odnosząc się do swojej żony.

– Cóż, to niespodziewany zwrot akcji.

– Widzisz? Nie zawsze jestem dupkiem.

– Tylko przez większość czasu – mówię.

– Mniej więcej. Czyli naprawdę kupiłeś *zajazd*?

– Można tak powiedzieć.

– Nieustannie zaskakujesz.

– Zawsze – mówię, gdy mój kierowca wciska klakson, bo drogę przecina mu rowerzysta.

– Czyli tak jak zwykle? Hillary w zespole przebudowy? Stanley na miejscu robót? – pyta, odnosząc się do naszych managerów projektów.

– Nie. Tutaj ja przejmuję dowodzenie.

Śmiech Callahana rozbrzmiewa w telefonie.

– Zabawne.

– Jestem śmiertelnie poważny.

Gdyby niewiara wydawała dźwięki, byłaby nim cisza, która między nami zapadła. W naszej dynamice w S.I.N. ja jestem facetem od pełnego obrazu. Przyglądam się naszym nieruchomościom, starym i nowym, i oceniam, czego im potrzeba, za jakimi trendami musimy podążać, pilnując jednocześnie, by nasza marka była konsekwentnie silna. Callahan jest od spraw praktycznych. Gdy kurorty dokonują zmian, które zasugerowałem, to on trzyma pieczę nad przebudową. I jest jeszcze Ledger, który nadzoruje całą firmę i jest łącznikiem wszystkich nabytków.

Dlatego nic dziwnego, że gdy mówię Callahanowi, że zajmę się kwestiami praktycznymi, czyli tym, co zwykle jest jego działką, on reaguje śmiechem.

– Zamierzasz więc tam mieszkać? Na placu budowy? Żołnierz w akcji?

– Tak. Będę tam przez jakiś czas pomieszkiwał. Praca zdalna. Przyłecę do biura, gdy będzie taka potrzeba.

Jego śmiech jest pełen niewiary.

– Kim ona jest?

Zaskakuje mnie.

– Co to znaczy: *kim ona jest*?

Skąd on wie o Ellery?

– To znaczy, że to do ciebie niepodobne, a gdy facet zmienia wszystko tak drastycznie, to zwykle chodzi o jakąś dupę.

– Jezu Chryste, Callahan.

– Powiedz mi, że się mylę.

– Mylisz się.

– Nie kupuję tego. Kim ona jest? Mieszka niedaleko tej nieruchomości? Nie ma nic lepszego od łączenia biznesu z przyjemnością, prawda?

– Taa, jasne. Trafiłeś. Wywaliłem właśnie miliony, żeby być blisko kobiety. To jest twoja taktyka, nie moja. – Teraz ja się śmieję. – Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że może chcę na chwilę zmienić tempo, a że nadarzyła się okazja, to skorzystałem?

– Mhm.

– Wierzysz mi czy mi nie wierzysz, gównu mnie to obchodzi.

– Drażliwy jesteś. Jezu. *Naprawdę* potrzebujesz zmiany otoczenia.

– Niedługo będę w biurze. Muszę się spotkać z tobą i Ledgem w tej sprawie. Chcemy zacząć ten projekt najszybciej, jak to możliwe.

– *My*?

– Tak. *My*. – Nie wiem, dlaczego się uśmiecham na tę myśl. – To długa historia, ale kupiłem tę nieruchomość z kimś na spółkę i podzieliliśmy się po połowie.

– Na spółkę? Myślałem, że my jesteśmy twoimi partnerami.

– Jesteście. To jest... po prostu to przyjmij. Wszystko będzie dobrze.

– Wszystko będzie dobrze? Jezu. Już się martwię, gdy pieprzysz takie bzdury. To aż się prosi, że bym zapytał, kto jest partnerem. Jak się nazywa?

– Ellery Sinclair.

Śmiech Callahana rozbrzmiewa echem.

– Mówiłem, że jest w to zamieszana kobieta – komentuje. – A teraz mi pewnie powiesz, że jest brzydka.

– Potwornie. Szczerbata i jedzie jej z gęby. Ma brodawki na całym ciele – żartuję, podczas gdy mój umysł jest wypełniony dokładnie przeciwnymi obrazami. Blond włosy. Niebieskie oczy. Wspaniały uśmiech. I zabójcze ciało o kształtach, których tamtego wieczoru nie zauważyłem, bo były ukryte w jej workowatych ciuchach.

– Nie ma więc strachu, że się z nią prześpisz i spierdolisz to partnerstwo, prawda? Bo jest odpychająca.

– Nigdy nie przeszło mi to przez głowę – kłamię. – Ktoś dzwoni, muszę odebrać.

Kiedy chcę wcisnąć guzik, żeby przełączyć się na oczekujące połączenie, słyszę jeszcze, jak mamrocze:

– Zmiana otoczenia, kurwa mać.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

*Ellery*

CO ZROBIŁAŚ?! – JOSHUA GAPI SIĘ NA MNIE szeroko otwartymi oczami i z przerażeniem na twarzy.

Ale ja skupiam się na swoim ojczymie, Garlandzie Haywoodzie. Siedzi naprzeciwko, jego gęste, siwe włosy rozchodzą się, jak zwykle, na wszystkie strony, i patrzy na mnie ciemnobrązowymi oczami. Usta ma zaciśnięte, a jedna z brwi delikatnie się unosi.

– Kiedy zaczynacie? – pyta tym swoim chropawym barytonem, który wywoływał we mnie strach, gdy byłam nastolatką. Teraz brzmi już wyłącznie żałościwie.

– Za kilka tygodni. Finalizujemy szczegóły i plan działania. Więcej będę wiedzieć mniej więcej w przyszłym tygodniu.

Kiwa głową, a na jego szczęce pulsuje mięsień.

– I wykorzystujesz do tego czas firmy? Na spotkanie się z nimi i planowanie?

– Nie. Nic z tych rzeczy – kłamię. Niesamowicie. Przez większość dni nie chcę, żebym „wchodziła im w drogę”, ale gdy podejrzewają, że robię coś innego niż parzenie kawy, odbieranie telefonów i wypełnianie dokumentów, nagle to, gdzie jestem i co robię, ma takie znaczenie. – Robię to wieczorami, w wolnym czasie.

– I nie użyłaś do kupna tego czegoś żadnych firmowych funduszy?

– Żadnych.

Przecież wiedziałby, gdybym wzięła z firmy miliony. Litości.

– Masz jaja – mamrocze, ale nie mówi nic więcej. Jego słowa sprawiają, że czuję się odrobinę wyższa. Pochwała z ust Garlanda Haywooda nie pojawia się zbyt często. *Mieć jaja* to najwięcej, co dosta-

łam od lat.

Wezmę i to.

Stoję dalej, nie chcąc usiąść i znaleźć się na wysokości ich wzroku. Wiele razy ćwiczyłam w głowie ten scenariusz. To, co powiem. Jak to powiem. Co mogę usłyszeć. I kartę atutową, którą być może będę musiała w pewnym momencie wyjąć, żeby zabezpieczyć swoją pozycję tutaj, w Haywood, podczas gdy sama zajmę się swoimi sprawami w zajeździe White Sands.

Jestem ciekawa, ile czasu upłynie, zanim będę musiała odkryć, co mam w talii.

– Ona nie może tego zrobić – mówi Joshua. – Nie może wyjechać na wiele miesięcy projektu, który nie ma nic wspólnego z Haywood. To zaniedbywanie swoich obowiązków, tato. To w jej przypadku podstawa do zrzeczenia się udziałów w...

*Nie trwało długo.*

– Zrobić wszystko, żeby znaleźć się na liście uprzywilejowanych kontrahentów Sharpe'ów? Dzięki czemu Haywood będzie miało zlecenia do końca życia? To twoje słowa, prawda? – Joshua blednie, słysząc mnie, najwyraźniej nadal wściekły za afront Forda. – A może tylko ty powinienes zabezpieczać działania S.I.N.? Bo z mojej perspektywy moje partnerstwo z nimi może się okazać wygraną dla wszystkich stron.

Odkrywam karty i wstrzymuję oddech, podczas gdy Joshua wygląda jak gupik, a jego wzrok lata od Garlanda do mnie i z powrotem.

Prośenie o urlop miało być problematyczne. Wiedziałam, że Joshua i Gregory będą chcieli to wykorzystać jako uzasadnienie, dlaczego nie powinnam już być częścią Haywood. Beze mnie i z Garlandem zbliżającym się do emerytury każdy z nich miałby po połowie udziałów w firmie; w przeciwnym razie jeden z nich dostałby większą część.

Nie pozwoliłabym im też, żeby nawzajem się podkopywali.

Gdy zastanawiałam się, jak to rozegrać, wróciły do mnie słowa Joshuy. Jego pragnienie, by znaleźć się na elitarnej i ekskluzywnej liście kontrahentów S.I.N. Nie mam absolutnie żadnych intencji proponowania Fordowi czy jego braciom, żeby dali pracę Haywood Redesigns. Żadnych. Ale to nie oznacza, że nie wykorzystam tej sugestii dla uzyskania przewagi.

Muszę wyjechać i przebudować zajazd, jednocześnie zachowując miejsce tutaj, w Haywood.

Daje mi to opcje, na wypadek gdyby ten projekt nie wypalił, a każdy dobry przedsiębiorca lubi mieć plan B.

– To były twoje słowa, prawda? – powtarzam. – Co ci przeszkadza, żebym pokazała Sharpe'om, czym się zajmujemy? I jednocześnie sprzedała im Haywood? Tato? – przerzucam rozmowę na niego. To on podejmuje ostateczne decyzje i wszyscy o tym wiemy.

– Nie jestem z tego powodu szczęśliwy, Ellery. Jesteś ceniona w naszej firmie.

Prycham. *Za co? Przynoszenie kawy? Za to, że twoi synowie kradną mi pomysły i pracę?*

Nie wypowiadam jednak swoich myśli na głos, nie cofam się też przed jego badawczym spojrzeniem.

– *Ufam twojemu osądowi, Ellery. – Ford wskazuje na propozycję, którą przedstawiłam razem ze schematem, najlepiej według mnie pasującym do zajazdu. Klimat będący całkowitym przeciwieństwem tego, co on lubi. – Jeśli uważasz, że powinniśmy pójść tą drogą, to nią idźmy.*

– *Tak po prostu? – Patrzę wokół, spodziewając się zobaczyć w sali konferencyjnej jeszcze kogoś, przed kim odstawia przedstawienie. Zwykle muszę walczyć o to, żeby moje opinie były docenione. Ale gdy patrzę z powrotem na niego, w jego wyrazie twarzy nie widzę żadnej niepewności.*

– *Tak. Tak po prostu. Przestań myśleć, że musisz mi coś udowadniać. – Jego uśmiech mnie rozbija. – Powiedziałaś, że mieszanka jest lepsza bez precli. I wiesz co? Spróbowałem i masz rację. Jest.*

– *I na tej podstawie chcesz mi zaufać? – śmieję się.*

*Preclę?*

– *To był dobry początek. – Stuka palcem w kartkę. – Ale to jest powód, dla którego ci ufam. Masz oko do tego, co zadziała. Dobrze wiesz, dlaczego to zadziała. Dlaczego mam w ciebie wątpić, skoro najwyraźniej wiesz, co robisz?*

*Stoję z rękami na biodrach, kręcąc głową, nieprzyzwyczajona do tego, że ktoś tak niezachwianie we mnie wierzy.*

– *Ale to zaufanie ma dwie strony, Sinclair. – Mruga. – W kwestii tego, w czym ja się specjalizuję, ty też musisz mi zaufać.*

– *Na przykład w czym?*

– *Na przykład jaką pizzę zamówimy na nasz roboczy obiad, bo umieram z głodu.*



Czy jestem ceniona w Haywood? To ostatnie, co czuję. A rozmowa z Fordem poprzedniego wieczoru pokazała mi, co naprawdę znaczy pewność w kwestii zawodowej.

Ford zrobił małe przedstawienie, ale to tak wiele dla mnie znaczyło.

A Garland, który mówi, że jestem ceniona w firmie, jednocześnie nie okazując mi grama szacunku, który dostałam poprzedniego wieczoru od Forda, tylko umacnia mnie w przekonaniu, dlaczego potrzebuję wolności i błogosławieństwa, by zająć się tym projektem.

– Miło słyszeć, że cenisz mój wkład w firmę – kłamię, a uśmiech, który pojawia się na moich ustach, mówi to samo – ale...

– Ale myślę, że możesz mieć rację. – Milknie i notuje coś w swoim notesie, podczas gdy ja powoli wypuszczam wstrzymywane powietrze. – Mogę przesunąć jednego z chłopaków do twojego projektu Revlona, żeby dać ci wolną rękę.

*Ha. Świetny, kurwa, przykład.*

– Już to zrobiłeś. Gdy wykonałam czarną robotę i zrobiłam harmonogram, powiedziałeś mi, że do tego lepiej nadaje się Gregory – mówię z uśmiechem pozbawionym wesołości. – Pamiętasz?

– Och. Tak. – Kiwa głową i macha ręką. – Czyli to nie ma nic do rzeczy, prawda? Skoro i tak bierzesz wolne.

– Czy to znaczy, że się zgadzasz?

– Tak.

Wychodząc z sali konferencyjnej, zwalczam potrzebę wykonania gestu zwycięstwa, ale to nie oznacza, że nie wykonuję go w swojej głowie.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

*Ellery*

*Siedemnaście lat wcześniej*

CO ROBISZ, KOCHANIE? – pyta mama, kiedy nasze spojrzenia krzyżują się w lustrze.

– Rozmyślam.

– Nad czym? – Odwraca twarz w moją stronę, po czym odsłania swoją długą, zgrabną szyję, przeczując włosy na drugie ramię i wraca do rozczesywania ich. Patrzę na jej pociągłe ruchy dłonią, zahipnotyzowana tym wszystkim, czym jest moja mama. Jej delikatną skórą. Jej jasnoniebieskimi oczami, które po niej odziedziczyłam. Jej charakterystycznym zapachem – różą i bluszczem. Nutą Południa w jej głosie.

– Nad różnymi sprawami, no wiesz. – Wzruszam ramionami, leżąc na łóżku, z twarzą opartą na dłoniach, machając w górze nogami.

Przenoszę wzrok ze szcztoki na zdjęcie na toaletce mamy. Jest maleńkie i wyblakłe, stąd nie widzę szczegółów, ale doskonale pamiętam, co na nim jest.

Przedstawia mamę, tatę i mnie. Jesteśmy na plaży. Tata trzyma mnie na jednej ręce, drugą obejmuje mamę. Ona patrzy na niego, jakby był całym światem, a on patrzy na mnie takim samym, rozkochanym wzrokiem.

Zawsze mam przed oczami ten jego wyraz twarzy, gdy o nim myślę.

Nie pamiętam tej chwili, bo byłam taka mała, ale delectuję się zdjęciem i uczuciem, które we mnie wywołuje.

– Co się dzieje, Elle? Masz taki wyraz twarzy... – mówi mama, przyglądając mi się badawczo z przekrzywioną głową.

- Przeszkadza mu, że masz to zdjęcie?
- Co? – patrzy przez ramię i całe jej ciało się rozluźnia. – To jest zdecydowanie moje ulubione.
- Moje też.

Jej twarz łagodnieje.

- On cię kochał całym sobą, wiesz to, prawda?

Kiwam głową, czując, że to śmieszne uczucie w klatce wraca, jak zawsze, gdy o nim myślę i za nim tęsknię.

- Dlaczego on... nieważne.

*Dlaczego zatem nie kochał siebie wystarczająco mocno? Dlaczego to zrobił? Dlaczego ograbił mnie z życia z nim?*

Pytania. Zawsze obecne. Ciągłe mnie ścigają.

Bo wiem, że ja kochałam go tak bardzo, by nadrobić jego brak miłości do samego siebie. Czy to było za mało? Czy *my* to było za mało?

- Tata miał wypadek, Elle.

Nie rozumiem, dlaczego po twarzy mamy płyną łzy. Dlaczego tak czka, nie potrafiąc złapać oddechu.

– Rozwalił nowy samochód? – Otwieram oczy ze zdumienia. Dopiero co go kupiliśmy, a on tak bardzo kochał to auto. Oj, będzie wkurzony, gdy wróci do domu.

- Nie. Nie taki wypadek.

Dlaczego mama kręci głową, jak gdyby nie wierzyła w to, co mówi?

– To jaki? Czy niechcący przeciął się tym superostrym nożem kuchennym jak ja? – Kurde, wpakowałam się w niezłe kłopoty, próbując w zeszłym miesiącu pokroić to jabłko.

– Kochanie. Musisz mnie posłuchać. – Mama klęka przede mną i kładzie mi dłoń na twarzy. Jej usta otwierają się i zamykają, podczas gdy ona próbuje mruganiem odgonić kolejne łzy. Wygląda na to, że wyplakała ich już tyle, że w jej ciele brakło wody na kolejne.

- Okej.

– Tata odszedł i... nigdy nie wróci.

Trudno mi przetykać, a mój język robi się ciężki. Gruby.

- *Dlaczego? To mój tata. On mnie kocha. Nie zostawiłby mnie.*

*A ona wydaje z siebie najpotworniejszy dźwięk, jaki słyszałam, gdy przyciąga mnie do siebie i mocno trzyma. Czuję, jak porusza się jej klatka piersiowa, a palce wpijają w moje ramiona.*

*I wtedy to do mnie dociera.*

*Wtedy przychodzi zrozumienie.*

*Tata odszedł.*

*Moje doskonale życie w moim doskonale różowym pokoju z moją doskonałą koronkową pościelą, z moimi doskonale doskonałymi rodzicami już nigdy nie będzie takie samo.*

*A on już nigdy nie wróci.*

– Ludzie czasem chorują umysłowo. I nic na to nie mogą poradzić. Kochałam go i ty go kochałaś...

Kiwam ponownie, bo to łatwiejsze od mówienia. Obie patrzymy na zdjęcie. Było portretem miłości... aż przestało nim być.

– Masz jego uśmiech, jego śmiech i to wycucie, dzięki któremu zdenerwowani ludzie się przy tobie rozluźniają.

Dobrze tego słuchać, czuć, że trochę go przypominam, w pewien sposób... ale to nie niweluje tego ukłucia wywołanego jego brakiem.

- Nadal go kochasz, mamó?

Łzy napływają jej do oczu, tak jak do moich.

- Kocham. Tak. Zawsze będę go kochać.

– Ja też.

– Oczywiście, że tak. Jesteś jego częścią.

– Ale mimo to wyszłaś za Garlanda – mówię o ojczymie.

– Tak. – Kiwa powoli głową.

– Zatem jego też kochasz?

Jej uśmiech słabnie.

– To dobry człowiek. – Rzuca szybkie spojrzenie w stronę drzwi, jak gdyby chcąc się upewnić, że nikogo tam nie ma, po czym wraca wzrokiem do mnie. – Ale nasze małżeństwo... jest inne od małżeń-

stwa z twoim tatą.

– Jak to? Czy małżeństwo to nie zawsze to samo?

Wzdycha z wahaniem, kiedy podchodzi do łóżka i siada obok mnie.

– Garland jest miły. Dobrze nas traktuje. Troszczy się o nas. Spójrz na firmę i wszystko, co pozwolił nam robić i mieć. Kto by pomyślał, że nas to spotka? Że będę mogła to z nim budować. – Gładzi dłonią moje włosy, po czym nachyla się, żeby pocałować mnie w czoło.

– A tata nie był miły i nie traktował nas dobrze?

– Tak, głuptasie. I jeszcze coś ponad to. To, co mamy z Garlandem, jest po prostu... jak to wyjaśnić? Czasami dwoje ludzi poznaje się i postanawia, że chcą czegoś w rodzaju partnerstwa. To znaczy, że pod wieloma względami chcemy tak naprawdę od życia tego samego, dla naszych dzieci. – Jej uśmiech jest napięty, zupełnie jakby chciała przekonać o tym samą siebie, a ja jestem zbyt młoda, żeby zrozumieć dlaczego.

Ale wiem, że gdy patrzę na moją mamę, gdy widzę, jak mówi o moim tacie, a potem o Garlandzie, jej ożywione oczy stają się puste.

I jestem na tyle duża, żeby rozumieć, że ja czuję w środku to samo przez odejście taty.

Miłość to za mało.

Doświadczyłam tego na własnej skórze. Miłość jest wspaniała, ale ulotna. Boli. Zada ci ranę i doprowadzi do wykrwawienia, zanim wybebeszy twoje pozostałe organy.

Kochałam w życiu tylko dwie osoby. Były moim całym światem. Jednej z nich nie ma. Kilka lat po odejściu taty stracę ich oboje, ale jeszcze o tym nie wiem.

Wygląda na to, że ból, który towarzyszy prawdziwej miłości, nie jest tego wart.



## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### *Ford*

STOI Z REKĄ NA BIODRZE I ZACIŚNIĘTYMI USTAMI, analizując dokumenty rozłożone przed nami na stole sali konferencyjnej. Wydruki konstrukcyjne zmian, które chcemy wprowadzić we wnętrzu – czyli połączyć pokoje, żeby na każdym piętrze powstały apartamenty z osobnymi, prywatnymi wejściami. Obok leżą rysunki elewacji, pokazujące, jak budynek będzie wyglądać z zewnątrz. Dalej – wybór elementów wystroju, czyli kolory, dywany, tkaniny, kafelki. Elegancja i luksus wymieszane z wygodą i dekadencją.

Minęło pięć tygodni, odkąd staliśmy się partnerami i podpisaliśmy dokumenty. Pięć tygodni czekania na zamknięcie depozytu, w czasie których przygotowaliśmy wszystkie aspekty przebudowy. Mamy nadzieję, że uda nam się to ukończyć w błyskawicznym tempie, ponieważ poświęcony na to czas oznacza utratę pieniędzy. Pięć tygodni bycia nieustannie otoczonym ludźmi, którzy pomagają nam planować, przygotowywać i wszystko pomiędzy, albo burz mózgu i ogarniania harmonogramu na Zoomie wykonywanych z naszych biur w mieście, zanim będziemy gotowi przenieść się na miejsce.

Pięć tygodni i po raz pierwszy jesteśmy całkowicie i zupełnie sami. Moja ekipa poszła do domu. Jej asystentka wyszła. Zostaliśmy tylko ona, ja i nocne niebo za oknami wieżowca.

Przyglądam się, jak zapatrzona rozmyśla nad czymś błahym leżącym przed nią na stole, a w głowie kłębią mi się myśli, których nie powinno tam być.

Mimo to witam je z otwartymi ramionami. Oj, jak je witam. Jakby to było, wbijać jej palce w biodra. Jak smakowałyby jej usta, gdybym wsunął między nie język. Jaka w dotyku byłaby jej cipka, pulsująca wokół mnie.

Och, jak ja o tym myślę. I o niej.

O wiele, kurwa, za dużo.

Mam zaczerwienione oczy od gapienia się na wydruki, a mój umysł jest wykończony, ale mimo to moja wyobraźnia pracuje i czuję pragnienie, a potem mówię sobie, że nie mogę go czuć. Nie mogę.

Ona jest poza zasięgiem.

Najlepszym sposobem na to, by spieprzyć partnerstwo, jest pieprzyć się z partnerem.

Koniec tematu.

Ale jeszcze jedno spojrzenie na te zaciśnięte usta i mój *okres posuchy* staje się niczym cholerna susza.

Najważniejsze pytanie jednak brzmi, dlaczego w miejscu, w którym był jej pierścionek, nadal jest nieopalony fragment skóry? Pięć tygodni to wystarczająco długo, by różnica w odcieniu skóry się zatarła, a jednak nadal tam jest. Nadal jest oślepiającym symbolem, że ona należy do kogoś innego.

To znaczy, że nie nosi go tylko w mojej obecności? A może wpadł do zlewu i utonął? Rzuciła nim w narzeczonego, mówiąc mu, że woli mnie? A jeśli nie nosi go ze względu na mnie... to co, do cholery, to oznacza?

– Co?

Wyrwany z zamyślenia, zdaję sobie sprawę, że gapię się na Ellery przymrużonymi oczami.

– Przepraszam. Co mówiłaś? – pytam, próbując pozbyć się z głowy tej ostatniej fantazji o tym, jak kładę ją na stole konferencyjnym.

Tak. Jest źle. I nieważne, jak często tłumaczę sobie, że w obliczu takich myśli mieszkanie z nią na miejscu budowy przez kilka miesięcy będzie istną torturą, nie mogę się powstrzymać.

– Pytałam, dlaczego tak na mnie patrzysz, bo to bardzo intensywne spojrzenie. Coś przeoczyłam? – Spogląda na stół, a potem z powrotem na mnie. – Jeśli tak, to powiedz mi, proszę. Ostatnim, czego chcemy, jest brak synchronizacji we wszystkim.

– A jeśli tak będzie, jakoś to ogarniemy – mówię, podchodząc do niej.

– Mówisz jak człowiek, który jest przyzwyczajony do podejmowania tak poważnych decyzji. – Wzdycha, jak gdyby sama sobie nie do końca ufała. A powinna. Jest błyskotliwa.

A jej błyskotliwość, wkład i oko do szczegółów każą mi się zastanowić, dlaczego nigdy wcześniej nie współpracowaliśmy z Haywood Redesign. Och, racja. Joshua Haywood. Nadzwyczajny dupek.

– Wydaje mi się, że to ty chciałaś wyjść z cienia swoich braci i udowodnić, że potrafisz się zająć takimi projektami, jakimi oni się zajmują. I że bycie dziewczyną od kawy ci nie wystarcza. – Siadam na stole i patrzę na nią. – Tchórzysz, Ellery?

– Oczywiście, że nie. Tylko...

– Tylko to dużo pieniędzy i mnóstwo presji i co, do diabła, będzie, jeśli się nie uda albo jeśli nie będziesz wiedzieć, co robisz i, i, i... prawda?

– To brzmi niedorzecznie. Przepraszam. – Śmieje się trochę nerwowo i zaczyna bawić dłońmi. – Na pewno się zastanawiasz, po cholerę się na to zgodziłeś. Ja jestem nowicjuską. Ty doświadczonym profesjonalistą. To znaczy...

– Stop. – Podchodzę do niej i chwytam ją za rękę. Słyszę jej oddech. Czuję też, jak moje ciało reaguje na jej dotyk. Jak na kogoś tak błyskotliwego, brakuje jej czasami pewności siebie. Najpewniej przez to, że bracia latami ją lekceważyli. Cóż, koniec z tym. Ze mną tak nie będzie. – Przestań się stresować. Gdybyś jeszcze tego nie zauważyła, jestem dość spokojny. Jeśli pojawi się problem, jakoś go rozwiążemy. Jeśli nie będziemy się zgadzać, wtedy... nie wiem, pokrzyczymy na siebie, ty mi powiesz, że jestem dupkiem, ja ci powiem, że jesteś uparta, a potem uściśniemy sobie dłonie czy coś i wrócimy do pracy.

– Dlaczego wszystko przychodzi ci bez wysiłku? – pyta tonem pełnym niedowierzania. – Nigdy w siebie nie wątpisz? Nigdy niczego nie podajesz w wątpliwość?

Jej słowa uderzają mnie prosto w splot słoneczny. Nie dlatego właśnie wziąłem ten projekt? Bo wątpię w człowieka, którym jestem? Bo zastanawiam się, czy dla ludzi jestem kimś więcej niż ten człowiek, który siedzi obok swoich wybitnych braci? Bo chcę się przekonać, jak patrzył na mnie mój ojciec?

– Przez cały czas – mamroczę, nie wyjaśniając nic więcej. Czy nie pamięta tamtej nocy w barze? Tej zawieruchy, w której tkwiłem? Siłę się na uśmiech. – Ten projekt. Nasze partnerstwo. Jakoś to rozgryziemy.

Wypuszcza z siebie drżący oddech, kiwa głową, po czym odsuwa się, przerywając nasz dotyk. Po chwili odwraca się z większym uśmiechem.

– Okej. Przepraszam ponownie. Zwykle nie potrzebuję zagrzewania do walki, więc wybacz, że wyszłam na taką... słabą.

– Nie słabą. Raczej silną. Zdeterminowaną. Godną podziwu. – Wzruszam ramionami na dźwięk jej nerwowego chichotu. – Podejmowanie ryzyka to trudna sprawa. Obiecuję, że to wszystko się ułoży.

– Dziękuję. – W jej głosie jest jakaś miękkość, która pasuje do jej spojrzenia. To sprawia, że milknę. Kolejny przekonujący uśmiech, gdy robi krok w stronę stołu w sali konferencyjnej. – Zatem wygląda na to, że powinniśmy ruszyć z kopyta.

– Zgadzam się. – Odwracam się, żeby spojrzeć na plany, po czym staję obok niej. – Ty pojedziesz tam jutro i zrobisz ostateczne oględziny. Ja będę w środę, gdy skończę spotkania.

– Brzmi jak plan. – Próbuje stłumić ziewnięcie, ale w końcu się poddaje. – Sorry. To były długie tygodnie.

– A jednak dość ekscytujące – szepczę, po czym nachylam się i przewracam stronę z rysunkami elewacji. – A jeszcze bardziej ekscytujące przed nami.

– Wiem.

Oboje zbieramy się do wyjścia, ale nagle, jakby zostało to wyreżyserowane, odwracamy i wpadamy na siebie. Ona chwije się na szpilkach, a ja łapię ją za ramiona, żeby ją przytrzymać.

Stoimy twarzą w twarz, pierś przy piersi, a ja przypominam sobie zapach jej włosów, który czułem, gdy tamtej nocy spała oparta o moją klatkę piersiową. Pełnię jej ust, gdy szeptała coś we śnie. Ciepło jej ciała opartego o moje.

Oboje wciągamy gwałtownie powietrze, gdy nasze oczy się spotykają. Powinniśmy się od siebie odsunąć. Powinniśmy odpuścić.

Ale mijają sekundy.

Wdech. Wydech.

Na jej skórze pod moimi palcami wyskakuje gęsia skórka.

Każdy mój zmysł jest zbyt cholernie jej świadomy. Wszystkiego, co jej dotyczy.

Mój wzrok pada na jej usta, na puls bijący na jej szyi, a potem z powrotem na jej oczy, gdy moje ciało walczy z rozumem. Z pragnieniem.

Dźwięk jej komórki rozdziela nas gwałtownie, jakbyśmy zrobili coś złego.

Albo mieli zamiar.

Odwracam się i odchodzę od niej kilka kroków, przeczesując dłonią włosy i chcąc złapać dystans.

– Chandler? – mówi cicho, jakby nie chciała, żebym słyszał.

Chandler. Ten sam facet, z którym rozmawiała przez telefon tej nocy, gdy się poznaliśmy. Najwyraźniej on nadal jest w grze i stanowi powód tego nieopalonego paska na jej palcu.

– Powiedziałam, że będę. – Wzdycha z frustracją. – Wiesz, że cię nie zawiodę. – Robi kilka kroków w stronę okna, patrzy w noc i szepcze coś, czego nie mogę usłyszeć.

Zaczynam zbierać wydruki i dokumenty, żeby nie było widać, że robię to, co robię, czyli podsłuchuję.

– Rozumiem. Tak. Cały dzień mam spotkania z... klientami. Spotkamy się na miejscu. – Jej głos jest łagodny, wręcz kojący, a moja ciekawość sięga zenitu. – Ustalone. Okej.

*Ale żadnego Kocham cię. Żadnego do zobaczenia później.*

– Wszystko w porządku? – pytam nieobecnie, zwijając w rulon zestaw planów, który owijam następnie gumką recepturką.

– Tak. W porządku.

– To nie brzmi przekonująco. – Śmieję się i rzucam jej szybkie spojrzenie. W jej oczach widzę zaniepokojenie.

– Długa historia. – Macha ręką w moją stronę, jak gdyby chciała powiedzieć, że to nieistotne. – Pomogę ci z tym.

– Nie, poradzę sobie. Leć już.

– Jesteś pewien?

– Tak. Phillip podrzuci cię do domu – mówię, mając na myśli swojego kierowcę, który już ją odwoził.

– Nie mogę ci się narzucać. Na pewno jest ci potrzebny...

– Została mi tu godzina lub dwie. Proszę. Nalegam.

Posyła mi wymuszony uśmiech i kiwa głową.

– Okej. Dzięki. – Zarzuca swoją designerską torebkę z laptopem na ramię i rozgląda się, żeby sprawdzić, czy niczego nie zapomniała. Nasze spojrzenia krzyżują się po raz ostatni. – Doceniam tę motywacyjną przemowę, Fordham.

Patrzę, jak wychodzi z sali konferencyjnej, stukając szpilkami o marmurową podłogę. Dźwięk

windy. Drzwi się zamykają. Siadam i opieram się na fotelu, ręce zakładam za głowę, stopy kładę na stole i powoli wypuszczam powietrze.

Wiem, że już tu są.

Wiem, że czekali, aż wyjdzie, żeby rzucić komentarzem.

– Nie powinniście być w domu z rodzinami? – otwieram jedno oko i widzę Callahana, który stoi, opierając się o framugę.

– Szczerbatka wygląda dzisiaj zdecydowanie obrzydliwie. – Callahan parska śmiechem i unosi brwi w uznaniu.

Ledger gwizdże.

– I jak długo będziesz z nią mieszkał na terenie budowy?

Pokazuję braciom środkowy palec, a potem ponownie zamykam oczy, żeby ich zignorować.

– Wszędzie łóżka – mówi Callahan.

– Długie, samotne noce. Ty. Ona. I pościel, w której można się zaplatać – dodaje Ledger.

– Gdybyście się uważnie przyjrzeni, zobaczylibyście, że ma na palcu odcisnięte miejsce po pierścionku – mówię.

– Ale nie ma na nim pierścionka. – Ledger unosi brwi i zerka na Callahana. – Zatem... zerwała? Potrzebuje dobrego ruchanka w ramach zemsty?

– Ha. To samo myślałem i patrzcie, dokąd mnie to zaprowadziło – droczy się Callahan, ale wiem, że za nic nie zmieniliby swojego życia. – Żonaty i dzieciaty.

– Zemsta może być dobra. Świetny seks. Żadnych zobowiązań.

– Cholera, Ledger, myślę, że powinniśmy mu dać tę samą przemowę, którą wy mi daliście, gdyjechałem z Sutton do Ocean's Edge – mówi Callahan, nawiązując do naszej rozmowy, którą odbyliśmy na tydzień przed jego wyjazdem do Virgin Islands z jego ówczesną konsultantką – teraz żoną.

– Nie pamiętam żadnej rozmowy – mamroczę, doskonale wiedząc, co nadchodzi, i marząc o piwie, którym mógłbym się zająć, żeby przetrwać to nękanie.

– Wybiórcza amnezja. Wygodnie – prycha Ledger.

– Pozwól, że odświeżę ci pamięć. Coś w stylu: nie śpij z nią. Bądź profesjonalistą. W nazwie tej firmy jest też nasze nazwisko, nie tylko twoje. – Callahan posyła mi swój zabójczy uśmiech. – Mam kontynuować?

– A ty świetnie wypełniłeś te zalecenia. – Unoszę brwi i mierzę go wzrokiem.

Wzrusza ramionami.

– No, ale ode mnie oczekuje się łamania zasad.

– A czego dokładnie oczekuje się ode mnie? – pytam.

*I czy nie jest to głównym pytaniem tego dnia?*





## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

*Ellery*

NIEBO JEST CAŁE POKRYTE KOLORAMI – odcieniami różu, pomarańcza i wszystkimi barwami pomiędzy. Czekałam prawie pięć tygodni od chwili złożenia podpisu na wykropkowanej linii do tego momentu, gdy stoję tutaj, patrząc na zachód słońca na horyzoncie, słuchając fal rozbijających się o brzeg, ze stopami zakopanymi w piasku, gapiąc się z podziwem na to, co teraz należy do mnie.

Technicznie rzecz ujmując, *do nas*, ale to tylko semantyka.

Czułam dumę wcześniej. Wiem, jak to jest być właścicielką. Znam strach. Ale dopiero teraz, gdy wpatruję się w to, co wcześniej nazywało się zajazdem White Sands, doświadczam potęgi tych wszystkich trzech rzeczy na raz.

To ważny dzień. Formalnie rzecz biorąc, dopiero jutro, dlatego będę się napawać ciszą i samotnością, jakie tu panują, zanim nadejdzie chaos. Mamy armię wykonawców gotowych, żeby szturmem przejąć to miejsce.

Czuję pod stopami chłodny piasek i wyobrażam sobie, jak wcielamy nasze pomysły w życie. Nadmorska kawiarnia, którą dodamy po lewej stronie, będzie oferować kuchnię renomowanego kucharza, z którym akurat ludzie Forda prowadzą rozmowy. Balkon po prawej, który był pustą salą konferencyjną, zostanie zmieniony w salon. I wtedy pokoje pomiędzy staną się apartamentami wyposażonymi w najnowocześniejsze udogodnienia.

Mrzonki.

Czy nie to powiedział mi Chandler zeszłej nocy, gdy skończyła się cała uroczystość na jego cześć, i pozostała między nami ta niezręczna cisza, która stanowiła tylko dowód na to, że nigdy by nam się nie udało?

– *On jest twoim partnerem tylko dlatego, że wygrałaś licytację.*

*Podnoszę na niego wzrok.*

– *Ford?*

*Potakuje.*

– *A myślisz, że o kim mówię? Pomyśl tylko. Dlaczego człowiek z taką pozycją miałby kupować jakieś byle co na plaży z kimś, kogo prawie nie zna?*

*Bo mamy tę samą wizję. Bo oboje potrzebujemy tego wytchnienia od codzienności. Bo chcemy czegoś swojego.*

– *Wydaje mi się, że chciałeś mnie obrazić. Zazdrość ci nie pasuje, Chan.*

– *Nie jestem zazdrosny. Ani trochę. Ale nie zdziw się, jeśli on nagle zepchnie cię na bok i wyrzuci poza obrazek. Sharpe'owie dla nikogo nie odsuwają się na dalszy plan.*

– *Boże, nie dopuść, żeby facet pomyślał, że jestem kompetentna, zdolna i warta partnerstwa.*

– *Jesteś. Dlatego to wszystko wydaje mi się dziwne.*

*Nie ma sensu się z nim kłócić, więc tylko się uśmiecham i potakuję.*

– *Ty jednak pochodzisz z zewnątrz.*

– *Gdy to wszystko się spierdoli, pamiętaj, że cię ostrzegałem.*

– *Dobrze. Świetnie. Dzięki za wotum zaufania. – Mój głos ocieka sarkazmem.*

– *Sluchaj, Elle. Rozumiem twoją potrzebę spełniania tych twoich mrzonek. Może to się uda. Może Sharpe cię nie wykołei i tego nie przejmie. A jeśli tego nie zrobi i osiągniesz swój cel, może będziesz zadowolona i gotowa, żeby się ustatkować. Gotowa, żeby wyjść za mnie za mąż.*

*To pierwszy raz, gdy patrzę na Chandlera Holcomba i go nie lubię. Dlatego pierścionek zaręczynowy, którego nie chciał wziąć z powrotem, jest schowany w moim mieszkaniu w Tribeca i czeka na koniec projektu.*

Jakie to dziwne, gdy jeden mężczyzna w zasadzie mnie wyszydza, a drugi bezwarunkowo popiera. Ford prawie mnie nie zna, a wierzy we mnie, podczas gdy Chandler, nieważne, jak dobrym jest człowiekiem, najwyraźniej uważa, że potrzebuję hobby, żeby nabrać trochę rozsądku.

Co jeszcze dziwniejsze, ja naprawdę nie przejmuję się już tym, co myśli o mnie Chandler. Mam serdecznie dość mężczyzn, którzy mają o mnie złe zdanie, bo chcę dla siebie czegoś więcej.

*A miałam wyjść za niego za mąż. Jezu Chryste. Skoro uważałam, że bycie dziewczyną od kawy w Haywood było złe, to mogę sobie tylko wyobrazić, jak wyglądałoby małżeństwo z kimś, kto oczekuje tego samego w domu.*

*Zdecydowanie, kurwa, podziękuję.*

*Powinam być zła.*

*Powinam być zniesmaczona.*

Ale tak naprawdę czuję ulgę. Czystą, nieskażoną ulgę, że uciekłam przed tym losem, któremu chciałam dobrowolnie się poddać.

*Chandler, mizogin w przebraniu, od którego szczęśliwie zwiąłam.*

A Ford... *fiu, fiu.* Ford, mężczyzna, który wie, jak dotrzeć do kobiety, nawet się nie starając. Pojawia się w moich snach w rolach, które zdecydowanie nie są bezpieczne w pracy. Nieustannie jest w moich myślach przez ten projekt i wiele rzeczy, o których muszę mu powiedzieć albo które chcę z nim przedyskutować.

A teraz będziemy mieszkać pod jednym dachem. W sąsiednich mieszkaniach. Dzień za rozkosznie dręczącym dniem.

Między nami zdecydowanie jest chemia. Cholera, ona była już pierwszej nocy, gdy się poznaliśmy. Ale jesteśmy partnerami. Spanie ze współnikiem to nigdy nie jest dobry pomysł. Bo mieszasz ze sobą uczucie i emocje i to sprawia, że nic nie jest już między wami równe.

Ale właśnie, to o mnie tutaj mówimy. O kobiecie, która lubi tylko fizyczność. Którą interesuje jedynie pożądanie i nie chce mieć nic wspólnego z czymkolwiek, co jest choćby zbliżone do miłości.

*Emocje są nieistotne. Zawsze.*

*Skup się, Elle. Na projekcie. Na tym, żeby to działało.*

I tak zatem robię. Zostawiam piasek za sobą i wchodzę na zużyte cegły tylnego patio zajazdu. Z tarasu i balkonów będzie się rozpościerał niesamowity widok, gdy je już zmodernizujemy.

Po wejściu do hotelu tylnymi drzwiami znów uderza we mnie spokój, tak jak godzinę temu, kiedy wręczono mi klucze i wszyscy wyszli.

Znowu znajduję w tej ciszy pocieszenie. Tym, czego się nie spodziewałam, jest natomiast nagła upiorność, którą odczuwam, będąc jedyną osobą w zupełnie pustym hotelu. Nie taka przyprawiająca o gę-

się skórkę jak w *Lśnienu*, raczej przygnębiająca, a to jeszcze pogłębia każde skrzypnięcie budynku.

Może dlatego zapalam po drodze wszystkie światła. Być może dlatego wkładam do uszu słuchawki i podkręcam muzykę, sunąc po zużytych podłogach i ruszając się do rytmu. Jeśli czegoś nie słyszę, nie może mnie to przerazić.

Przejeżdżam palcami po starej, dębowej poręczy, która wkrótce zostanie zastąpiona nowocześniejszą, stalową balustradą, i zastanawiam się, jaki śmiech i sekrety rozbrzmiewały w tych korytarzach. I jakie nowe się pojawiają, gdy skończymy?

Robię notatki na podkładce i dodaję do listy spraw, które muszę omówić z Fordem lub z wykonawcami. Rzeczy, które najpewniej trzeba będzie zmienić, i takie, których nie przewidzieliśmy, bo trudno jest dokonywać zmian, gdy nie ma się pełnego dostępu do nieruchomości. Drogę rozświetlają światła samochodu. Ktoś wjeżdża na parking, po czym zawraca i rusza tam, skąd przyjechał, a ja zastanawiam się, jak z tego miejsca zrobimy prywatną przystań dla elit, jeśli leży ono tuż obok publicznej drogi.

Kolejne pytanie, które dodaję do listy.

I może zwariowałam, ale każdy kolejny punkt sprawia, że jestem szczęśliwa. Delektuję się podnieceniem, które odczuwam w związku z tym nowym przedsięwzięciem.

*Udało ci się, Sinclair.*



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

*Ellery*

PATRZĘ NA ZEGAREK I JESTEM ZSZOKOWANA, że minęło tyle godzin. Moje podekscytowanie, żeby już zacząć, przytłumiło chyba racjonalną potrzebę spędzenia ostatniej nocy na nicnierobieniu, zanim rozpocznie się prawdziwa praca. Nocy, w czasie której muszę tylko przygotować wybrany pokój, zjeść kanapkę zgarniętą po drodze, wypić kieliszek wina i dokończyć czytać ostatnie rozdziały powieści romantycznej, zanim pójde spać.

Z książki nie muszę chyba rezygnować. Nadal jednak mam na czole delikatny ślad po tym, jak w zeszłym tygodniu zasnęłam nad powieścią i czytnik spadł mi na twarz.

Tym razem będę go trzymać na brzuchu. To przynajmniej zapobiegnie kolejnym urazom.

Postanawiam, że wezmę prysznic, zanim zjem, poczytam i prześpię się tych kilka godzin, wracam więc na dół do pokoju, który wybrałam na mój krótkoterminowy pobyt.

Zastanawiam się, czy zamykać w nim drzwi. A może lepiej zostawić je otwarte na oścież, żeby wiedzieć, co się dzieje w pozostałej części hotelu? A nie powinno się dziać dosłownie nic.

Sprawdzam jeszcze raz drzwi wejściowe na parterze, żeby się upewnić, że są zamknięte, gdy w uszach rozbrzmiewa mi jedna z moich ulubionych piosenek. Bezwstydnie tańczę na korytarzu. Z każdym ruchem bioder zdejmuję kolejną część garderoby, po czym zamykam za sobą i bezceremonialnie rzucam ubrania na łóżko. Pokój jest ciemny, jeśli nie liczyć przytłumionego światła lampki na biurku i tego w łazience, które włączyłam wcześniej.

Wykonuję kolejny śmiały taniec i potrząsam mocno biodrami, po czym obracam się i wpadam wprost na coś.

Lub raczej na kogoś.

Kogoś całego mokrego i zupełnie nagiego.

Wrzask, który z siebie wydaję, gdy odskakuję, jest na zupełnie innym poziomie – słuchawki wy-

padają, telefon leci na podłogę. Zerkam przelotnie na stojącego przede mną mężczyznę. Wyrzeźbionego, opalonego, doskonałego i... penis. *O mój Boże*. Właśnie widziałam imponującego penisa Fordhama Sharpe'a.

Ta myśl dociera do mnie w tej samej chwili, w której moje stopy wpadają w poślizg w kałuży wody.

Upadam do tyłu z całą nagą gracją – podskakującymi cyckami, rękami mlóącymi powietrze i podrygującymi biodrami. Wdzięk nie jest dokładnie tym słowem, którego bym użyła do opisanie siebie. Instynkt każe mi wyciągnąć rękę w stronę Forda, a on próbuje mnie złapać.

Ale wtedy wyklada się na tej samej kałuży.

Rzucone przez niego przekleństwo odbija się echem od wykafelkowanych ścian, a zaraz po nim następuje głośne *lup!* W kolejnej sekundzie przewracam się na stojący z tyłu szezlong, a Ford ląduje prosto na mnie.

Chciałabym najpierw poczuć wdzięczność, że w tych ogromnych starych łazienkach są miękkie szezlongi, na które można się przewrócić, zamiast uderzać o twarde brzeg wanny. O tym powinnam myśleć przede wszystkim. O moim bezpieczeństwie.

Dość trudno jest jednak się na tym racjonalnie skupić, gdy ma się na sobie mierzącą około sześciu stóp i trzech cali postać zakrywającą plackiem całe ciało.

Jego dłonie trzymają mnie za nadgarstki tuż nad moją głową, a usta rozciągnięte w uśmiechu znajdują się zaledwie kilka cali od moich.

Nigdy wcześniej nie byłam tak świadoma każdego własnego zakończenia nerwowego jak teraz.

Przez chwilę gapimy się na siebie. Nie jestem pewna, czy nasze umysły nadążają za tym, co właśnie się przytrafiło naszym ciałom, ale spojrzenia zamierają w jednym miejscu, a ciała się napinają.

A to oczywiście, sprawia, że ten imponujący penis zaczyna napierać na moje biodra.

– Przepraszam – mówimy jednocześnie.

*Pocałuj mnie.*

Nie po raz pierwszy taka myśl przychodzi mi do głowy.

I najpewniej nie po raz ostatni.

Jak którakolwiek normalna kobieta mogłaby tak nie myśleć, stykając się skóra ze skórą, ciało z ciałem z mężczyzną tak wspaniałym jak Ford?

Otwieram usta, by coś powiedzieć, cokolwiek, czując tykanie tych dręczących i wstydliwych sekund.

– Jesteś w mojej łazience. Co tu robisz? Co, do diabła, tu się wyprawia?

Śmieje się.

– To ty jesteś w mojej łazience. Pisałem ci, że jestem blisko. – Unosi brew, słysząc, jak to brzmi, otwiera szerzej oczy, uśmiecha się szelmowsko i zniża głos. – A w kwestii tego, co właśnie robimy...

Jego wzrok wędruje w prawo, ale sekundę wcześniej dostrzegam w jego oczach jakiś błysk. Ostrzeżenie? Strach? Nie wiem dokładnie, co to, ale nagle zrywa się ze mnie w pośpiechu. Zanim zdążę się zorientować, co się dzieje, Ford rzuca mi ręcznik i odchodzi, dając mi tym samym doskonały widok swojego gołego tyłka.

Patrzę.

Oczywiście patrzę, podnosząc się, żeby owinąć się ręcznikiem i zmienić tę bardziej niż niezręczną pozycję na szezlongu – bo trudno nie patrzeć.

– Co ty, do cholery, tu robisz? Dlaczego? – pytam, podczas gdy on nadal stoi tyłem do mnie i zdejmuje z wieszaka obok drzwi prysznicowych kolejny ręcznik.

– Biorę prysznic. *Jak widać*. – W jego tonie wyczuwam nutkę rozdrażnienia, choć chwilę temu leżał na mnie z uśmiechem na ustach.

– Ale moje bagaże były w pokoju. Byłam tu pierwsza. Ty miałeś tu przyjechać dopiero jutro – wyrzucam z siebie kolejne zdania.

– A ja ci pisałem, że będę wcześniej. Wołałem od drzwi frontowych. Nie moja wina, że miałaś w uszach słuchawki ani że nie sprawdziłaś telefonu – mówi, a ja jestem zdezorientowana jego nagłym chłodnym tonem.

Gdy odwraca się twarzą do mnie, trzyma ręcznik na kroczu, tak że widać każdy oszałamiająco wspaniały cal jego ciała. Wcięcia w biodrach. Linię włosów pod pępkiem. Twardość jego ud. Siłę klatki piersiowej.

*Panie, miej litość.*

Z wielkim trudem podnoszę wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy, a gdy mi się to udaje, w jego wyra-

zie twarzy widzę obojętność, prawie gniew, który pasuje do tonu jego głosu. To mnie uderza.

Nie ma to jak rozmawiać o kobiecym braku wiary w siebie, gdy jest ona tak bezbronna.

On jest pod moim prysznicem. W mojej łazience. Podczas gdy miałam być sama. *I złości się na mnie?*

– Nie powinno cię tu być.

*Ale nie zdziw się, jeśli on nagle zepchnie cię na bok i wyrzuci poza obrazek. Sharpe'owie dla nikogo nie odsuwają się na dalszy plan.*

Słowa Chandlera wracają do mnie z pełną siłą i zasiewają ziarno zwątpienia, którego nie powinno tu być.

– *Możesz powtórzyć?*

Opuszcza na chwilę głowę.

– Nie to miałem na myśli.

– A co dokładnie, bo gdy ostatni raz sprawdzałam, to połowa tego budynku należała również do mnie.

– To prawda. Do nas *obojga*. Fifty-fifty. – Tłumi wesołość i wyciąga przed siebie rękę, ze znajomym uśmiechem, który przełamuje ból na jego twarzy.

Pomimo tego uśmiechu jestem już w defensywie. Przygotowana na walkę przeznaczoną dla Chandlera, na którą Ford nie zasługuje.

– To dlaczego jesteś fiutem? Byłeś w *moim* pokoju. Pod *moim* prysznicem. Korzystasz z *mojego* ręcznika, który tu przywiozłam. – Wskazuję na ten, którym zakrywa swojego penisa.

– W porządku. Proszę, twój ręcznik – mówi, podając mi go bez mrugnięcia okiem. Patrzę mu prosto w oczy, wytrzymuję to spojrzenie i mimo tego, jak bardzo kobieta we mnie chce spojrzeć w dół, odrzucam to pragnienie, widząc wyzwanie skrzące się w jego oczach. Odpowiadam spojrzeniem na spojrzenie i w nagłym przypływie brawury, nie chcąc być przyćmioną przez niego – mojego partnera – upuszczam swój ręcznik.

Wydaje z siebie powściągliwie syknięcie. W kącikach jego ust czai się uśmiech, a oczy się szeroko otwierają.

– *Co?* – pytam niewinnie. Stanie tam wymaga ode mnie nieziemskiego wysiłku. W żadnym wypadku nie jestem skromna, ale dobrowolne tkwienie przed tak wspaniałym mężczyzną jak on to nie lada wyczyn. Mówię tu o poczuciu niepewności. – To jest sprawiedliwe, bo od tej pory wszystko między nami będzie fifty-fifty.

– Pół na pół. – Cień uśmiechu na jego twarzy przeradza się w pełen zaciesz.

Sprawdzamy, kto dłużej wytrzyma. Kto pierwszy spojrzy? Czyja ciekawość sprawi, że się złamie? Które z nas zjedzie pierwsze z drogi?

– Dobra – odwzajemniam uśmiech i śmiałość, która czai się w kącikach ust. – Skoro to ustaliliśmy, możesz wyjść. Ja zamierzam wziąć teraz prysznic.

– Nie zapomnij ręczników. Nie chciałbym, żebyś nie miała czym się wytrzeć – mówi, robiąc krok w tył i spuszczać na chwilę wzrok.

*Skręcił.*

A ja natychmiast podążam za jego przykładem. Tak. Nadal cudowny. Nadal wielki. Nadal jest definicją perfekcji.

Nasze oczy znowu się spotykają. *Jezu*. Ta rezerwa, którą przed chwilą miał? Zupełnie zniknęła. Ten facet wie, jak patrzeć na kobietę, by poczuła, jakby była jedyną w pokoju.

Oczywiście, tym razem jestem tu jedyna, ale chodziło o metaforę.

Jest w nich intensywność. Pragnienie, którego nie powinno tam być, ale które czuję równie mocno.

On jest poza zasięgiem.

Każdy niesamowity cal jego ciała.

– Dziękuję za troskę, ale poradzę sobie.

– Zanotowane, ale wiedziałem to wcześniej. – Robi krok w tył, ponownie opuszcza wzrok, a jego nozdrza rozszerzają się. – Dobranoc, Ellery.

– Jesteś nagi! – krzyczę za nim ostrzegawczo, gdy otwiera drzwi. I wtedy zdaję sobie sprawę, jaką głupotę palnęłam. Hotel jest pusty. Poza nami nikogo w nim nie ma. On nie wychodzi na zatłoczony korytarz.

Gdy się odwraca, widzę tylko uśmieszek na jego twarzy i rozbawienie w jego oczach.

– Ty też.



## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

*Ford*

TO WSZYSTKO TRWAŁO SEKUNDY. Zderzenie z Ellery. Wylądowanie na niej. Przekonanie się, jak piekielnie dobrze nasze ciała do siebie pasują.

Jęczę.

Może i były to tylko sekundy, ale wystarczyły, żeby podpalić zapalną i rozniecić ogień.

I, kurwa, roznieciły.

Pragnienie. Potrzeba. Chęć. Żądza. To wszystko walczyło we mnie w ciągu tych kilku sekund. Pieprzyć obyczaj. Chrząnąć nasze partnerstwo. To, co działo się w mojej głowie, absolutnie nie sprzyjało partnerstwu.

Ile bym dał, żeby się nachylić i pocałować ją w usta. Żeby wpleść palce w jej włosy, rozdzielić jej uda kolanem i posmakować jej.

I założę się, że ten smak byłby równie uzależniający, jak uczucie wnikania w nią. Słuchania naszych jęków. Rozkoszowania się jej gorącym ciałem, gdy oboje będziemy dochodzić.

Naga Ellery.

Chryste. Nie mogę pozbyć się tego widoku z głowy. Brzoskwiniowy odcień skóry tylko podkreślał róż jej sutków i cudowne krągłości bioder.

Krągłości to dla mnie kryptonit i, cholera, ona je ma.

Znowu się wiercę, pościel spada ze mnie, podczas gdy mój kutas twardnieje, a myśli szaleją.

Mogę myśleć tylko o niej.

Dzieli nas ściana.

Jedno łóżko.

Zamknięte drzwi.

I byłem kuszony. Boże, jaki ja byłem kuszony jej ciałem leżącym pod moim – miękkim, ciepłym, zapraszającym... Dopóki nie spojrzałem na jej nadgarstek, który przytrzymywałem. To mnie brutalnie przywróciło do rzeczywistości.

Ślad po jej pierścionku.

A do tego artykuł z „Daily Transcript”, który czytałem rano, i zdjęcia, jakimi okraszono tekst. Chandler Holcombe, jego narzeczona Ellery Sinclair i nagroda dla „Architekta roku”, którą otrzymał.

I mimo wysokiej temperatury między nami to przypomnienie było jak wejście do zimnej wody.





## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

*Ford*

### *Dwanaście lat wcześniej*

ZDAJĘ SOBIE SPRAWĘ, ŻE TAM STOI. Nawet gdybym nie słyszał frontowych drzwi czy jego równego oddechu, wiedziałbym, że tam jest. Mój ojciec z całą pewnością ma taką osobowość, że zagarnia przestrzeń w każdym pomieszczeniu, do którego wchodzi.

Nawet w moim mieszkaniu.

– Kto cię tu wpuścił? – stękam, po czym przewracam się na plecy na kanapie i zakrywam ramieniem oczy.

– Jestem właścicielem tego budynku. Ostatnią rzeczą, której potrzebuję, to prosić kogokolwiek, żeby mnie wpuścił.

Nigdy się tym nie przejmowałem, aż do teraz. Aż do tej chwili, w której chcę po prostu zanurzyć się w swoim smutku i upić do nieprzytomności, bez niego będącego *nim*.

– Do obowiązków właściciela budynku nie zalicza się naruszania mojej prywatności.

– To odbieraj telefon, wtedy nie będę się musiał tutaj zjawiać.

Słyszę, jak elektryczne rolety się podnoszą, i natychmiast go za to nienawidzę. Pomijając potężnego kaca, w którym się taplam, słońca nie widziałem chyba od kilku dni.

– Oszczędź mi kazania. Wiem, co chcesz powiedzieć. – *Wstań. Nie pozwól, żeby kobieta odebrała ci swoją wartość. Olej ją, jeśli nie widzi, ile jesteś wart.*

Bla.

Bla.

Bla.

– Nie przyszedłem tutaj, żeby ci prawić kazania, synu.  
– Ha. Zabawne. Czy *kazania* to nie twoje drugie imię?  
– To nie fair. – Słyszę, jak chodzi po pokoju. Czuję, jak kanapa zapada się pod jego ciężarem. –  
Lubię myśleć, że mam do zaoferowania coś więcej.

Aha. W jego głosie pobrzmiwa odcień *czegoś*. Czyżbym właśnie obraził Maxtona Sharpe'a i to go dotknęło?

Jego westchnięcie zawisa w dusznym powietrzu mojego mieszkania.

– To jest nieuchronne, wiesz?

– Co?

– Złamane serce.

– Dzięki za wspaniałą obserwację. Czy możemy przeskoczyć do tej dobrej części, w której wychodzisz?

– Nie zachowuj się obraźliwie.

– Nie wchodź do czyjegoś mieszkania nieproszony.

– Ford. – Unosi rękę w stronę mojego piszczeła i ściska go. – Przykro mi z powodu Jennifer.

– No cóż, właśnie powiedziałaś, że złamane serce jest nieuniknione, więc...

– Synu. – Milknie na chwilę. – Masz tę niezwykłą zdolność do otwierania się. Bycia sobą bez żadnych zahamowań, nie dbając o to, co myślą inni. To jest godne podziwu.

Co to ma wspólnego z moim złamanym sercem? Czy to kolejna sytuacja, w której chce tylko słuchać samego siebie?

– Ja tego tak nie czuję – mówię i nakrywam twarz poduszką.

Podziw to ostatnie, co czuję. Przede wszystkim towarzyszy mi zranienie. Potem niedowierzanie pomieszane z gniewem, a zaraz po nich znowu zranienie.

Milczy, ale nie cofa dłoni.

– Zdradziła mnie. Zdradziła. Po dwóch latach bycia razem... – Te obrazy są wypalone w moim mózgu. Otwierające się drzwi, za którymi słychać charakterystyczne jęki. Widok Jennifer siedzącej okra-kiem na jednym z moich kolegów ze studiów MBA. *Kurwa*.

– Tak mi powiedzieli twoi bracia.

– Z kolegą ze studiów.

– I jak się z tym czujesz? – Unoszę brew, słysząc to. *A jak myślisz, jak się czuję?* Chyba nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby wypowiadał takie słowa. Od kiedy jest terapeutą? – Zadałem pytanie, Ford, i oczekuję odpowiedzi.

– Wkurwiony. Zły. Chcę zerżnąć kogoś przypadkowego, żeby się na niej zemścić.

Ale nie ma, kurwa, mowy, że to zrobię. Nawet po czymś takim. *Nie jestem takim facetem*. Za to zbyt lojalnym, żeby celowo mścić się ruchaniem. Wystarczyło, żeby po prostu ze mną zerwała, do cholery. Czy to było takie trudne?

No, ale przecież jest krętaczką, a dodatkowo zbyt wielkim tchórzem, żeby coś zakończyć, zanim pójdzie naprzód.

Ojciec zaciska usta i kiwa głową.

– Mów dalej, ale to nie sprawi, że poczujesz się lepiej.

– A co sprawi? Bo mijają dni, a to boli tak samo kurewsko jak wtedy, gdy ich zobaczyłem.

– Ona na ciebie nie zasługuje.

– I to ma pomóc?

– Nie. Ale to fakt.

– Jeszcze więcej wspaniałej mądrości od jedyne- i niepowtarzalnego. – Jęczę, siadając i mrużąc oczy, bo w głowie mi dudni. – Powiedz mi coś, wszystkowiedzący. Skąd dokładnie to wiesz?

– Po pierwsze, to będzie jeden jedyny raz, kiedy upiecze ci się mówienie do mnie z takim wyjątkowym brakiem szacunku. Cierpiący, ze złamanym sercem, nie obchodzi mnie to. Uczyłem cię czegoś innego, więc uważaj, jak daleko się posuwasz, Fordham.

*To zostaw mnie w cholernym spokoju*. Zaciskam pięści i zwalczam potrzebę bycia jeszcze większym dupkiem i wyładowania na nim swojej frustracji.

– Po drugie, to nie była ta jedyna. Mogłem ci to powiedzieć już pierwszego dnia.

Prycham.

– No, śmiało, tato. Skąd dokładnie to wiedziałeś?

– Bo to była kwestia wygody. Ona patrzyła na ciebie jak na źródło utrzymania, a ty na nią jak na kogoś, kto pasuje do roli.

– Pieprzenie. – Wypowiadam te słowa z większym przekonaniem, niż faktycznie odczuwam.

– Na pewno? Bo nigdy nie uważałem, że poszedłbyś dla niej w ogień tylko po to, żeby przez chwilę ją zobaczyć.

Jestem bliski śmiechu, ale gdy zerkam na niego, jego bursztynowe oczy, takie same jak moje, patrzą na mnie z niezrównanym przejęciem.

– Tęsknisz za mamą? – pytam go, czując się nagle jak dupek, który nie dostrzegł tego wcześniej.

Na jego ustach pojawia się łagodny uśmiech.

– Zawsze będę tęsknić za twoją mamą. To pewne. Ale nie, tu nie chodzi o nią. Tu chodzi o ciebie.

– Poszedłbyś dla niej w ogień? – pytam ledwie dosłyszalnym głosem.

– Tak. – Głos mu się łamie na tej pojedynczej sylabie.

Z każdym kolejnym dniem, każdym kolejnym rokiem pamięć o niej blednie, bez względu na to, jak mocno staram się jej trzymać. Dźwięk jej śmiechu. Zapach jej perfum. Sposób, w jaki nas tuliła, jak gdyby zależało od tego jej życie. Miłość, którą okazywała. *Boże, ona wiedziała, jak sprawić, żebyś czuł się kochany.*

– Tak. Poszedłbym – mówi, a ja się zastanawiam, czy byli tylko anomalią: oni i miłość, którą dzielili i którą najwyraźniej on dalej czuje. – Wtedy. I nadal. Poszedłbym dla niej do piekła i z powrotem. Czasami czuję, że ten cały czas bez niej jest moim życiem po życiu. Patrzenie, jak dorastacie, cieszenie się każdą minutą ze świadomością, że ją to wszystko ominęło.

– Przykro mi z powodu tego, co straciłeś – szepczę.

– Niepotrzebnie. Przynajmniej miałem szansę doświadczyć takiej miłości. – Odchrząkuje, dając do zrozumienia, że sesja terapeutyczna o miłości jest zakończona. – I chcę tego dla ciebie. Dla twoich braci.

– Naprawdę myślisz, że Callahan się ustakuje? – pryham.

– Znajdzie kogoś, kto zapanuje nad jego ogniem, podczas gdy ty potrzebujesz kogoś, kto rozpali twój.

– Co to ma znaczyć?

Jego wymuszony uśmiech niewiele mi mówi.

– Gdy ją znajdziesz, będziesz wiedział.

– Co będę wiedział? – Teraz po prostu zmyśla, żeby poczuć się jak ojciec, podczas gdy to go przeraża. – Jeśli znasz odpowiedź, przekaż mi, proszę, swoją mądrość.

– Synu, gdy charakter kobiety sprawia, że kochasz ją jeszcze mocniej, gdy jej opór sprawia, że chcesz jej rzucać wyzwania, i gdy jej uśmiech wywołuje w tobie pragnienie kolejnych, wtedy wiesz, że ona jest warta cholernego ognia.

Jego słowa sprawiają, że czuję się niekomfortowo, bo jestem pewny, że nie czułem tego do Jennifer.

– Rozumiem.

– W pewnym momencie zrozumiesz. A gdy tak się stanie, mam nadzieję, że będę na miejscu, żeby to zobaczyć.

– Jasne, jasne. – Macham ręką.

Nie może sobie po prostu pójść i dać mi się użalać nad sobą?

– Zrozumiałem aluzję. Będę się zbierał. – *Dzięki Bogu.* Ale gdy łapie za klamkę, odwraca się, żeby na mnie spojrzeć. – Obiecuj mi coś, Ford.

– Co niby?

– Nigdy nie zniżaj się do tego poziomu. Kradzież czyjejś kobiety pokazuje, kim jesteś naprawdę... albo raczej kim nie jesteś. A żadna kobieta, która chce zrobić to samo, i tak nie jest warta tego ognia.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

*Ellery*

W NIERUCHOMOŚCI WRZE.

Wykonawcy i robotnicy są wszędzie. Na korytarzach. W pokojach. Na zewnątrz. Absolutnie, kurna, wszędzie.

Powietrze wypełnione jest hałasem burzenia wewnętrznych ścian apartamentów, alarmów cofania ciężarówek wywożących gruz i młotów pneumatycznych kruszących beton, żeby zrobić miejsce dla kawiarni.

Panuje tu całkowity chaos, a ja cieszę się każdą jego sekundą.

Szczególnie dlatego, że dzięki temu oboje z Fordem jesteśmy przez większość czasu zajęci – w różnych miejscach nieruchomości.

Za każdym razem, gdy wchodzę do pokoju, mam wrażenie, że on z niego wychodzi.

I tak jest pewnie najlepiej, bo zawsze, gdy go widzę, wracam myślami do wydarzeń sprzed tych kilku nocy. Do widoku jego nagiego ciała, do arogancji w jego uśmiechku i drwiny w jego oczach.

*Partnerzy są poza zasięgiem.*

Czy to nie motto, które ukułam w głowie wczorajszej nocy, gdy położyłam się w łóżku, fantazjując o moim absurdalnie atrakcyjnym *partnerze*?

To dlaczego tak desperacko chcę je wcisnąć tam, gdzie słońce nie dochodzi?

Ale teraz, gdy muszę z nim porozmawiać, nigdzie nie mogę go znaleźć. Idę korytarzami wyłożonymi wykładzinami i mijam meble, które zostaną wystawione na sprzedaż.

– Wiecie może, gdzie jest Ford? – pytam kilka osób po drodze i otrzymuję jedynie chaotyczne machnięcia rękami w stronę miejsca, w którym będzie bar na dachu.

– Tu jesteś – mówię, gdy go w końcu znajduję. We włosach ma pył z płyt kartonowo-gipsowych, na kołnierzu koszulki widać ślady potu, a w džinsach na wysokości kolana widnieje dziura.

*A moje jajniki właśnie zostały postawione w stan gotowości do eksplozji.*

Ford w eleganckiej koszuli i muszce jest przystojny.

Bluza z logo Wharton na mokrej skórze jest kusząca.

I tak, nagi Ford jest więcej niż apetyczny.

Ale Ford w wersji „robotnik budowlany Jan Kowalski” to zupełnie inny poziom smakowitości.

*Partnerzy są poza zasięgiem.*

– Wszędzie cię szukałam. – Podnoszę swoją podkładkę i przyklepioną do niej, ciągle wydłużającą się, listę. – Muszę cię zapytać o kilka...

– Nie, nie musisz. – Posyła mi uśmiech i odwraca wzrok. – Podejmij decyzję, Sinclair. Mam całkowite zaufanie do wszystkich decyzji, które podejmujesz. – Rozgląda się, jakby kogoś szukał. – A teraz, jeśli wybaczysz, potrzebuję mnie na dole.

– Chwila. – Wyciągam rękę i chwytam go za ramię w chwili, w której zaczyna się oddalać. – Co się dzieje? To dopiero pierwszy dzień, a ty już mnie unikasz. Myślałam, że minie choć tydzień lub dwa, zanim będziesz miał mnie dość.

Nie dostaję w odpowiedzi tego śmiechu, na który liczyłam. Zamiast tego wrywa ramię z mojego uścisku i widzę, że pulsuje mu mięsień szczęki, gdy ją zaciska i rozluźnia. Nie mogę znieść tego, że nawet na mnie nie spojrzy.

– Raczej staram się robić to, co trzeba.

– Co to niby ma znaczyć?

Podnosi na mnie wzrok, a ja żałuję, że nie wiem, co oznacza to spojrzenie. Zagubienie? Dyskomfort? I dlaczego w ogóle którekolwiek z nich?

– Słuchaj. To jest pracowity dzień. Mam dużo na głowie. I naprawdę wierzę, że podejmiesz właściwe decyzje.

– To dlaczego mam wrażenie, że mnie unikasz i spławiasz?

Opuszcza głowę i wzdycha, po czym ponownie spogląda mi w oczy.

– Pamiętasz, jak miałaś swoje *sprawy*? Cóż, ja też mam *sprawy* i zamiast wyładowywać swoją frustrację na tobie, dla twojego dobra powinienem cię unikać. – Uśmiech, który mi posyła, nie dociera do jego oczu. – Tak, Zrzedliwy Ford wrócił.

Marszczę brwi, chcąc zadać więcej pytań, chcąc zrozumieć, ale gryzę się w język. Mogę zliczyć na palcach jednej ręki, ile razy w ciągu mojego trzydziestoletniego życia mężczyzna powiedział mi wprost, że potrzebuje przestrzeni. Normą było naskakiwanie na mnie i irracjonalne zachowanie, które miało na celu mnie odepchnąć.

Dlatego mimo że bardzo mnie to dobija, mimo że zastanawiam się, czy to, co go gryzie, jest moją winą, po prostu kiwam głową i daję mu to, o co prosi.

– Okej.

Patrzę, jak odchodzi, nadal ciekawa. Tymczasem zdrowy rozsądek mówi mi, jak jestem arogancka, zakładając, że jego problem ma związek ze mną, a nie z jego *sprawami*.

Pracujemy zatem jako zespół, ale osobno, a każde z nas zajmuje się różnymi aspektami tego pierwszego dnia. Ford koordynacją i płynnością, podczas gdy ja tym, na czym znam się najlepiej – poszczególnymi transakcjami, jeden na jeden.

Ale nawet pomimo przyspieszonego harmonogramu i uzgodnionych przedłużonych godzin prac, w pewnym momencie hałas powoli cichnie. Ekipy zaczynają składać swój sprzęt w kącie na noc. Z parkingu dobiegają dźwięki silników, gdy pracownicy odpalają auta i ruszają do domów.

A my zostajemy w wybebeszonym hotelu pełnym ciszy.

Przechodzę przez pierwsze piętro i bar, w którym poznaliśmy się z Fordem dwa miesiące temu. To jedyne miejsce, którego nie tknęły jeszcze młot pneumatyczny ani piła tarczowa. Bordowe stołki są upchnięte w jednym kącie, czekając, aż sklep wysyłkowy je jutro odbierze, a bar nadal jest częściowo zaopatrzone w połowie pełnymi butelkami stojącymi na ciemnych, drewnianych półkach.

Wygląda dokładnie tak samo jak tej burzowej nocy.

Wyczerpana, ale ciągle nakręcona pracowitym dniem, otwieram na oścież drzwi na deptak, wyciągam ze stosu jedno krzesło i niezgrabnie wlokę je na to, co zostało z patio. Zapadła noc, a światło księżycza rozjaśnia biel piasku i sprawia, że woda na horyzoncie lśni.

Gdy opadam na siedzenie, zastanawiam się, czy kiedykolwiek będę umiała wstać. Tak *bardzo* jestem wyczerpana. Szum fal i odgłos, jaki wydają, uderzając o brzeg, same w sobie są kołysanką.

– Proszę.

Podskakuję na dźwięk głosu Forda. Musiałam tak się zatopić w myślach i wycieńczeniu, że nie usłyszałam, jak staje obok mnie.

Gdy się odwracam, widzę, że jedną ręką podaje mi kieliszek czerwonego wina, a w drugiej trzyma szklankę z czymś innym.

– Dziękuję – mamroczę, biorąc od niego kieliszek, niepewna, gdzie się znajdujemy o tej wieczornej porze.

Znika i natychmiast wraca, po czym stawia obok mnie krzesło. Jego jęk brzmi dokładnie tak samo jak mój, gdy siadałam kilka minut temu.

Czekam, aż zacznie rozmowę, a im dłużej to trwa, tym bardziej się zastanawiam, czy będziemy tak po prostu siedzieć w ciszy pod konstelacją gwiazd. To też mi pasuje.

Unosi swój drink i kręci nim, po czym upija łyk.

– Fajne uczucie, prawda?

Nie muszę nawet pytać, o czym mówi, bo upajałam się tym cały dzień.

Własność. Posiadanie czegoś, co jest moje. Możliwość tworzenia według własnego uznania.

– Owszem. Nigdy nie miałam czegoś własnego, nad czym pracowałabym od początku do końca.

Unosi szklankę i stuka nią o mój kieliszek.

– Za nowe początki – mówi.

– Za nowe początki. – Chichoczę, a głowa wiruje mi od tego, jak bardzo zmieniło się moje życie w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

Kupiłam tę nieruchomość, zrobiłam sobie przerwę w pracy, zerwałam zaręczyny, zyskałam partnera, zabezpieczyłam swoje miejsce w Haywood i spędziłam mnóstwo godzin, planując przebudowę nieruchomości, która stoi za nami.

Delikatnie mówiąc, było to czyste szaleństwo.

A jeszcze tak wiele zostało do zrobienia.

– Co to znaczy? – pyta.

– Co znaczy? Mój chichot? – Kątem oka widzę, że kiwa głową, a moje myśli wędrują w stronę tego, gdzie powinnam dzisiaj być, a gdzie jestem, siedząc tutaj obok niego. – Dzisiaj miałam mieć ostatnią przymiarkę sukni ślubnej.

Odchrząkuje.

– Nie jestem pewien, jak powinienem na to zareagować.

– Na nic nie musisz reagować.

– Przełożyłaś więc przymiarkę, żeby być tutaj dzisiaj podczas rozbiórki? To z twojej strony cholernie szlachetne.

– Nie. Nie przełożyłam.

– Nie?

– Mhm. – Jak mam mu wyjaśnić, że miałam wyjść za mąż dla samego małżeństwa? To niekoniecznie stawia mnie w najlepszym świetle.

– Mogę zapytać, jeśli chcesz o tym pogadać i jeśli to były te *sprawy*, nad którymi tamtej nocy rozmyślałaś... ale to nie moje zadanie, będę więc tutaj siedział, cieszył się drinkiem z tobą i odpoczywał.

– Dziękuję. – Zsuwam się na krzesło i opieram głowę o oparcie, po czym skupiam wzrok na gwiazdach.

W powietrzu wisi potrzeba rozmowy, wyjaśnienia, żeby zrozumiał, ale nie jestem pewna, czy nawet ja rozumiem to, co kryje się za moim zachowaniem wobec Chandlera.

– Słyszę, jak myślisz, Elle.

Uśmiecham się.

– Postaram się myśleć ciszej.

– Dla jasności, nie jesteś mi winna wyjaśnień.

– Wiem, że nie.

Tak jak on mi dzisiaj nie wyjaśnił.

– Myślisz, że za ladą została jakaś mieszanka przekąsek?

Śmieję się. Nie wiem, dlaczego uważam ten komentarz za zabawny, ale tak jest.

– Pewnie są zwietrzałe.

– I pełne precli.

– Okropne. – Udaję obrzydzenie.

– I jest twój uśmiech – mówi, zmuszając mnie, żebym spojrzała wprost na niego po raz pierwszy,

odkąd usiadł. – Najwyższy czas, żeby się pokazał.

Wytrzymujemy nasze spojrzenia, a moje serce zaczyna walić. Jestem wdzięczna za kieliszek wina, dzięki czemu mogę zająć czymś dłonie poza wykręcaniem ich, bo to wyznanie kosztowało mnie tyle, że sama tego jeszcze chyba nie rozumiem.

– Jestem po prostu zmęczona.

– A ja wyczerpany. – Pomrukuje i przesuwa dłonią po włosach. – A oni zaczną jutro z samego rana o siódmej.

– Za całe dziesięć godzin. – Moje ramiona opadają.

– To ty chciałaś przyspieszonego harmonogramu.

– *My. My* tego chcieliśmy – poprawiam go.

– Myślę, że nie wiedzieliśmy, jakie to wyczerpujące. – Jego jęk przeradza się w śmiech.

– Nie ma zmiłuj, Sharpe. Nawet jeśli to nad nami miano by się na koniec zmiłować.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

*Ford*

A ZE SZCZERBATKĄ WSZYSTKO SIĘ UKŁADA? – pyta Ledger.

– Tak. Układa się. Stąpamy wokół siebie ostrożnie.

– Kłopoty w rajku?

– Nie. Żadnych.

– To nie brzmi przekonująco.

– Nikogo nie muszę do niczego przekonywać.

– Aha.

– Co to, do cholery, ma znaczyć, Ledger? Jestem zmęczony i nie mam nastroju na twoje pierdołenie.

W telefonie rozbrzmiewa jego śmiech.

– Minęło dużo czasu, od kiedy byłeś na terenie budowy. To mnóstwo pracy.

– Owszem. Dlatego dzwonisz? Żeby się ze mnie naśmiewać czy jest coś jeszcze?

– Nie dałeś odpowiedzi.

– A ty skąd to wiesz?

– Wydawca dzwonił. Prosił, żebyśmy wszyscy tam byli.

Wiem, jaki teraz mój brat ma wyraz twarzy, i że zagryza policzek, zastanawiając się, jak zapanować nad sytuacją, nad którą nie ma żadnej kontroli. To musi być dla niego nieznośne.

– Naprawdę zamierzasz to przegapić?

Wzruszam ramionami, choć on tego nie widzi. Ostatnie, na co mam ochotę, to obecność na imprezie z okazji premiery biografii. Już teraz nie mogę uciec przed tym szumem wokół niej. Jest wszędzie.



Zapytania o wywiady lub prośby, komentarze, które mogłyby zostać wykorzystane jako wstęp do artykułu.

Dlaczego chcą, żebyśmy to my ją promowali? Oczywiście, że chodzi o te niesamowicie przystojne i odnoszące sukcesy trojaczki. Ale czy mój ojciec i jego sukces nie są wystarczającym powodem do snucia intrygi wokół książki?

Jednak nie.

A to dlatego że ludzie mają obsesję na punkcie pieniędzy. Nic tak nie zwraca uwagi publiczności jak rodzinna dynastia i dramat, który się za nią kryje.

A ja nie zamierzam się dokładać do tego rodzinnego obrazka, który, jak się obawiam, chcą narysować.

– Powiedziałem, że nie wiem. Jeśli to ci nie wystarczy, to nie mam pojęcia, co by mogło.

– Nie bądź dupkiem.

– I kto to mówi – śmieję się.

– Słuchaj, wiem, że nadal cię dręczy ten *Po prostu Ford*. Nie zmienię tego. Nie chciałem ci mówić, dopóki nie będę miał pewności, ale odezwałem się do autora biografii i spytałem, czy możemy mieć kopie wszystkich nagranych wywiadów z tatą.

– Po co?

– On ma ponad pięćdziesiąt godzin nagrań. Pomyślałem, że fajnie by było usłyszeć nowe rzeczy o tacie mówione jego własnym głosem. Rzeczy, o których mogliśmy nie wiedzieć. Mieć coś, dzięki czemu nasze dzieci mogłyby go kiedyś poznać. – Ponieważ milczę, on kontynuuje: – Nie mamy zbyt wiele takich rzeczy związanych z mamą, więc pomyślałem, że nie zaszkodzi zapytać.

– Sprytne. – Czuję, jak ściska mnie w gardle. Czy te taśmy tylko potwierdzą, że w oczach ojca byłem w tej rodzinie wyłącznie obserwatorem? – Słuchaj, muszę kończyć.

– A co z premierą?

– Zapytaj mnie w przyszłym tygodniu.

Rozłączam się i czuję się podenerwowany. Niepokojny. Nieprzyzwyczajony do ograniczeń tego małego pokoju hotelowego, potrzebuję świeżego powietrza.

Ale czy nie czułem się tak przez cały dzień, mimo że byłem na świeżym powietrzu?

Ellery.

Czy nie to właśnie wywołało mój niepokój? Tę... irytację?

Musi być jakaś prosta odpowiedź, dlaczego odwołała przymiarkę sukni. Jej brak wyjaśnienia jeszcze bardziej namącił mi w głowie.

Niezaspokojone pragnienie to prawdziwa suka.

Bieganie. Jakies ćwiczenia.

Tego właśnie potrzebuję, żeby oczyścić głowę. Ocean. Blask księżycy. Jakiś wysiłek. Dystans od niej i jej perfum, których powiew czuję co jakiś czas.

Jestem tutaj niecały tydzień, a już mam wrażenie, że zaraz oszaleję. Wiedziałem, że jej pragnę. Wiedziałem, że przebywanie z nią tak blisko będzie kuszące. Nie przewidziałem jednak, że za każdym razem, gdy się do mnie zbliży, w moim systemie nastąpi absolutny chaos.

Mówimy tu o torturach.

Otwieram szeroko drzwi do mojego pokoju i wychodzę na korytarz. Docieram do zakrętu i nagle się zatrzymuję, stając twarzą w twarz z Ellery.

Stoi tam, z twarzą świeżo po zmyciu makijażu i z włosami upiętymi na czubku głowy. Ma na sobie za dużą bluzę, która odsłania jedno ramię, i króciutkie szorty eksponujące jej zabójcze nogi.

*Taa, pragnienie to zdecydowanie sukinsyn.*

– Cześć – mówi z zażenowanym uśmiechem, po czym gryzie lodowy batonik.

– Cześć.

*Kto by pomyślał, że widok jednego ramienia może być tak seksowny?*

– Przemycam lodowy batonik. Złapałeś mnie.

– Dlaczego musisz go przemycać?

– Bo tak robią kobiety. Jeśli go zjemy i nikt tego nie zobaczy, to wtedy kalorie się nie liczą.

– Czyli liczą się tylko wtedy, gdy ktoś zobaczy?

Kiwa głową, a jej kok się kołysze.

– Zaoszczędziłeś mi trudu ukrywania papierka w śmieciach.

– To jest cała rutyna, prawda?

Kok ponownie się kiwa, po czym Ellery mierzy mnie wzrokiem z góry na dół.

– Dokąd się wybierasz?

– Biegać.

– Jak by to miało sprawić, że się lepiej poczuję. – Prycha. – Dlatego ty masz mięśnie, które są jędrne, a ja krągłości, które są gąbczaste.

– W twoich krągłościach nie ma nic gąbczastego, Ellery – rzucam ten komentarz bezmyślnie. Policzki jej różowieją, ale nie odwraca wzroku.

Kiwa głową.

– W takim razie może powinnam zjeść kolejny lodowy batonik, gdy ty będziesz biegał. Bo te kalorie się liczą, a te drugie nie, skoro nie będziesz ich widział. A kilka dodatkowych miligramów wapnia to zawsze dobry pomysł.

– Myślę, że powinnaś.

– Nigdy nie zachęcaj otwarcie kobiety, żeby zjadła więcej lodów. To spowoduje irracjonalne i obsesyjne przywiązanie do zachęcającego. – Posyła mi uśmiech, który przypomina mi tę pierwszą noc, gdy myślałem, że jest zachwycająca, zanim zobaczyłem, jaka jest seksowna.

Teraz próbuję się trzymać wersji zachwycającej, bo ta kobieta robi mi coś, co powinno być uznane za nielegalne.

– Postaram się to zapamiętać.

– Powinieneś. Kiedyś cię to uratuje.

– Jestem dozgonnie wdzięczny. – Kładę rękę na piersi i udaję ukłon.

– Idź. Biegnij. Zanim pojawi się moja irracjonalność – mówi, a ja tylko się na nią gapię i kręcę głową. – No co? Czemu tak na mnie patrzysz?

*Bo im dłużej cię znam, tym mocniej mnie zaskakujesz... i to wcale nie jest złe.*

– Bez powodu. – Ruszam przed siebie w tej samej chwili, w której ona przesuwa się w prawo, żeby mnie przepuścić. Niestety ja też ruszyłem w jej prawo.

Zderzamy się ze sobą, a pomiędzy nami łąduje lodowy batonik. Czuję jego chłód na skórze i w tej samej chwili ona wydaje z siebie okrzyk i odskakuje.

Oboje patrzymy w dół na ślad, jaki lodowy waniliowy batonik zostawił na mojej gołej klatce.

– O Boże. Przepraszam. Zaraz to... – Wyciąga swoją dłoń, żeby zetrzeć ślad po lodzie, ale gdy mnie dotyka, zdaje sobie sprawę, że jej dłoń nie zrobi niczego dobrego.

Wizja jej języka zlizującego loda z mojej skóry atakuje moje myśli. Panuję nad nimi. Jego ciepło. Jego dotyk. *Chryste.*

Zmuszam się do przełknięcia śliny, gdy jej dłoń zamiera, a spojrzenie błękitnych oczu unosi i spotyka z moim.

Czas zatrzymuje się na ułamek sekundy, gdy zdaję sobie sprawę, że moja dłoń jest zaciśnięta wokół jej nadgarstka, a jej twarz znajduje się kilka cali od mojej.

Ona jest poza zasięgiem, Ford.

*Pieprzyć zasięgi.*

Biorę urywany oddech. Usta się otwierają, ale nie wychodzą z nich żadne słowa z powodu napięcia, jakie jest między nami.

Czy ona ma pojęcie, jak kurewsko jej pragnę? Od tamtej pierwszej nocy spędzonej tutaj. Od kiedy zobaczyłem ją znowu na licytacji. W każdej minucie każdego cholernego dnia myślę o niej na każdy możliwy sposób... a wyobrażenie jej języka na mojej piersi niczego nie ułatwia.

– Ups – mówi w końcu, jej uśmiech się rozszerza, ale nadal nie odrywa ode mnie wzroku.

– Nie przejmuj się tym – szepczę, próbując świadomie zwolnić uścisk wokół jej nadgarstka i zrobić krok w tył. – Następnym razem będę wiedział, że mam iść w twoją lewą stronę. – Kiwa głową, patrzy na moją klatkę piersiową, a potem z powrotem na mnie. – A teraz naprawdę potrzebujesz kolejnego, bo tego ci zniszczyłem.

– Tak. Jasne. Okej. – Jej słowa brzmią niczym wysokie staccato.

Muszę stąd wyjść, zanim zrobię coś, czego będę potem żałować. Na przykład przygwożdżę ją do ściany i będę ją całować, aż ten lodowy batonik zamieni się w kałużę na podłodze.

Robię kolejny krok w tył, z pełnym napięcia uśmiechem na ustach.

– Muszę iść. Pobiegać.

Kiwa głową i oblizuje swój kciuk, na który kapnął lód. Zaciskam zęby.

– A ja idę po kolejnego loda.

– Zostawisz jednego dla mnie?

Gryzie to, co zostało z batonika, jej usta zamykają się niewinnie na czekoladzie, podczas gdy ja

ścieram łód koszulką, którą mam w dłoni. Moja wyobraźnia jest już rozpalona.

– Czyli jesteś jednym z *tych* ludzi.

– To nie brzmi zbyt pozytywnie.

– Większość osób nie jada lodów po bieganiu. – Jej wzrok przemyka po moim torsie. – Mięśnie brzucha też pojawiają się znikąd, gdy śpisz? O, mięsień. Ups, jeszcze jeden. Jak ty w ogóle możesz spać, gdy te wszystkie mięśnie wyskakują ci na prawo i lewo?

Odrzucam głowę i wybucham śmiechem, wdzięczny za żart, który rozwiewa moje myśli.

– To ciężka praca...

– Ale ktoś musi to robić – mruczy.

Rzucam jej ostatnie spojrzenie, po czym odwracam się i otwieram drzwi.

Bieg.

Odległość.

Muszę zachować dystans od niej i od spieprzenia wszystkiego.

A jeśli bieganie w każdej cholerniej minucie każdej kolejnej nocy, które tu spędzę, ma mi w tym pomóc, to w takim razie będę chyba najbardziej wysportowanym facetem na tej planecie. *Najwyraźniej z samopojawiającymi się mięśniami brzucha*. Nie powiem, żeby mi przeszkadzało, że to zauważyła.

To wydaje się fair, biorąc pod uwagę, że gapię się na jej cholernie gorące ciało za każdym razem, gdy mam okazję. Gąbczaste krągłości, kurwa.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

*Ellery*

ŻARTUJESZ SOBIE, PRAWDA?

– Chciałbym, panno Sinclair...

– Ellery. – Chyba już setny raz poprawiam brygadzystę ekipy wyburzeniowej. Jeśli wiem cokolwiek o byciu kobietą na placu budowy, to to, żeby nie pozwolić nikomu, by mówił do ciebie panno, panielko albo pani. A już na pewno nie skarbie czy słodziutka. Jeśli tylko dasz facetowi odczuć, że jesteś kobietą, dostaniesz dziecięce rękawice, podczas gdy ty chcesz być traktowana jak jeden z tych koleś.

– Ellery – mówi, a ja kiwam głową. – Chciałbym żartować.

Unoszę i opuszczam ramiona, gapiąc się na niego i czując, że głowa mi zaraz wybuchnie.

– Jeszcze raz. Cała twoja ekipa zachorowała naraz na grypę żołądkową?

Kiwa głową, ale nie patrzy mi w oczy. Pytanie: dlaczego?

– Tak, proszę pani.

– I nie masz innej ekipy, którą mógłbyś ich zastąpić?

Wzdycha ciężko.

– Nie mam. Nie. Wie pani, że zrobiliśmy wam przysługę i wyjechaliśmy poza teren, na którym zwykle pracujemy. Wszyscy pracownicy mieszkali w tym samym hotelu w mieście. Wszyscy złapali wirusa.

– Kurwa mać.

– Wiem, że to was stawia w trudnej sytuacji. Mogę podzwonić po znajomych firmach z okolicy, ale lokalne związki strajkują, więc nie jestem pewien, czy pomogę.

Zaciskam usta, kładę ręce na biodrach, odwracam się i patrzę na rozpościerającą się przede mną

katastrofę powstałą z gruzów po płytach kartonowo-gipsowych.

– Jutro do tego skrzydła przychodzi ekipa od hydrauliki, a oni nie mają miejsca na zmiany w harmonogramie – mówię bardziej do siebie niż do Jamesa. To jest właśnie ten problem z przyspieszonym harmonogramem. Fachowcy nie wchodzą, nie kończą pracy i nie wychodzą dopiero wtedy, gdy ukończona jest cała budowa. W każdym miejscu, w którym prowadzimy remonty, fachowcy cały czas się wymieniają. Dzięki temu możemy zrobić jedną rzecz i całkowicie ją skończyć, podczas gdy prace w innych pomieszczeniach są na częściowych etapach.

To się doskonale sprawdza w teorii.

Aż w końcu przestaje się sprawdzać.

I teraz... się nie sprawdza.

– Wiem, proszę mi wierzyć. – Ciężar jego westchnięcia osiada mi na barkach. – Ale ja tutaj jestem. Znalazłem dwóch pracowników na jeden dzień, którzy mogą pomóc z mniej technicznymi zadaniami. Razem z nimi... i może z jeszcze jedną osobą, którą może pani załatwić, zrobimy tyle, ile się da.

– Dzięki. Zobaczę, co mogę zrobić. – Odchodzę kilka kroków, już wykończona, choć jest dopiero siódma rano.

Opieram się o jakąś surową framugę i wzdycham, po czym piszę wiadomość.

**Ja:** Moja ekipa wyburzeniowa.

**Joshua:** Co z nimi?

**Ja:** Wszyscy chorzy. Ci, z których ty często korzystasz.

**Joshua:** Może nie lubią z tobą pracować.

**Ja:** Nie pogrywaj ze mną.

**Joshua:** Nie muszę. Sama to pięknie spierdolisz.

**Ja:** Dupek.

**Joshua:** Owszem, ale ja ich nie ruszałem.

Gapię się na ekran z zaciśniętymi ustami i zastanawiam, czy mu wierzę, czy nie. Czy jest tak głupi, żeby mnie wyruchać, mimo przekonania, że mój sukces ostatecznie przyniesie mu korzyści?

Nie. Może i nie jestem jego największą fanką, ale on jest zbyt wielkim egoistą, żeby zaszkodzić czemuś, na czym może zyskać.

A teraz zostały mi szczątki ekipy, harmonogram, z którym niewiele mogę zrobić, i tylko kilka godzin na to, żeby wykombinować, jak rozwiązać ten problem.

A co w tym jest najgorsze?

Teraz muszę polować na Forda, żeby do złych porannych wiadomości dorzucić jeszcze gorsze i poinformować go, że za kilka dni uderzy w nas letnia burza. Nie przeszkodzi nam w postępkach wewnątrz budynku, ale spowolni działania w kawiarni, kuchni i barze na dachu.

Jasne, nasz pierwszy tydzień rozpoczął się z wielkim hukiem. Był produktywny. Dopracowaliśmy nasz harmonogram budowy i uzgodniliśmy wybory dotyczące wnętrza, dzięki czemu projektant mógł złożyć wszystkie zamówienia. Wybraliśmy meble, kinkiety, armaturę. Mamy niewiele miejsca na błędy lub niezgadanie się ze sobą, jeśli chcemy postawić to miejsce na nogi i szybko rozpocząć działalność.

I tak, siedzieliśmy z Fordem ramię w ramię lub po przeciwnych stronach stołu, podejmując te decyzje, ale każda kolejna otrzeźwiająca chwila budowała między nami zdrowy dystans. Skończyło się wpadanie na siebie na korytarzu, gdy on idzie biegać, a ja jem loda. Koniec drinków na deptaku. Zostały wyłącznie burknięcia w odpowiedzi i jego wygodne ucieczki w rozmowy telefoniczne za każdym razem, gdy muszę z nim porozmawiać.

Zręczliwy Ford powrócił z pełną mocą.

Biografia jego ojca jest jedyną rzeczą, którą mogę wskazać jako zewnętrzne źródło rozdrażnienia. Za każdym razem, gdy ta książka i jej nadchodząca premiera były wspomniane w telewizji w starym barze – trzymamy tam odbiornik w celach rozrywkowych – on natychmiast go wyłączał. Nawet jego rozmowy telefoniczne z braćmi – a przynajmniej te, które słyszałam – były szybko ucinane.

Albo to, albo faza miesiąca miodowego między nami dobiegła końca, świeżość naszej relacji minęła, a on właśnie zdał sobie sprawę z tego, że mnie nie lubi.

Zdarza się.

Ale jest to kłopotliwe w sytuacji, w której mamy jeszcze tyle do zrobienia, i w której łączą nas kontrakt i ta nieruchomości.

– Ford – odzywam się, gdy mnie mija, z opuszczoną głową, odpowiadając na wiadomość.

Zatrzymuje się i podnosi wzrok.

– No?

– Złe wieści – mówię, a potem z pomocą Jamesa tłumaczę sytuację.

– Mogę pomóc. Zatrudnijcie mnie – stwierdza Ford, gdy kończymy wyjaśnienia. – Bez obrazy, James, ale przebijanie się młotem pneumatycznym przez płyty kartonowo-gipsowe nie brzmi jak fizyka kwantowa.

– Nie uraziłeś mnie, ale naprawdę tego chcesz? – pyta James, wyraźnie zszokowany, że Sharpe zamierza się ubrudzić.

– Tak. – Ford posyła mu uśmiech. – Chętnie coś rozwalę, żeby rozładować frustrację.

– Zatem proszę za mną – mówi James.

Praca może i wygląda na łatwą, ale jest wykańczająca. To nie tylko kwestia tego, że młot pneumatyczny męczy mięśnie swoim ciężarem, ale wyczerpuje również podczas wyciągania go ze ściany, gdy tam utknie. Młot wibruje, gdy przecina się nim ściany nienośne, a na dodatek trzeba potem uderzać belki młotkiem, żeby je wybić z miejsca.

I oczywiście, skoro wszystkie ręce na pokład, to ja też postanawiam pomóc. Ford nie powinien być jedynym, który musi przełączyć się na inne zadania.

– Ellery, setny raz ci powtarzam, że sam sobie poradzę – marudzi, gdy stękam, próbując wykopać kantówkę.

Ramiona mnie pieką, a oczy palą pomimo ochronnych gogli, ale nie okazuję tego.

– Wiem, że sobie poradzisz, ale dlaczego tylko ty masz się bawić?

– Bawić? – prycha.

To w ogóle nie jest zabawa. Czuję jednak potrzebę udowodnienia, że daję z siebie wszystko, zwłaszcza biorąc pod uwagę tę dziwność panującą między nami. A jeśli to ma mi w tym pomóc, to proszę bardzo.

– Sinclair.

Odpędzam pył, który lata wokół mojej twarzy i patrzę w stronę jednego z hydraulików, którzy pracują na górze.

– No?

– Przechodziłem właśnie obok foyer. Ktoś cię szuka.

– Mnie?

– Facet w garniturze. Nie jest zachwycony pyłem. – Śmieje się pod nosem.

– Dzięki. – Opieram młot pneumatyczny o ścianę i odruchowo ścieram kurz ze spodni, mimo że to daremny trud. Podnoszę wzrok i widzę, że Ford stoi po drugiej stronie pomieszczenia i patrzy na mnie. Wzruszam tylko ramionami i wychodzę z miejsca, które wkrótce będzie luksusowym apartamentem.

Gdy skręcam za róg, zatrzymuję się, bo u wejścia do zajazdu widzę Chandlera, sztywnego i zdecydowanie niepasującego tutaj.

Zdejmuje coś z ramienia swojego doskonale uszytego garnituru, a jego buty Bruno Magliego łapią pył już od samego stania tutaj.

Ryba wyjęta z wody.

– Chandler? Co ty tutaj robisz? – pytam, gdy pospiesznie do niego podchodzę. Zupełnie jak gdybym musiała dotrzeć do niego przed kimkolwiek innym, bo on tu nie pasuje.

Co jest zupełnie irracjonalną myślą, która i tak pojawia się w mojej głowie.

Ostatnie miejsce, w którym chciałabym łączyć swoją przeszłość z przyszłością.

– Niespodzianka. – Rozkłada ręce w geście powitania. – Chciałem wpaść i zobaczyć, jak ci idzie.

– Dlaczego? Gdy ostatnio rozmawialiśmy, powiedziałeś, że masz nadzieję, że polegnę, dzięki czemu wrócę do ciebie z podkulonym ogonem.

– Daj spokój – mówi, gdy przed nim staję. – Nie przesadzaj. – Krzywi się, lustrując mnie od góry do dołu. – Wybacz, że cię nie uściskam, ale jesteś brudna.

Od kiedy jest taką primadonną?

Uśmiecham się w odpowiedzi.

– Wiem.

Przygląda mi się intensywnie i z niedowierzaniem, które jest prawie komiczne.

– Skończyłaś już tę farsę? To znaczy – robi ręką gest obejmujący moją postać – to nie jesteś ty.

*A jednak tak to wygląda.* I sama za to odpowiadam, bo chciałam wyjść za człowieka, który nigdy tego nie zauważał.

Na mojej twarzy pojawia się pobłażliwy uśmiech.

– Mamy dzisiaj cholernie dużo pracy.

– Dla mnie możesz znaleźć czas.

Uśmiech zamiera mi na twarzy, gdy nasz brygadzysta, Roddy, przechodzi obok i przygląda się naszej dwójce. Czuję, jak nas ocenia, nie wypowiedziawszy ani jednego słowa. Trzy miesiące temu nie miałabym nic przeciwko staniu obok Chandlera, ale teraz czuję się jak zupełnie inna osoba niż ta, która zgodziła się za niego wyjść.

To szaleństwo, ile może zmienić perspektywa.

– Najwyraźniej robisz postępy – mówi Chandler, żeby wypełnić niezręczną ciszę.

– Mhm.

– Sharpe podjął dobrą decyzję z tą zmianą elewacji budynku. Linie będą wyraźniejsze, a estetyka ponadczasowa. On naprawdę zna się...

– To były moje decyzje.

Wzrok Chandlera przeskakuje na mnie, a jego protekcjonalny śmiech świadczy o tym, że mi nie wierzy. Albo nie wierzy w to, że potrafię podejmować poważne decyzje, albo w to, że Fordham Sharpe pozwoliłby kiedykolwiek, żeby kobieta zadecydowała za niego.

Ani jedno, ani drugie nie może być dalsze od prawdy.

I obie opcje mnie wkurwiają.

– Jak mówiłam. Jesteśmy dzisiaj zawałeni robotą. Cała ekipa się rozchorowała, a my mamy poważny dedlajn. Dzięki, że wpadłeś, ale...

– Daj spokój, Ellery. – Wyciąga rękę i próbuje spleść palce z moimi. Zamieram w odpowiedzi, czując tylko wstręt. – Wysiłem się, żeby tu przyjechać, to przynajmniej możesz mnie oprowadzić.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

*Ford*

PIERDOLONY DUPEK.

Uderzam młotem w płytę kartonowo-gipsową.

*Naręczony, kurwa mać.*

Odgłos narzędzia uderzającego w gips w ogóle nie osłabia zazdrości, która mnie przeszyla, gdy ten facet położył rękę na jej plecach.

Chandler Holcomb ze swoim pretensjonalnym uśmiechem i protekcjonalnym tonem. Pewnie ćwiczy ten zadowolony z siebie uśmiezek każdego ranka przed lustrem. Nawet nie wie, że wygląda wtedy jak dupek.

Jak ona może go lubić?

Jak może chcieć faceta, który patrzy na nią z góry, zamiast traktować jak kogoś równego sobie?

Bo z całą cholerną pewnością tak robi. Było to słycać w tych durnych pytaniach, które jej zadawał. W tych protekcjonalnych komentarzach, które wyraźnie podważały jej umiejętności. W sposobie, w jaki każdemu, z kim rozmawiał, dawał do zrozumienia, że ona należy do niego.

Przez niego krew we mnie zawrzała.

A to, że ona jest z nim i wygląda tak nieszczęśliwie, jeszcze to spotęgowało.

Zasługuje na dużo więcej.

Zasługuje na... *mnie*.

Stękam, podnosząc znowu młot, i próbuję pracować pomimo gniewu, który wywołał jego widok.

*Dlaczego ona go tu zaprosiła?*

Na zewnątrz słycać grzmoty zbliżającej się burzy. Pasują do mojego nastroju. Świetna wy-



mówka, dlaczego muszę dalej pracować, mimo że wszyscy pozostali już stąd wyjechali.

*Podnieść. Rozbić. Szarpnąć.*

Tworzę rytm destrukcji. Ścieżkę dźwiękową dla moich pędzących myśli.

Plan jest taki, żeby pracować, aż padnę z wycieńczenia. Aż nie będę w stanie dłużej myśleć. Aż nie będę już pragnął.

W każdym razie w teorii.

Czerpię z tej pracy zadowolenie, jakiego się nie spodziewałem. Z niszczenia czegoś po to, by potem to odbudować. Z brudzenia sobie rąk i z przepoconych ubrań.

Wiem o jej obecności w chwili, w której się pojawia.

Wyczuwam woń jej perfum, nawet pomimo pyłu wypełniającego pomieszczenie, zanim jeszcze słyszę jej kroki.

Ale nie odwracam się. Nie patrzę. Pracuję.

*Podnieść. Rozbić. Szarpnąć.*

Wszystko tłumię – pragnienie, wściekłość, konsternację, potrzebę – i lepiej, żebym to tak, kurwa, zostawił.

– Podziwiasz widok, czy zamierzasz coś w końcu powiedzieć? – dogryzam jej.

*Podnieść.*

– Mamy problem.

*Rozbić.*

– Oczywiście, że mamy problem. – *Nazywa się Chandler Holcomb.*

*Szarpnąć.*

– Ta dodatkowa ekipa? Ci, którzy mieli nam dzisiaj pomóc?

– Co z nimi? – Nawet nie przerywam, żeby na nią spojrzeć.

– Oni, ech... rozebrali ścianę twojego pokoju.

– Świetnie. Doskonale. To było, kurwa, do przewidzenia. Mam to gdzieś, mogę spać na plaży.

– Śmiało.

– Lepsze to od siedzenia tutaj z tobą – mamroczę.

– O co ci, kurwa, chodzi, Sharpe? – pyta, stając w zasięgu mojego wzroku.

*Nie patrz, Ford.*

– O co mi chodzi? – *Nie. Patrz.* – O nic mi nie chodzi.

– Yhm, bo mnie, kurwa, oszukasz.

– To nie byłoby takie trudne, nie? – Stękam, uderzając ostatni nietknięty wielki fragment ściany.

– Możesz na chwilę przestać?! – wrzeszczy.

– Muszę to skończyć. Muszę trzymać się harmonogramu. Muszę... – Nie kończę, bo szarpie mnie za bicepsy, gdy jestem w trakcie zamachu. Upuszczam młot z głośnym hukiem i odwracam się do niej z wściekłością, która tkwi mi w gardle. – Oszalałaś, kurwa?! – krzyczę.

– Najwyraźniej tak, bo zgodziłam się robić ten projekt z tobą, humorzasty, dupkowany skurwielu!

– Przykro mi, jeśli chciałaś mnie tym urazić... ale ci się nie udało.

– Mam to gdzieś. – Kładzie ręce na biodrach i wzdycha.

– Nie, nie masz.

Podchodzi do mnie i z każdym wypowiedzianym słowem uderza palcem w moją klatkę piersiową.

– Mam. To. Gdzieś – cedzi, a ja pryham i kręcę głową. Wygląda na to, że tyle wystarczy, żeby ją wkurzyć. – Jesteś najbardziej upartym i irytującym człowiekiem, jakiego znam.

– Ja? – Kopię kawałek drewna. – Wszystko musi być tak, jak ty, kurwa, chcesz. W twoich ramach czasowych. I Boże broń, oczywiście cenę twoje opinie i wkład...

– Co ty...

– Nie przyjmuję rozkazów od nikogo, Sinclair, a już na pewno nie od ciebie.

– Gówna prawda. Utknąłeś tu ze mną.

*I tutaj leży problem.*

– Gówna prawda? – ripostuję.

– Słyszałeś. Możesz sobie wziąć to całe pieprzenie „Jestem Sharpe i Rządzą Światem” i wsadzić je sobie tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Śmieję się. Odchylam głowę i aż się trzęsę. Ona jest niczym kula ognia w ciele chochlika i, Boże, jak ja pragnę tego ciała.

*Dlaczego więc zachowuje się tak wobec mnie, a nie wobec swojego dupka narzeczonego?*

– Niezłe z ciebie ziółko, Elle.

Jej uśmiech ocieka sarkazmem, tak jak słowa, które wypowiada.

– Jasne. Pewnie, że jestem. Bardzo chętnie podejmę się tej roboty i będę *naprawdę pracować*, zamiast celowo i za wszelką cenę cię unikać, tak jak ty mnie.

– Doskonale. Proszę. Ale twoje stopy muszą się ruszać, żeby to robić, więc... uciekaj.

– Słucham?

– Słyszałaś.

– Wiesz co? Nieważne. Będę stać tutaj, żeby cię wkurzać. Skoro mnie nie lubisz...

– Nie lubię cię? – ryczę, po czym przeczesuję dłonią włosy i cofam się kilka kroków. – *Nie lubię cię?* Jezu Chryste, Ellery, każdego dnia, w każdej cholerniej chwili myślę tylko o tym, jak bardzo cię, kurwa, lubię. – Odwracam się, żeby na nią spojrzeć. – *Jak, kurwa, cholernie cię pragnę.* Ale staram się ciebie szanować. Szanować nasze partnerstwo. I fakt, że jesteś zaręczona z tym pretensjonalnym dupkiem, który był tu wcześniej. Wybacz mi więc, że trzymam się od ciebie z daleka, unikam cię, ale, Jezu, więcej nie uniosę.

Stoi przede mną jak kupka nieszczęścia. Z włosami wystającymi z kucyka, pyłem na policzku, świeżym zadrapaniem na ramieniu, mruga tylko oczami, patrząc na mnie, jakbym oszalał.

Cóż, tak się czuję.

– Co ty właśnie powiedziałaś? – szepcze.

– Słyszałaś. – Mój głos jest dziesięć razy głośniejszy.

– Nie, w zasadzie to nie słyszałam.

– Nazwałem twojego narzeczonego pretensjonalnym dupkiem, który przyszedł zaznaczyć swój teren, chodząc tutaj jak właściciel, chociaż w rzeczywistości to miejsce należy do ciebie. I do mnie. To właśnie, kurwa, powiedziałem.

– On nie jest moim narzeczoną.

Mój śmiech jest głośny i szyderczy.

– Aha, jasne. Nie to mówiła gazeta w artykule o zeszłotygodniowej ceremonii „Jestem Pieprzonym Architektem Roku”.

Ellery patrzy na mnie z taką jasnością w oczach, jakiej jeszcze u niej nie widziałem.

– On nie jest moim narzeczoną. Poszłam z nim, żeby zachował twarz.

Zachował twarz? *Pretensjonalne i kurewsko żalodne usprawiedliwienie dla mężczyzny.* Robi kilka kroków w moją stronę i mówi:

– Ale nie o to mi chodziło, gdy pytałam, co właśnie powiedziałaś. Powtórz to.

– Co? Że jest pretensjonalnym dupkiem?

– Nie, uparty kretynie. Tę drugą część.

Jest blisko. Zbyt blisko. Wyciągam rękę, żeby wyjąć z jej włosów kawałek płyty wiórowej, jednocześnie przeczesując umysł w usilnej próbie przypomnienia sobie potoku słów.

Zaciskam mocno oczy, doskonale wiedząc, co powiedziałem. Desperacko chcę to powtórzyć. Jednocześnie jestem przerażony.

– Chodzi ci o tę część, że cholernie cię pragnę?

Kiwa głową i przełyka z wysiłkiem ślinę, a jej wzrok pada na moje usta.

– Jesteśmy partnerami, Ford.

– Wiem.

– To byłoby błędem... – Jej głos się załamuje, a ja kiwam głową.

– Byłoby. Ale niepoddanie się temu byłoby parodią.

Przesuwa dłonią po mojej klatce.

– Tak myślisz?

– Mhm – mruczę i kładę dłoń na jej policzku.

Nachyla się. Czuję jej ciepły oddech na ustach, gdy szepcze:

– A ja od parodii każdego dnia wolę popełniać błędy.

– Dzięki, kurwa, za to. – Jęk, który z siebie wydaję, gdy przyciągam ją do siebie, jest podkreślony uderzeniem pioruna na zewnątrz. Moje ciało wije się, gdy odnajduję jej wargi swoimi i zagłębiam w nie język. Pragnę jej każdym zmysłem.

Jezu Chryste. *Miałem rację.*

Ta kobieta. Jej smak. Cholernie uzależniający.

A ja nie mam dość.

Pył z budowy unosi się wokół nas, gdy jej dłonie wplatają się w moje włosy, a nasze usta łączą się ciągle i ciągle, i ciągle w przypiływie wolności, w której oboje się zatopiliśmy. I w której nie chcemy być

znalezieni.

Cofamy się, nasze dłonie domagają się, a nasze usta żądają.

Więcej.

Teraz.

Chcę więcej.

Jej.

Tego.

Tej chwili.

*Tylko, kurwa, jej.*

– Ford – jęczy, gdy składam pocałunki na odsłoniętym fragmencie jej szyi. – Nie chcę cię tak chcieć, ale jestem już zmęczona walką z pragnieniem.

Wkładam jej dłoń we włosy i odchylam głowę, żeby spojrzeć w oczy.

– To przestań walczyć.

I, kurwa, jak jej usta mnie kuszą. Jaką one mają nade mną władzę. Jak mnie wzywają, żebym zachował każdą cholerną odrobinę powściągliwości, na którą mnie stać, jednocześnie ją niszcząc.

*To przestań walczyć.*

Biorę do siebie swoją radę i angażuję z powrotem język i dłonie. Ona zdejmuje mi koszulkę przez głowę, a ja bawię się zapięciem jej stanika.

Potykam się, przechodząc przez drzwi, zdejmujemy spodnie i próbujemy zrzucić buty.

Rozglądam się za miejscem, na którym mógłbym ją położyć. Czymś, co nie jest pokryte pyłem lub niebezpieczne, bo liczy się czas, a ja nie mam już silnej woli, żeby dłużej czekać.

Czuję, jakbym czekał całe życie.

– Tutaj – mruczy, gdy jej dłoń wsuwa się w moje bokserki i łapie mojego penisa.

Wydają z siebie gardłowy jęk, ale nie ma to nic wspólnego z uczuciami, które mnie teraz ogarniają.

Smak jej pocałunku.

Zapach jej skóry.

Żądanie w jej dotyku.

Dźwięk jej próśb.

Kurwa, ta kobieta doprowadzi mnie do szaleństwa, jeśli za cholerną chwilę się w niej nie znajdę.

– Ellery – mówię, gdy wpadamy na drzwi, które otwiera i wprowadza nas do swojego pokoju.

Jesteśmy kłębkami błędzących dłoni i stopionych w jedno ust, gdy zrzucamy spodnie i całujemy się nawzajem bez nabierania powietrza.

Desperacja, której wcześniej nie znałem, zżera mnie, trzyma mnie w szponach, pochłania.

– Zaczekaj – mruczy, po czym odsuwa się i idzie do łazienki, kołysząc biodrami, dając mi cholernie świetny widok na swój tyłek.

Korzystam z tej krótkiej chwili, żeby strzepnąć jak najwięcej pyłu z włosów, po czym zaczynam pocierać penisa, czekając na nią.

Gdy wraca do pokoju, podnoszę wzrok i widzę, że Ellery Sinclair, panna przygotowana, trzyma opuszkami palców kondom, a na jej ustach widnieje podstępny uśmiech.

– Przywiozłaś kondomy? – pytam, biorąc go, po czym rozrywam folię zębami.

– *To* było nieuniknione. Wiedziałam. Przygotowałam się. – Chwyta mojego kutasa dłonią i ścisną. – I, Boże, jak tego pragnę.

Gdybym nie był już napalony, po tym komentarzu i na widok jej pewności stałoby się to natychmiast.

Patrzy, jak nakładam gumkę, a w chwili, w której kończę, jej dłonie znajdują się na moim tyłku i popychają mnie w stronę łóżka, podczas gdy jej usta mówią mi, czego pragnię.

– Chcę, żebyś mnie zerznął, Ford. Długo. Głęboko. Mocno – mruczy mi w twarz, podczas gdy moje dłonie ścisną jej piersi. Jej oddech urywa się z podniecenia. – Innym razem będzie czas na grę wstępną, ale teraz... teraz chcę po prostu ciebie. Chcę tego.

Przejeżdża dłonią po moim kutasie i cała powściągliwość mija.

– Kładź się na łóżku – żądam.

Siada, odchyła się do tyłu, zgina kolana i odsłania cipkę.

*Kurwa.*

To ciało, które widziałem w zeszłym tygodniu – to, o którym marzyłem, fantazjowałem – jest jeszcze lepsze, niż myślałem, gdy tak leży przede mną naga i chętna.

I, kurwa, oczywiście, że zamierzam nacieszyć się każdym jego fragmentem. Linią jej ud. Kształtem jej bioder. Łukiem jej pleców. Wyraźnymi szczytami jej różowych piersi. Nienasyconym smakiem jej języka.

– Jesteś... olśniewająca – szepczę. Wdrapuję się na łóżko, całuję wewnątrz jednego z jej kolan i przesuwam palcem po drugim. – Wspaniała. – Kolejny pocałunek w szczyt jej wzgórka. Wdycham ją. Podniecenie i Ellery to uzależniająca kombinacja. – Seksowna. – Całuję jej brzuch, po czym zaczynam lizać i ssać jej sutek. Jej plecy wyginają się, a z ust wydobywa jęk – tak cholernie podniecający. – Niesamowita – mówię, przyciskając usta do jej ust, po czym wkładam pomiędzy nie język w powolnym, leniwym pocałunku, który stawia każdy z moich nerwów w pogotowiu.

Przejeżdża paznokciami w dół mojej klatki, sprawiając, że mój kutas drży w oczekiwaniu, po czym wbija mi je w biodra, błagając, bym w nią wszedł.

Ta kobieta nie musi prosić dwa razy.

Siadam na pośladkach i dotykam czubkiem kutasa jej szparki. Jej podniecenie lśni w przytłumionym świetle, gdy toruję sobie drogę pomiędzy różowymi wargami. Wchodzę bardzo powoli, a jedyną zachętą, której mi trzeba, jest jęk Ellery, mówiący: „Jak dobrze”.

A gdy jestem już w niej do końca, gdy jej oddech się urywa, a szyja wygina, gdy jest gotowa na pełnię, podnosi wzrok i patrzy mi w oczy, zupełnie jakby chciała rzucić mi wyzwanie, żebym doprowadził ją do szaleństwa.

Jak ciepło.

Jak ciasno.

Jak mokro.

Kurwa mać, jasne, że to zrobię.

Zaczynam się poruszać, miękkimi, powolnymi pchnięciami, żeby widzieć jej każdą żyłkę. Dłoni trzymam ją za biodra, a mój wzrok przeskakuje pomiędzy przyjemnością spowijającą jej twarz a moim nieopisanym podnieceniem, gdy patrzę, jak w nią wchodzę, a potem się wysuwam.

To uczucie, gdy w niej jestem... niesamowite. Chciałbym przyspieszyć, ale robię, co mogę, żeby zwolnić i pozwolić tej przyjemności trwać. Żebyśmy razem mogli oszaleć.

– Ford. Tak – szepcze, chwytając prześcieradło, na którym leży, a ja przyspieszam.

Przyciskam kciuk do jej szparki i zaczynam pocierać jej łechtaczkę. Jej jęki i przyspieszony oddech są wszystkim, czego mi trzeba, by wiedzieć, że daję jej to, czego potrzebuje, jednocześnie biorąc to, co chcę.

Pieprzę mocniej i przywieram ciaśniej do jej ud, bo desperacja bierze górę. Pokój wypełniają dźwięki wydawane przez nasze złączone ciała. Śliskie cofnięcie się i wepchnięcie z powrotem. Nasze zmęczone oddechy.

Dalej i dalej.

Wejść i wyjść.

Tak. Teraz. Mocniej. Właśnie tu. *O mój Boże.*

Zaciskam mocniej oczy, żeby się wstrzymać, zaczekać na swoją kolej, ale to jest, kurwa, brutalna walka, gdy naciskam jej łechtaczkę, szybciej, mocniej.

Napina nogi i odchyła plecy na chwilę przed tym, gdy jej krzyk odbija się od ścian pokoju.

Ciasna cipka zaciska się wokół mojego kutasa jak imadło i, kurwa, już po mnie. Już, kurwa, totalnie po mnie.

– Elle – mówię, gdy po wyrazie jej twarzy – zamkniętych oczach, rozluźnionych ustach, twardych sutkach – widzę, że mnie nie słyszy. Jest zatopiona w swojej rozkoszy. – Elle. – Przeciągam to słowo, podczas gdy każda część mnie, która boli i piecze w najlepszy możliwy sposób, rozpala się od podbrzusza, do penisa i jąder.

Szarpię biodrami, a moja świadomość spada, gdy przyjmuję falę za falą tej absolutnej rozkoszy, która przepływając przeze mnie, rozpala do białości.

Ciągle i ciągle.

Tak jak pulsowanie jej mięśni wokół mnie.

Przeciągam dłonią przez środek jej pokrytej gęsią skórą klatki piersiowej.

Chryste. *Ta kobieta.*

Wiedziałem, że będzie niesamowita, że seks z nią będzie niesamowity, nie wiedziałem tylko, że w chwili, w której ją posiądem, będę znowu jej pożądał.

To chyba może być problem.

Ale, kurwa, taki, który zamierzam rozwiązać, pieprząc ją ciągle na nowo.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

*Ellery*

CO TO SIĘ WŁAŚNIE WYDARZYŁO?

To znaczy wiem, *co* się wydarzyło, ale... cholera, *co teraz?*

Na mojej twarzy pojawia się powoli uśmiech, gdy wpatruję się w lodowy batonik, który trzymam w dłoni, doskonale wiedząc, że satysfakcja, którą mi do niedawna dawał, została zastąpiona nowym łaknieniem. Nowym pragnieniem, którym chcę się cieszyć w ciemności i zachować dla siebie.

Zamykam oczy i uśmiecham się, chcąc ponownie przeżyć każdą wspaniałą chwilę, której właśnie doświadczyliśmy. I, nie ukrywając, to było niesamowite pod każdym względem.

Ale co teraz?

Jak mamy iść naprzód, być partnerami, gdy dorzuciliśmy do tej relacji coś, czego żadne z nas się nie spodziewało?

Wiercę się na krześle w małej wnęce, którą przeznaczaliśmy na kuchnię. To nic szczególnego – stół, kilka krzeseł, lodówka – ale ma zabójczy widok na plażę, nawet teraz, gdy siedzę w ciemności.

– Już żałujesz? – głęboki tenor rozbrzmiewa w pomieszczeniu, a zaraz po nim pojawia się zapach mydła po prysznicu, który właśnie wziął.

Nie odzywam się. Nie jestem nawet pewna, co powiedzieć, patrzę więc dalej przez okno i biorę kolejny kęs lodowego batonika.

– W porządku – mruczy, gdy cisza między nami się przedłuża, po czym staje obok mnie, odwraca krzesło i siada na nim okrakiem. – Zakładam, że posiedzimy tu tak długo, aż będziesz wiedziała, co powiedzieć.

Dlaczego on musi być taki czarujący?

To jest ogromny problem, bo przez to nie mogę mu się oprzeć.

On powinien być moim partnerem biznesowym. Powinien być wykształcony i znać się na rzeczy – a *nie być* niewiarygodnie dobry w łóżku. Nie powinien być czarujący, otwarty i przebaczący, gdy mnie brakuje słów.

Bez pytania bierze mojego batonika, odgryza kawałek, a potem mi go oddaje, jakby nigdy nic.

Najwyraźniej nie ma problemu z dzieleniem się... no chyba że z Chandlerem.

Chandler.

To on to wszystko zaczął? To jemu powinnam dziękować za najlepszy seks w życiu? To znaczy pierwszy seks z kimś nowym jest zwykle trochę niezręczny i nie zawsze taki przyjemny. Jasne, oboje wiecie, co do czego pasuje, ale zwykle nie możecie złapać rytmu. Brakuje koordynacji i wiedzy o potrzebach drugiej osoby.

Ale Fordham Sharpe rozprawił się wczoraj z tym poglądem.

Moje uda zaciskają się na samą myśl o tym.

– Trudno mi sobie wyobrazić, co musisz o mnie myśleć – mówię w końcu.

– To znaczy?

– To znaczy, że Chandler był tu przez minutę, a potem... *no wiesz*, to następne.

– Seks, Elle. Uprawialiśmy seks. Dość niesamowity seks, muszę dodać. Czy powinienem się martwić tym, że myślisz teraz o Chandlerze zamiast o mnie?

– Nie myślę o nim. – Wzdycham. – Myślę o tobie. O tym, co pewnie myślisz o...

– Na początek myślę, że musisz przestać myśleć. – mówię, a ona chichocze. – A po drugie zaczynam wątpić w siebie i swoje umiejętności, jeśli jesteś tak bardzo przygnębiona.

Śmieję się.

– Nie jestem. Tylko...

– Zastanawiasz się, czy wszystko spieprzyliśmy, tak? – pyta i kładzie dłoń na dolnej części moich pleców. Jego dotyk mnie przeszywa.

– Cóż... to niekoniecznie był nasz najmądrzejszy ruch.

– Już tego żałujesz? Jezu. Niech chociaż opadnie kurz po naszym wczorajszym występie, zanim zapragniesz, żebym przestał istnieć – drażni się ze mną. – To jest cios w męskie ego. Jeśli haj trwa krócej od ukłucia żalu, to zdecydowanie nie robię tego dobrze.

Zerkam w jego stronę i nie mogę powstrzymać uśmiechu, który pojawia mi się na ustach.

– Nie żałuję tego. Nie. A twoje ego nie musi się niczego obawiać. Z całą pewnością nie mam na co narzekać.

– To dlaczego siedzisz w ciemności, taplając się w tych wszystkich babskich emocjach, których nawet nie będę próbował zrozumieć?

– Bo oboje wiemy, że popełniliśmy właśnie ogromny błąd.

– Może. A może nie. Czas pokaże – szepcze.

Po raz pierwszy odwracam się w jego stronę. Jego włosy są mokre i pofalowane. Jego szczęka nieogolona, spojrzenie bystre. Jak to możliwe, żeby człowiek był tak atrakcyjny?

– Ford. – Wzdycham niepewnie. – Jak mamy teraz razem pracować, skoro widzieliśmy się nago?

Posyła mi krzywy uśmiech.

– Zapomniałaś, że już widzieliśmy się nago, a mimo to udawało nam się całkiem dobrze razem pracować.

– Nie o to mi chodziło i dobrze o tym wiesz.

– Nie? – udaje naiwnego.

– Nie.

Przekręca się na krześle tak, że uderza kolanem o moje.

– Czyli chodzi ci o to, jak mamy patrzeć na siebie, pracować ramię w ramię, tak żebym nie pamiętał, jak to jest być w tobie? Albo jak smakujesz? – Wytrzymuję jego wzrok, podczas gdy każda część mojego ciała boli, wspominając i *ponownie* to wszystko przeżywając. – *Teraz to?* To może być nieco większym problemem, ale mam przeczucie, że sobie poradzimy.

Ten facet naprawdę ma niezłą gadkę. Niestety dla mnie, wiem, że umie ją też uzasadnić.

– A ty się nie martwisz tym, co teraz będzie?

– Chodzi ci o tę część, w której skończymy jeść lody i pójdziemy do łóżka? No, ja już nie mam pokoju, bo ściana została zburzona, więc oczywiście, że się tym martwię. W zasadzie to nie mam gdzie spać.

– To nie jest śmieszne.

Chichocze.

– Jest. Wiesz, że jest. – Ściska moje udo i nie cofa ręki. – Nie jestem pewien, co chcesz, żebym powiedział, Ellery. Nie ma tu nikogo, kto patrzyłby, jak jedno z nas wykonuje marsz wstydu. Szczerze mówiąc, nie ma takiej potrzeby, bo nie wiem, jak ty, ale ja nie wstydę się tego, co właśnie zrobiliśmy. – Ten chłopięcy uśmiech, który mi posyła, powinien być nielegalny. – Poza tym skończyły mi się szkarłatne litery, które miałbym przypiąć ci do klatki, więc jeśli ty ich nie spakowałaś, to nikt się nie dowie.

– Dlaczego dla ciebie to takie łatwe?

– Pewnie z tego samego powodu, dla którego dla ciebie to takie trudne.

– To znaczy?

– To znaczy, że cię pragnąłem od tamtego pierwszego wieczoru. No, nie od początku. Najpierw byłem wkurzony na braci i chciałem być sam. Ostatnią rzeczą, na którą miałem ochotę, była pogawędka z jakąś obcą kobietą. A potem ty – śmieje się – trochę poprawiłaś tę gównianą sytuację.

I oto znowu on, taki szczerzy. Tymczasem większość mężczyzn tylko by coś odburknęła.

Otwieram usta, a potem je zamykam. Jak niby mam na to odpowiedzieć?

– Byłoby ci łatwiej, gdybym powiedział: „tak, to była pomyłka”? Że nas swędziało, podrapaliśmy się i jesteśmy zaspokojeni? Że to było jednorazowe, ciekawość zaspokojona, a teraz możemy iść naprzód, jak gdyby to się nigdy nie wydarzyło?

Mówi to wszystko, co ja sobie powtarzałam w głowie, ale moje myśli wypowiedane na głos brzmią równie absurdalnie.

– Jasne. Pewnie – wypowiadam to zachrypniętym głosem.

Jego uśmiešek mówi mi, że nie wierzy w ani jedno moje słowo. Ja też nie.

– Świetnie. W takim razie tak to rozegramy. To był błąd. Niemoralny, poważny, *satysfakcjonujący* błąd. – Nachyla się i przez krótką chwilę wstrzymuję oddech, oczekując jednego z tych jego zniewalających pocałunków. Mówię sobie, że tego nie chcę, ale jestem cholernie zawiedziona, gdy jego usta docierają do mojego ucha, a jego ciepły oddech łaskocze mi skórę.

– Ford...

– Najlepsze w błędach jest to, że czasami musisz je popełnić kilka razy, żeby się ostatecznie przekonać. Nie jestem wybredny, Elle. Jeśli chodzi o ciebie, to przyjmę każdą opcję. – Cofa się i kiwa głową. – A teraz, wybaczone, ale muszę znaleźć jakieś miejsce do spania. – Powoli wypuszczam powietrze, a on się oddala, ciągle patrząc mi w oczy. – Dobranoc, Ellery.

Patrzę, jak idzie w stronę drzwi. Moja głowa, moje ciało i mój rozum... wszystko wiruje i nie mogę znaleźć oparcia.

– Ford – mówię, gdy dociera do drzwi. Wstaję, a on odwraca się w moją stronę.

– Tak?

– Zerwałam z Chandlerem wiele tygodni temu. – Obracam się na stopie, bawiąc się dłońmi. – Nie wiem, dlaczego czuję, że muszę ci to powiedzieć. Ale powiedziałam. To ja to zakończyłam.

– Dlaczego? – To tylko kilka sylab, a jednak czuję, że od mojej odpowiedzi tyle zależy. Z odległości nie potrafię nic wyczytać w jego oczach i jestem za to wdzięczna.

– To pytanie właśnie nie ma dla mnie sensu: dlaczego.

Na chwilę opuszcza głowę, po czym znowu ją podnosi. Wesołość, która widniała na jego twarzy przed momentem, znika.

– Zachowywałam dystans, bo należałaś do kogoś innego, a ja nie jestem oszustem. Być może musisz się zastanowić, *dlaczego*.

Nasze oczy znowu się spotykają, jakby rozbłysła błyskawica.

Gdy odwraca się na pięcie, żeby odejść, muszę użyć całej siły woli, żeby za nim nie pobiec. Wyjaśnić. Usprawiedliwić.

Ale wiem, dlaczego tego nie robię.

Wiem, że jeśli wypowiem to na głos, nie będę miała innego wyjścia, jak tylko zmierzyć się z prawdą.

A nie jestem jeszcze na to gotowa, bo cholernie mnie to przeraża.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

*Ellery*

*Dwanaście lat temu*

ELLERY?

– Co? – Widzę niewyraźnie, a po wielu godzinach gapienia się w ekran komputera czuję, jakbym pod oczami miała worki piasku. Egzaminy końcowe są w tym roku cholernie ciężkie. Czy nie zawsze tak jest? Ale w domu Sinclair/Haywood akceptuje się tylko to, co najlepsze. Nawet jeśli są to ostatnie egzaminy, do jakich podejść jako uczennica szkoły średniej. Skalanie nazwiska rodzowego Haywood przeciętnością nie będzie tolerowane, jak mi kiedyś otwarcie powiedziano. – Pytam *co?* – warczę.

Wiem, że dostanę reprimendę. Garland Haywood zawsze wymaga szacunku. Bycie opryskliwym lub pyskowanie nie jest uznawane za *okazywanie szacunku*, nawet o drugiej nad ranem.

– Elle? – jego reakcja jest wprost przeciwna do tej, której się spodziewałam. Jest cicha, choć oczekiwałam głośnej. Opanowana, choć oczekiwałam oburzenia.

Gdy podnoszę wzrok, wiem, że coś jest nie tak.

Moje palce zatrzymują się na klawiaturze.

Ciało się napina.

I zanim on mówi kolejne słowo, ja już wiem. Już kiedyś czułam to samo.

– Mama? – To słowo jest chrapliwym szeptem, a świat powoli usuwa mi się spod nóg.

– Ellery...

– Przestań wypowiadać moje imię! – krzyczę, mając nadzieję, że już nigdy go nie usłyszę. Nigdy. On zaczyna mówić, ale ja zakrywam uszy jak mała dziewczynka. Tak jak wtedy, gdy mama mi powiedziała, że tata zmarł.



Wchodzi do mojego pokoju, patrzy na mnie, a samotna łza, która spływa po policzku tego człowieka zwykle pozbawionego wszelkich emocji, tylko potwierdza to, co już wiem.

Nie.

*Nie.*

Nie!

To się nie może dziać.

Dlaczego to się dzieje?

Tylko nie znowu.

*Proszę, nie znowu.*

*Nie rób mi tego, mamo.*

*Nie zostawiaj mnie, do cholery.*

Wstaję od biurka. Z każdym jego krokiem w moją stronę ja robię jeden w tył, kręcąc głową i powtarzając w kółko „nie”.

– Przykro mi, Elle. Zdarzył się wypadek samochodowy. Pijany kierowca zmienił pas... Tak mi przykro. – Biję w niego pięściami, gdy próbuje mnie przytulić.

Nie chcę go.

Nie chcę jego pocieszenia.

Chcę tylko mojej mamy.

*Mamo, dlaczego ty też mnie tutaj zostawiłaś?*

Nie mogę. Nie dam rady znowu przez to przejść. Ten ciągły, niekończący się ból.

*Dlaczego mnie zostawiłaś?*

Już to przerabiałam. Wiem, jak to działa. Etapy, przez które trzeba przejść. Słowa, które trzeba wypowiadać, żeby udawać, że nic mi nie jest. Ból, który pojawia się, gdy drzwi się zamykają... i wszyscy wychodzą. Ciepłe łzy spływające mi po policzkach i na poduszkę.

Udawanie, że *wszystko będzie dobrze...* chociaż wiesz, że twój świat zmienił się w sposób nieodwołalny i tragiczny.

Nigdy więcej przez to nie przejdę.

Już nikt mi nie został.

Teraz jestem naprawdę sama.

Wszyscy, których kiedykolwiek kochałam, umarli.

*Odrętwienie.*

Nie ma innych słów na opisanie tego, co czuję. Nie mam nawet sił, żeby zapytać, *dlaczego*.  
Czuję...

*Szarość.*

Świat został pozbawiony koloru, bo ona nie może go już rozświetlić.

*Wszyscy odchodzą.*

Miłość do mnie to najwyraźniej za mało, żeby zostać.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

*Ellery*

**KILKA NASTĘPNYCH DNI JEST KOMPLETNYM CHAOSEM.**

Nie bez powodu place budowy pracują zgodnie z ustalonym harmonogramem, w którym jest ustalone, kiedy wchodzi która ekipa. Dzięki temu ich praca mieści się w pewnym schemacie. Jeśli wszyscy naraz znajdują się na terenie budowy, wówczas będzie on przeludniony. I może się zdarzyć wypadek.

Ale my nie jesteśmy na zwykłym placu budowy.

W naszym małym świecie ma miejsce tak wiele różnych faz. Niektóre pokoje są rozebrane do ostatniego gwoźdźca, podczas gdy inne zostały już przebudowane i czekają na nową farbę i podłogi.

Na miejscu są wszyscy robotnicy, wszędzie naraz.

Podoba mi się ten chaos. To pokrzykiwanie, że ktoś stoi komuś na drodze. Pytania o to, jak to jest, do diabła, możliwe. Ta kakofonia dźwięków, która ciągnie mnie we wszystkie strony.

A bycie zajęтым jest dobre. Brak nawet sekundy na myślenie jest bardzo teraz pożądany, bo za każdym razem, gdy mam wolną chwilę, moje myśli wracają od razu do niego.

*Do Forda.*

Do tych kilku nocy temu. Do tych zmysłów, które rozbudził, i pytania, z którym mnie zostawił. Do jasności, którą wzbudził, i pytań pozostających nadal bez odpowiedzi.

Dlatego właśnie go unikam? Zachowuję dystans? Upewniam się, że nie zostajemy sami na dłużej niż kilka sekund i to w towarzystwie brygadzystów?

I dlatego właśnie on myśli tak samo? Albo ja uważam, że tak jest, bo za każdym razem, gdy idę do kuchni, z której akurat wszyscy wyszli, albo włączam telewizor na kilka bezmyślnych chwil, on nagle czuje potrzebę, żeby być z dala ode mnie.

Skąpi mi siebie, co, jak na ironię, sprawia, że bardziej chcę jego towarzystwa.

I nie tylko dla seksu, choć nie miałabym nic przeciwko kolejnemu, gdy już sobie poradzę z tą skomplikowaną sytuacją.

Ale bardziej dla jego przyjaźni. Dla naszych niewymuszonych rozmów, które mogą być głębokie lub płytkie, ale mnie rozśmieszają i sprawiają, że czuję się doceniana.

Nieobecność tylko wzmacnia fakt, że jestem tutaj często sama. Samotna.

W pewnym sensie odizolowana.

W domu mam przyjaciół. Chociaż nigdy nie jest ich zbyt wielu i nie pozwalam im za bardzo się zbliżyć, przynajmniej mam z kim wyjść na drinka po pracy albo wypić kawę w leniwy niedzielny poranek. Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak duże znaczenie ma takie towarzystwo, dopóki go nie straciłam.

Ale oto jestem. I jest Ford. I jest zajazd, w kompletnym chaosie. Mam niewiele kontaktu ze światem zewnętrznym, poza szybkimi wycieczkami do supermarketu po drugiej stronie miasta czy pustymi pogawędkami z dostawcą jedzenia.

Jest niedziela i, po raz pierwszy, odkąd rozpoczęliśmy budowę, w zajęzdzie nie ma pracowników. Ze względu na nasz przyspieszony harmonogram prac, różne ekipy są tutaj na okrągło. I chociaż taki ruch jest przytłaczający, zapobiega przestojom. Nie pozwala mi również zdać sobie sprawy z samotności w ciszy, w czym wydaję się ekspertem. Zwłaszcza od kiedy straciłam mamę.

Zerkam na bar na dachu, który jest w trakcie prac. Miejsce, w którym Ford urządził swoje pseudomieszkanie – gdzie śpi i pracuje. Gdzie teraz jest zajęty inną pracą – sprawami Sharpe International. Ma telekonferencję z ludźmi z drugiego końca świata – lub z Marsa, o ile mi wiadomo. A może tylko siedzi w tej samej ciszy co ja, tyle że on się nią rozkoszuje.

*Fordham Sharpe.*

Miał być poza zasięgiem. Miał być tym, na którego można patrzeć z daleka, ale nie dotykać. A teraz nie mogę przestać o nim myśleć, a w tych wyjątkowych chwilach, w których mogę, on oczywiście musi ze mną porozmawiać.

Jestem jednak na tyle duża, by wiedzieć, jak ta historia się zakończy. I nie będzie to „żyli długo i szczęśliwie”, jak w tej książce, której wczoraj nie skończyłam czytać.

Ale przecież ja nie jestem typem „długo i szczęśliwie”. Ja skupiam się na tu i teraz. Na dobrym seksie i cieszeniu się chwilą. Wychodzę z założenia, że para, o której czytam, zostanie razem.

Może dlatego nigdy nie czytam epilogów. Może wiem, że miłość kończy się bólem, porzuceniem, i może nie chcę uwierzyć, że tak się stanie w przypadku moich fikcyjnych przyjaciół.

I mimo że to wiem, mimo przyznania, że zależy mi tylko na fizyczności, a nie związku emocjonalnym, nie rozumiem, dlaczego przespanie się z Fordem tak cholernie mnie przeraża.

Czy to dlatego, że po raz pierwszy od wieków mam kogoś po swojej stronie, kto we mnie wierzy?  
*Może to cenię bardziej niż chwilowy orgazm?*

Ale dlaczego nie mogę mieć obu rzeczy? Wsparcia i wspaniałego seksu?

W końcu mamy dwudziesty pierwszy wiek.

Upijam łyk wina i gapię się na ocean i ten niekończący się horyzont. Mewy skrzeczą. Fale rozbijają się o brzeg. Moje myśli biegną, gdy ta jedna zaczyna się ukorzeniać.

Znowu pragnę Forda.

– Ej, ty.

Zanim zdążę odpowiedzieć, Ford siada obok mnie, odchyła się do tyłu, opiera łokcie na piasku i krzyżuje nogi w kostkach.

– Hej.

– Dziwna jest ta cisza w środku – mówi, po czym zaczyna się bawić moim kucykiem.

– Wiem. Częściowo dlatego siedzę na zewnątrz.

– A czy ta druga część ma coś wspólnego ze mną? – Unosi brew, patrząc mi w oczy, a ja wzruszam ramionami. – W porządku.

– Znam odpowiedź na „dlaczego”, Ford. Może po prostu nie chcę jej wypowiedzieć na głos, bo brzmi tak absurdalnie.

– Jak już powiedziałem – przekręca się, żeby oprzeć się na jednej ręce, podczas gdy drugą bawi się luźnym kosmykiem włosów za moim uchem. To osobliwie intymny gest, który w jego wykonaniu wydaje się czymś zwyczajnym – w *porządku*.

Napięcie seksualne nadal jest między nami. Ta jedna noc w ogóle go nie osłabiła. W zasadzie to, że mogłam go poczuć i świadomość tego, jeszcze ją wzmocniły.

Dlaczego nie chcę, żeby mówił w *porządku*? Dlaczego chcę, żeby żądał odpowiedzi, a potem ciągnął mnie na górę i zerznął w każdy możliwy sposób?

*Może chcę być wysłuchana.*

Wyciągam rękę i przesuвам dłonią po zaroście na jego szczęce. Jego nozdrza rozszerzają się pod wpływem mojego dotyku, a usta otwierają, w samą porę, by mój kciuk musnął go o dolną wargę.

– Ellery – mruczy, a oczy mu ciemnieją.

Bez żadnego wstępu podejmuję za nas decyzję, która krążyła wokół na palcach. Nachylam się i przyciskam swoje usta do jego. Pocałunek jest miękki, czuły i pozwala mi przejąć dowodzenie. To mój język jako pierwszy szuka dostępu. To moje palce wspinają się po jego ramieniu i wplatają we włosy na karku.

Nie ma takiego pośpiechu jak poprzedniej nocy, żadnego nagłego głodu w pocałunku. Jest przyjemność. Szacunek. Ostrożne sprawdzanie gruntu, po którym już stąpaliśmy, ale teraz się boimy, że możemy się w nim zapaść.

Zapadam się w tej chwili. Zaborczość jego dłoni na dole moich pleców. Jęk, który wydaje gdzieś z głębi. Ciepło, które rozchodzi się po moim ciele od jego pocałunków. Ból pożądania, który płonie pomiędzy moimi udami.

Pocałunek się kończy, jego dłonie są teraz po obu stronach mojej twarzy, a nasze czoła się stykają. Siedzimy tak przez kilka sekund, w milczeniu, jak byśmy ciągle się zastanawiali, czy to właściwe, niewłaściwe, czy coś pomiędzy.

I akurat gdy chcę się odchylić, przełamać tę łagodność chwili, Ford się odzywa.

– Chodźmy – mówi, po czym wstaje bez ostrzeżenia i chwyta moją dłoń, żeby pomóc mi się podnieść. Splata palce z moimi, gdy idziemy po piasku na tyły zajazdu.

Z jakiegoś powodu czuję podenerwowanie. Potrafię sobie poradzić z głodnym seksem. Z tą zwierzęcością. Z dziką żądzą.

Ale jeśli ten pocałunek jest zapowiedzią seksu, który nas czeka, to wytrąca mnie z równowagi.

Spodziewam się, że wejdziemy przez tylne drzwi zajazdu, i jestem zaskoczona, gdy Ford prowadzi mnie po deptaku.

– Nie. Chcę cię dokądś zabrać – mówi tajemniczo, gdy skręca za róg budynku i kieruje się w stronę parkingu. Gdy otwiera mi drzwi samochodu, ja tylko się na niego gapię.

– Żyjemy, jemy i oddychamy tym miejscem od dwóch tygodni. Czas na przerwę.

– Dokąd jedziemy? – pytam, siadając na miejscu pasażera.

Staje pomiędzy moimi kolanami, które nadal znajdują się na zewnątrz auta, i przechyla głowę, żeby mi się przyjrzeć.

– Spróbujemy się dowiedzieć.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że się całowaliśmy. – Kładzie mi dłoń na udzie i delikatnie je ściska. – Pobądźmy z tym przez chwilę. Ucieknijmy z tego więzienia. A gdy już to pojmiemy, dowiemy się, czego chcemy potem.

– Na przykład?

Jego uśmiech jest nieśmiały, ale oczy ożywione.

– Na przykład kolejny uśmiech. Może, zobaczymy.

– A co, jeśli znam już odpowiedź?

Nachyla się i całuje mnie w czoło.

– To rozbaw mnie, dobrze?



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

### *Ellery*

SKĄD W OGÓLE O TYM WIEDZIAŁEŚ? – pytam, gdy bryza łaskocze mnie w policzki. Szum wody uderzającej o kadłub łódki prawie mnie usypia.

– Kilku pracowników o tym mówiło. To chyba miastowa tradycja. Ponowne przeżywanie pierwszych kroków założyciela czy coś w tym stylu. – Wzrusza ramionami i podnosi do ust butelkę piwa, po czym ją odstawia i znowu chwyta rumpel. – Pomyślałem, że miło będzie znaleźć się na chwilę na wodzie, z dala od budowy.

– Z całą pewnością jest miło. – Rozglądam się po szeregu łódek przed i za nami. W naszych łupinkach wyglądamy jak kaczkę pływające jedna za drugą. Niektóre łodzie mają na pokładzie cztery osoby, inne tylko po jednej i kilkoro dzieci, które samodzielnie sterują.

Słysząc rozmowy pomiędzy łodziami, członkami społeczności, którzy wyraźnie się znają. Na brzegu po naszej prawej stronie mieszkańcy miasta, którzy nie mają łodzi ani nie mogą się przepłynąć, grillują i najwyraźniej przygotowują się do nocnego świętowania.

Odwracam się ponownie do Forda, który zachowuje się zupełnie swobodnie z fałem w jednej i rumpel w drugiej ręce. A przynajmniej mi się wydaje, że takie są ich nazwy, bo Ford rzuca we mnie mnóstwem terminów i nie pamiętam dokładnie, co jest co.

Wygląda dobrze ze światłem zachodzącego słońca na twarzy i wieczorną bryzą we włosach.

– Masz na czole smugę brudu – mówi. – Daj, zetrę to.

– To nie brud. – Marszczę nos, czując, że moje policzki czerwienieją, i macham ręką. – Nie pytaj.

– Wiesz, że teraz na pewno zapytam. – Przechyliła głowę na bok. – Zatem?

– To siniak.

– Okej. – Rozciąga słowo. – Po czym?  
– Czytałam wczoraj w nocy w łóżku – mówię, jakby to miało wszystko wyjaśnić, ale ponieważ on tylko marszczy brwi w konsternacji, kontynuuję. – Zasnęłam i czytnik upadł mi na twarz. Ford wybucha takim śmiechem, który na pewno ściąga wzrok innych żeglarzy.  
– Co zrobiłaś?  
– Słyszałaś.  
– Nie wiedziałam, że czytanie może być niebezpieczne. Czy książka była przynajmniej dobra?  
Myślę o rozdziałach, które pochłonęłam. Bohater walczący o bohaterkę. Przyciąganie. Odpychanie. Niesamowita scena seksu z nienawiści, która pojawiła się, gdy, przyznaję ze wstydem, w rolach bohaterów wyobrażałam sobie siebie i Forda.  
A potem huknęło, a ja krzyknęłam, bo urządzenie spadło na mnie, gdy już spałam.  
– Bardzo dobra.  
– Dlaczego się rumienisz, Ellery? – Przechyliła głowę na bok i gapi się na mnie z coraz większym uśmiechem, jakby już wiedział.  
– Bez powodu.  
Znowu zaczyna się śmiać, wpatrując się we mnie bezlitośnie.  
– Może ja też powinienem ją przeczytać.  
Czerwień na moich policzkach ciemnieje.  
– Nie wydaje mi się, żebyś czytywał romanse.  
– Nigdy nie wiesz. Jestem pełen zaskoczeń. Może to jedno z nich. – Wyciąga nogę przed siebie, szturcha mnie, a uśmiech na jego twarzy się rozszerza. – Mimo wszystko może powinnaś spędzać czas w mniej niebezpieczny sposób.  
– Na przykład jaki?  
W odpowiedzi na moje pytanie otrzymuję stuwątowy uśmiech i długą, powolną ocenę mojego ciała, na co reaguję, kręcąc z uśmiechem głową.  
– Kilka rzeczy przychodzi mi na myśl.  
*Władowała się w sam środek.*  
– Nie wątpię.  
Po naszej lewej rozlega się dźwięk trąbki powietrznej, po czym ktoś krzyczy i wskakuje do wody. Tę łódź najwyraźniej porządnie zaopatrzone w alkohol, ale jest to co najmniej zabawne.  
– Chcesz spróbować? – pyta, wskazując na rumpel.  
– Co? Spróbować nas utopić?  
Śmieje się, ale chwyta mnie za rękę.  
– No dalej, pomogę ci.  
Idę na kolanach w jego stronę, przerażona tym, że jeśli wstanę, rozkołyszę łódź i stracę równowagę.  
– Gdzie mam...  
– Tutaj. – Kieruje mną tak, że siadam między jego nogami i opieram się o jego klatkę. Wyprowadza nas z parady łódek i następnymi kilka minut instruuje, co mam robić. Zakrywa przy tym moje dłonie swoimi, żeby pokazać, kiedy mam sterować rumplem lub przesunąć kliwer. Po jakimś czasie cofa ręce, żebyśmy mogła spróbować samodzielnie, ale nie rusza się z miejsca.  
– Proszę bardzo – zachęca mnie, gdy po raz pierwszy przejmuję samodzielną kontrolę nad kliwrem, i łódka skręca. Opiera podbródek na moim ramieniu. – Za chwilę będziesz profesjonalistką. Ale ty przecież wydajesz się świetna we wszystkim, co robisz, więc to nie jest żadne zaskoczenie.  
– Taaa. – Przewracam oczami.  
– Mówię poważnie. Jesteś świetna i to nic złego.  
– Kto cię uczył żeglować? – pytam, zmieniając temat i zastanawiając się, czy nie skręcam zbyt ostro. – Wydajesz się dość pewny na wodzie.  
– Mój ojciec. Chłopcy Sharpe’ów musieli być szkoleni we wszystkim – mówi z nutką sarkazmu w głosie. A może z melancholią? Trudno powiedzieć.  
– Opowiedz mi o nim – mówię.  
Jego westchnięcie to wyraźny znak, że ta prośba jest dla niego niewygodna, więc nie naciskam. Pozwalam mu trzymać podbródek na moim ramieniu i napawam się ciszą.  
– Był dobrym człowiekiem. Sprawiedliwym, ale surowym. Mężczyzną, który zaczął od zera i się dorobił. Ale pamiętam tak naprawdę tylko *Maxtona Sharpe’a potentata*, bo jego status rósł z każdym rokiem.

– Chodziło mi o to, żebyś opowiedział o nim jako swoim ojcu – mówię. W ogóle nie jestem zainteresowana nim jako biznesmenem, bo, oczywiście, był dobry w tym, co robił. – Przychodził na zawody małej ligi albo grillował na tyłach domu? Opowiedz mi o nim.

Czuję, jak ciało Forda napina się, zupełnie jakby moje pytanie go zaskoczyło.

– Był obecny na tyle, na ile mógł. Bycie samotnym ojcem z trójką nastoletnich chłopaków nie jest łatwe.

– Wyobrażam sobie.

– Ale tak, brał udział we wszystkim, w czym mógł, jeśli akurat nie był na wyjeździe, podbijając świat. Jednocześnie starał się wynagrodzić nam brak mamy, przesadzając we wszystkim. – Śmieje się pod nosem, jak gdyby coś mu się przypomniało, a ja mogę sobie tylko wyobrazić, co oznacza „przesadzanie” w przypadku miliardera.

– Opowiedz – ponaglam go, jednocześnie skręcając trochę łodzią. Ale ponieważ bryza praktycznie zniknęła, łódka się w zasadzie zatrzymuje.

– Z zewnątrz imprezy urodzinowe były niesamowite. Łoża na stadionie Jankesów. Skok na spadochronie na naszą osiemnastkę. Święta Bożego Narodzenia spędzaliśmy na nartach za oceanem. Wszędzie, byle nie w domu, który przypominałby nam naszą mamę, za którą tęskniliśmy.

– Przykro mi.

– Była miłością jego życia. Miał po niej dziewczyny, ale nawet do jego śmierci wiedzieliśmy, że ona była dla niego wszystkim. Nigdy nie wątpiliśmy, że byliśmy owocem tej miłości.

– To piękne – mówię, czując w gardle łzy, bo rozumiem taką miłość. Widziałam coś podobnego na własne oczy. – A to cię nie przeraża?

– Dlaczego?

– Że on miał taką miłość i ją stracił? Że tak łatwo jest ją stracić?

Ford chwyta mnie w pasie i pociąga do tyłu, żebym się o niego oparła. Praktycznie czuję ciężar mojego pytania, który na niego spadł.

– Obaj moi bracia ożenili się w ostatnich latach i wydają się wręcz nienormalnie, obrzydliwie szczęśliwi. – Jego westchnięcie mówi to, czego on nie wypowiada: jak bardzo ich kocha, mimo wszelkich nieporozumień. – Oczywiście żony nie sprawiły, że przestali być dupkami, ale miłość do nich, tworzenie z nimi własnych światów chyba sprawiło, że stali się lepszymi ludźmi. A więc tak, wierzę, że pewne ryzyko warto podejmować.

– Mhm – mówię w odpowiedzi, próbując zagłuszyć wspomnienia. Samotność, która przyszła wraz ze stratą rodziców.

Jasne, miałam Garlanda, Joshuę i Gregory’ego jako rodzinę, ale to w ogóle nie było to samo. Tak jak moja mama powiedziała tamtego dnia – jej małżeństwo z Garlandem było inne od tego z moim tatą. Tak samo jak rodzina patchworkowa, którą stworzyli.

Nie padły żadne ostre słowa, ale ze strony Garlanda nie czułam tej wszechogarniającej miłości, w której zatapiałam się w ramionach mamy. On był dla mnie postacią ojca, ale nigdy ojcem. Dbał o mnie, ale skupiał się zawsze na potrzebach finansowych, a nigdy na emocjonalnych.

W żadnym wypadku nie był to zimny dom. Radziliśmy sobie. Mieszkaliśmy obok siebie, dzieliliśmy doświadczenia, ale to w ogóle nie przypominało tej atmosfery, którą pamiętałam z dorostania z tatą.

A gdy zmarła mama, stałam się dodatkiem. Drugorzędną myślą. I chociaż nigdy nie zostało to wyraźnie powiedziane, byłam uznawana za część rodziny z obowiązku. Ze względu na obietnicę złożoną mojej mamie w dniu ich ślubu i tych sześć lat, które spędziłam pod ich dachem.

Niestety było to wszystko, co miałam, więc się na to zgodziłam. Potrzebowałam tego. Przyjęłam te używane kawałki rodziny, które mi zaoferowano, bo nie miałam nic innego.

A udziały w firmie, której nigdy nie spodziewałam się być częścią, stały się moim jedynym łącznikiem z kobietą, za którą tak potwornie tęskniłam. Doszłam do wniosku, że jedynym sposobem na to, by się jej mocno trzymać, jest być częścią jedynej rzeczy, którą poza mną stworzyła – Haywood Redesings.

Przyjaciół trzymałam na bezpieczną odległość z obawy przed zranieniem lub opuszczeniem. Nadal to robię.

Miałam chłopaków, których wpuszczałam tylko po to, żeby się od nich odciąć, gdy zbyt mocno się zbliżali.

O wiele łatwiej było mi myśleć o relacjach jak o transakcjach – czymś, co do pewnego czasu przynosiło wzajemne korzyści – niż o czymś, co znowu mogło mnie zniszczyć.

Nie sprawdzałam, czy epilog życia naprawdę może być taki szczęśliwy, bo ze swojego doświadczenia wiedziałam, że to pojęcie jest gównie warte.

Stąd wzięła się moja sytuacja z Chandlerem i zgoda na małżeństwo oparte na wzajemnych interesach zamiast na miłości. Gdyby coś się nie udało, łatwiej byłoby zrezygnować z bezemocjonalnego kontraktu, niż być załamany po takim, w który zainwestowało się serce.

Ale wtedy nadeszła burza.

Wtedy nadszedł Ford.

I nie jestem pewna, jak burza i Ford to zrobili, że zaczęłam czuć, chociaż byłam tak odporna na uczucia.

– *Hm?* – Jego usta wibrują na czubku mojej głowy, wrywając mnie z zamyślenia, w którym nie powinnam teraz być. – Co to ma znaczyć? Nie uważasz, że miłość czy szansa na nią są warte ryzyka? – pyta, po czym całuje mnie w bok głowy. Nie jestem przyzwyczajona do takiego przypadkowego okazania uczuć. Do przypadkowych, uspokajających pocałunków. Do głowy opartej spokojnie o moją.

I za każdym razem, gdy on to robi, zawsze mnie tym zaskakuje. Zdaję sobie wtedy sprawę z tego, jak inny, jak prawdziwy – w najlepszy możliwy sposób – jest Ford.

– Nie wiem. Zakładałabym, że widok rodzica doświadczającego takiej straty wywołałby w tobie strach przed zbliżeniem się do kogoś.

Kiwa głową, a jego podbródek podskakuje na moim ramieniu.

– Albo mogłoby to dać ci nadzieję. A co z...

– A twoja mama? Jak dużo o niej pamiętasz?

Śmieje się łagodnie.

– Przyciągała uwagę, a to już coś mówi w porównaniu z moim ojcem. Pamiętam ją niewyraźnie. Jej uśmiech. Jej śmiech. Oglądała z nami filmy akcji tylko po to, żeby wytknąć wszystkie nierzeczywiste elementy. I pamiętam, jak kochała. Zupełnie jakby wiedziała, że umrze młodo. Cała była przytulaniem, słowami i czynami. Wszyscy wiedzieliśmy, że jesteśmy kochani.

– To piękne.

– Tak, było. Nadal jest. – Odchrząkuje. – Mój ojciec starał się spełniać te standardy, ale nie był moją matką. A jednak wielbiłem w nim wszystko. I nie chodzi mi o człowieka, który zarządzał Sharpe International. Tego człowieka podziwiałem. Człowieka, którego wielbiłem, widzieliśmy tylko za zamkniętymi drzwiami. Podenerwowanym ojcem, który starał się najlepiej, jak mógł, i oddanym mężem, jakim zawsze pozostał. – Jego dłonie zaciskają się w pięści, a głos trzęsie z emocji. Brzmi, jakby było w nim o wiele więcej niż tylko ból po utracie ojca.

– Ford... Nie wiem, co powiedzieć.

– To podziel się swoją historią. Opowiedz mi o swoich rodzicach. O...

Oboje podskakujemy, gdy na łódce po naszej prawej stronie rozbrzmiewa megafon.

– Czas płynąć do brzegu. Zaraz zaczniesz się zabawa.

– Nie chcielibyśmy tego przegapić – mówi Ford, po czym ponownie kładzie dłonie na moich, żeby pomóc mi sterować.

Nie jestem pewna, dlaczego oddycham z ulgą, że zostałam uratowana przed udzieleniem odpowiedzi.

Ale wiem, że to ma wiele wspólnego z tym, jak oboje przeżyliśmy tę samą stratę... Tyle że znaleźliśmy się po dwóch różnych stronach spektrum.

A ja nadal próbuję to wszystko przepracować. *I zastanawiam się, czy kiedykolwiek znajdę w sobie odwagę, by to zmienić.*





## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

*Ford*

NO DALEJ, SELERY ELLERY – besztam ją, wchodząc na prowizoryczny parkiet taneczny. Na betonowym placu w parku rozwieszono są światła, zespół grający covery stoi po naszej prawej, a dokoła są rozstawione budki z jedzeniem.

– Czyżby Fordham Sharpe mówił mi, że potrafi tańczyć? – Oczy ma szeroko otwarte, a uśmiech rozświetla jej twarz.

To była dobra decyzja. Wyjechać z zajazdu. Doświadczyć miasta i czegoś poza wspólną pracą.

Czuła się tam uwięziona. Widziałem to w wyrazie jej twarzy i porywczosci w rozmowach z kontrahentami.

Ale chodziło o coś więcej. O to, co jej ciążyło, czymkolwiek to jest. To, co wydarzyło się pomiędzy nią a Chandlerem? Przespanie się ze mną? Coś z jej braćmi i ojczymem? Nie wiem, a ona dobrowolnie mi tego nie powie.

Ta kobieta jest jak zamknięta księga. Muszę nad nią pracować, żeby powoli się otwierała.

I dzisiaj zaczynam.

W jej oczach jest ogień, tak jak tej pierwszej nocy, gdy się poznaliśmy. Bezcelność w jej tonie, której brakowało.

I, o Boże, jak bardzo znowu chcę ją pocałować.

– Nie mówiłem, że potrafię dobrze tańczyć... ale nie przeszkadza mi robienie z siebie głupka. Nie przed tymi wszystkimi ludźmi. Niewielu z nich znowu kiedyś zobaczę, więc czym tu się przejmować? – Łapię ją za rękę i wciągam na parkiet. Odchyła głowę i śmieje się głośno, gdy tańczymy do jakiejś tandetnej popowej piosenki.

Mam wrażenie, że nasz taniec trwa wiele godzin. I jak byśmy śmiali się od wieków. Bycie z dala od naszej nieruchomości zdjęło nam z ramion ciężar, którego nawet nie byliśmy świadomi. Role, które *musieliśmy* odgrywać, zostały zepchnięte na bok.

Tutaj, podczas jakiegoś zwykłego wiejskiego święta, nie jesteśmy partnerami ani współpracownikami. Jesteśmy przyjaciółmi... i kimś trochę więcej.

Jej wcześniejszy pocałunek mnie zaskoczył. Oczywiście, nie narzekam, bo ta kobieta może mnie całować, kiedy tylko zechce i gdzie tylko chce, a ja nie będę się bronił... ale zaskoczyło mnie to.

Zwłaszcza że w ciągu ostatnich kilku dni celowo trzymaliśmy się na dystans.

I jeśli o mnie chodzi, było to bolesne.

Każda woń jej perfum. Każdy jej śmiech. Każde jej sfrustrowane westchnięcie zostawiało na mnie jej ślad.

Moja przestrzeń, którą urządziłem sobie tam, gdzie niedługo będzie bar na dachu, jest tak daleko od jej pokoju, jak to możliwe – a jednak nadal zbyt blisko.

Chcę jej. To jasne jak słońce.

– Ciasteczkowy i śmietankowy z migdałową posypką? – pytam, zaglądając przez szklaną gablotę, za którą są lody.

Gdy zerkam na Elle, widzę, że marszczy nos.

– Fuuj. Nie. Miętowe z kawałkami czekolady, czekoladowe i o smaku masła orzechowego.

– Dziwne połączenie.

– Tak jak twoje.

– Okej. A może czekoladowe, ciasteczkowe i śmietankowe?

– Naprawdę?

– Naprawdę – mówię.

– Nie. Nudy. Miętowe z kawałkami czekolady, ciasteczkowe i śmietankowe.

– To twoja ostateczna propozycja? – pytam i zakładam jej luźny kosmyk włosów za ucho. Jej uśmiech rozświetla noc, gdy sobie przypomina, jak się tu w ogóle znaleźliśmy. Ostateczna propozycja, którą jej złożyłem.

– Tak. Ostateczna propozycja.

– Twardo się targujesz, Sinclair, przez co muszę zrezygnować z jednego z moich ulubionych smaków.

– Sprawiedliwie jest tylko wtedy, gdy każde z nas coś dostaje i z czegoś rezygnuje.

– To prawda – przytakuję. – Fifty-fifty.

Odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem, a ja wydłubuję z kieszeni pieniądze, żeby zapłacić sprzedawcy, który właśnie nakłada lody.

– Mówiłam ci, że to dobre połączenie – mówi Ellery znad łyżeczki kilka chwil później, gdy idziemy deptakiem.

– Zatem... jest jedna rzecz, o której musimy porozmawiać – szepczę, gestem pokazując jej, by usiadła na ławce w parku. Siedzimy, obserwując dzieci, które, kręcąc mocno ramionami, sprawdzają, czyja zabawka świetlna wykona najlepsze koło.

Układa głowę na moim ramieniu, które spoczywa na oparciu ławki, a z jej ust wydobywa się śmiech.

– Nie rozmawiajmy o pracy, gdy jestem wstawiona. – Przyciska mi palec do klatki. – To jest wykorzystywanie mnie.

Jeśli chodzi o nią, to chciałbym teraz wykorzystać ją w cholernie dużo sposobów i nie ma to nic wspólnego z pracą.

– To ty składasz propozycje nad lodami – przekomarzam się i gryzę lody. – Potrzebuje nazwy.

– Co? – pyta, ale gdy tylko wypowiada to pytanie, widzę, że rozumie. – Myślałam, że chcesz, żeby to była nieruchomość Sharpe Signature?

– Chcę, ale mimo to potrzebuje *prawdziwej* nazwy.

– To znaczy, że pozwolisz mi, żebym ci *pomogła* to nazwać?

Wpatruję się w nią, w jej cudowne niebieskie oczy i zaróżowione policzki i ledwo powstrzymuję przed pochyleniem i pocałowaniem jej.

– Oczywiście, że tak. Fifty-fifty, prawda?

– Chodzi o to... To znaczy zdrowy biznesowy rozsądek mówi, żebyś oblepił to nazwiskiem Sharpe, więc się z tym pogodziłam. Nie spodziewałam się...

Moje usta znajdują jej, mimo że mówiłem sobie, żeby tego nie robić. To jedynie muśnięcie, ale

przeszywa mnie takim ładunkiem, że odsunięcie się od niej wymaga ode mnie ogromnego wysiłku.

– Fifty-fifty – szepczę. – Zaczynaj więc myśleć o nazwie.

Słyszę jej gwałtowny oddech. Uwielbiam świadomość tego, co z nią robię. Że mój pocałunek na nią wpływa.

Cholernie mnie to nakręca.

– Okej. – Kiwa głową, po czym zagryza dolną wargę. Gapimy się na siebie z głupimi uśmiechami. – Dziękuję. Za to – szepcze.

– Dobrze było na chwilę uciec.

– Tak.

– Ale robi się późno – mówię. Żadne z nas się jednak nie rusza. – A znalezienie Ubera w tym mieście może chwilę zająć, bo wszyscy tutaj dzisiaj piją, tak jak my.

– Wiem, ale nie chcę jeszcze wracać. Chcę siedzieć z tobą na tej ławce, pod gwiazdami, słuchać śmiechu wokół i podziwiać światło księżycy na naszych twarzach.

– Ellery Sinclair, czyżbyś była romantyczką?

To do niej nie pasuje. Najpierw jakiś książkowy romans, a teraz to? Ta kobieta jest mieszanką sprzeczności, po żadnej z nich nie spodziewałem się romantyczności i uwielbiam je odkrywać, jedna po drugiej.

– Romantyczką? – prychna. – Musisz wierzyć w miłość, żeby wierzyć w romantyzm.

– Uuu. Poważne stwierdzenie.

Śmieje się i zbywa to wzruszeniem.

Zresztą, kto *nie* jest cyniczny po zakończeniu relacji?

– Ale czytasz romanse?

– Ci autorzy dobrze opisują seks.

– Powinienem był się domyślić. – Wybucham śmiechem. – Mimo to je czytasz.

– Ale bez epilogów – mówi, podnosząc palec, żeby podkreślić swoją wypowiedź.

– Chwila. Co? Dlaczego nie czytasz epilogów? Co z nimi nie tak? – Nasze spojrzenia się spotykają, jej wstawiony uśmiech błednie, a przez oczy przemyka jakiś błysk. Zupełnie jakby jej się to wymknęło. To tylko ułamek sekundy, ale wystarczy, by zobaczyć, że przestała się pilnować. Wiem, że za tym kryje się ból. – Elle?

Mur natychmiast zostaje odbudowany i ukryty za przepraszającym uśmiechem.

– Żartuję. To był żart. Bo czym tak naprawdę *jest* romans? Wielkimi, przerysowanymi gestami, żeby facet mógł wygrać konkurs na największego penisa, gdy przechwała się przed swoimi przyjaciółmi, a ona przed przyjaciółkami tym, jak bardzo on ją kocha? – Macha w moją stronę ręką, a potem dopija piwo z sokiem.

Najwyraźniej Chandler źle wykonywał swoją robotę.

Ale nie wypowiadam tej myśli, tak jak nie dopytuję jej dalej o komentarz dotyczący epilogu. Wstaję i wyciągam do niej rękę.

– Miłość i romans nie wykluczają się wzajemnie. I nie zawsze chodzi o wielkie gesty.

Przewraca oczami i naciska na moją klatkę.

– Pokaż mi faceta, który wie, jak się to robi, a za niego wyjdę. – Śmieje się, po czym podskakuje, wyciągając do mnie ręce. – Jeszcze jeden taniec przed powrotem?

Idziemy na parkiet i zaczynamy ruszać się w rytm piosenki.

Jej ciało przyciśnięte do mojego.

Jej śmiech w moich uszach.

Jej słowa w mojej głowie.

*Ona nie czyta epilogów.*

Ona nie wierzy w szczęśliwe zakończenia.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

*Ellery*

SKĄD WIEDZIAŁ, ŻE TEGO WŁAŚNIE POTRZEBOWAŁAM? Wieczornego wyjścia. Trochę czasu z dala od budowy. Odrobiny rozrywki, jakiegoś obrzydliwego jedzenia z budki i śmiechu. *Tak dużo śmiechu.*

Pozwalam, by w drodze do domu to uczucie mnie przepełniało. Trzymam głowę na jego ramieniu, jego ręka jest na moim udzie, a nasz kierowca nie przejmuje się ani ciszą, ani śmiechem, który wybucha co kilka minut, gdy Ford szturcha mnie palcem w żebra.

Minęły wieki, odkąd ostatni raz tak się czułam. Wolna od trosk. Lekko na sercu. I nie chodzi o to, że jestem zawsze poważna, ale potrzebuję dużo czasu, żeby poczuć się przy kimś na tyle swobodnie, bo pokazać swoje prawdziwe ja. By przestać się tak pilnować i po prostu być sobą.

A teraz, gdy jedziemy w stronę zajazdu, naszego domu, wiem, że chcę od tej nocy więcej.

Chcę jego.

– Głupi zamek – mamrocze Ford, szarpiąc za klamkę, która ani drgnie.

– Spróbujmy z tyłu.

– Nie mam klucza do tylnych drzwi. Dopiero co je wymienili i jeszcze nie dorobili klucza. – Spogląda na mnie i oboje wybuchamy śmiechem.

– Poważnie? Czyżbyśmy utknęli poza naszą nieruchomością, Ford?

Cofa się i kładzie dłonie na biodrach. Usta ma zaciśnięte, a brwi zmarszczone w skupieniu.

– Wiem.

– Co? Zamierzasz się włamać?

Przesadnie kręci głową.

– Nie. Ale okna na drugim piętrze nie są zamknięte.

– Oszalałeś?

Odwraca się do mnie z wielkim uśmiechem i ożywionym wzrokiem.

– Tylko dla ciebie – mówi ze śmiechem, po czym rusza biegiem po deptaku w stronę bocznej ściany budynku.

– Zaczekaj. – Biegnę za nim, czując, że świat trochę wiruje mi pod nogami. – Nie możesz się tam wspinać – mówię, wskazując na bok budynku z przymocowaną kratownicą, po której Ford właśnie zaczyna wchodzić.

– Dlaczego nie? – odwraca się i szczyrzy zęby w uśmiechu. – Znamy właścicieli. Zaszalej, Sinclair.

– Nie wskrzeszę cię, gdy spadniesz i złamiesz kark.

– To najbardziej romantyczna rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem – mówi, śmiejąc się, po czym składa na moich ustach niewinny pocałunek.

Bez słowa, za to zanosząc się od śmiechu, Fordowi udaje się wspinać po ścianie budynku i otworzyć nowo zamontowane okna.

– Ha! – krzyczy, po czym znika.

Biegnę do frontowych drzwi, z bolącym od skurczów wesołości brzuchem, akurat gdy Ford je otwiera.

– *Voilà* – mówi, kłaniając się w pas.

– Włamałeś się do naszego hotelu. – Uderzam go żartobliwie. Chwyta mnie za nadgarstki i przyciąga do siebie.

– Ciężko jest być tak doskonałym, Elle.

– Och, błagam. Przeceniasz się. – Przewracam oczami, ale gdy nasze spojrzenia znowu się spotykają, wszystko zwalnia. Czuję jego oddech na moich ustach. Czuję, jak pod moimi dłońmi przyspiesza mu serce. Widzę pragnienie ciemniejące w jego oczach.

– Wiesz, co sprawi, że popadnę w niełaskę?

– Co takiego?

– *Błąd*, który popełnię – szepcze, pożerając mnie wzrokiem.

– Czyżby? – Nasze ciała coraz mocniej się stykają.

– Owszem. – Jego wzrok pada na moje usta. – Myślę, że trudno jest być doskonałym, jeśli popełnia się błędy.

Nachylam się, a nasze usta prawie się stykają.

– Zatem chyba pora, żebyśmy popełnili kolejny.

– Czyżby? – pyta, a ja zamykam za sobą drzwi i klękam. Jego oddech przyspiesza, gdy spoglądam na niego spod rzęs, odpinając guziki jego spodni. – Boże, uwielbiam błędy.

Ze śmiechem na ustach uwalniam jego penis i, nie tracąc czasu, biorę go do ust. Jego dłoń wcześnie się w moje włosy niemal automatycznie, gdy wkładam go głęboko do gardła.

– Elle – jęczy i, cholera, już sam ten dźwięk potęguje to palące mnie pragnienie, by go posiadać. – Chryste, Elle.

Pocieram ręką o nasadę jego członka, jednocześnie ssąc jego czubek. Zaciska dłoń, a ja czuję słony smak jego podniecenia. Spoglądam w górę, ściskając w wargach jego twarde i ciężki członek, i to, co widzę, mocno mnie podnieca. Przymknięte, przepełnione pożądaniem oczy, przygryziona dolna warga. Ściągną na szyi naprężają się, a biceps napina, gdy porusza swoją dłońią razem z moją, którą wsuwam i wysuwam jego penis z moich ust.

– Przestań albo dojdę. – Jego słowa mnie pobudzają. Żeby ssać mocniej. Wziąć go głębiej. Czuję, jak puchnie i twardnieje, choć byłam pewna, że bardziej się nie da. Z kolejnym jękiem chwyta mnie pod ramiona, podnosi i wpija się w moje usta, a jego język wślizguje się pomiędzy moje wargi.

Jego pocałunek jest mieszanką pożądania i deprawacji. Kontroli i chaosu. Potrzeby i konieczności.

Ten facet panuje nad każdym moim zmysłem.

Każdym moim nerwem.

Każdą moją myślą.

Otwartymi ustami składa pocałunki wzdłuż mojej szyi, dłońią ściska mi pierś, po czym zaczyna ją ssać przez materiał mojej koszuli.

Drzę, czując ciepło, wilgoć jego ust, jednocześnie próbując wydostać się z džinsów. Jego druga ręka pomaga mi je zdjąć, a potem popycha mnie do tyłu, aż w końcu oboje opieramy się o blat baru.

Nie przestając mnie całować, podnosi i sadza mój goły tyłek na zimnej ladzie. Chłód sprawia, że

wydaję z siebie okrzyk, a potem jęk. Zanim zdążę się zorientować, Ford opiera moje stopy o swoje ramiona i jego język jest już na mojej szparce.

– O Boże. – Te dwa słowa zlewają się w jeden przeciągły dźwięk. Opieram się na łokciach i patrzę, jak on nade mną pracuje, liżąc i operując we mnie palcami.

To jest erotyczne. To jest seksowne. To jest cholernie bliskie zmysłowości. Zerka na mnie znad mojego wzdórka, nie przestając jednocześnie wodzić tam językiem i uciskać palcami.

Moje ciało wije się od każdego dotyku, od każdego liźnięcia, od każdego podmuchu powietrza, którym owiewa moje intymne części ciała.

Chwytam go za włosy, a jego twarz unosi się z dowodem na to, co ze mną robi, połyskującym na jego podbródku i ustach.

– Weź mnie. Teraz. Proszę. – Dyszę, wypowiadając te słowa. Błagam. Proszę. Żądam.

Jego cichy śmiech to wszystko, czego mi trzeba, żeby wiedzieć, że on też jest gotowy i chętny. Skowyczę, gdy jego dłoń dotyka mojej superwrażliwej cipki. Dotyk jest niespodziewany, ale tak cholernie rozpalający, że prawie mam orgazm, tu i teraz.

Zanim jednak mój system dochodzi do siebie, Ford toruje sobie we mnie drogę niczym człowiek na misji.

*I nie zamierzam na to narzekać.*

Gdy wchodzi do końca, zaczyna się poruszać. Powolne, równe ruchy, które penetrują mnie głęboko, podczas gdy on nachyla się i całuje mnie w usta. Jego język porusza się w rytm jego pchnięć.

Drapię paznokciami jego tors, a moje ciało wznosi się wyżej i wyżej. Krąg pożądania coraz mocniej się zaciera.

– No dalej, skarbie – szepcze mi do ust, po czym się prostuje. Jedną rękę zostawia na moim ramieniu, żeby zatrzymać mnie na miejscu, po czym zaczyna przyspieszać.

Doznania są obezwładniające.

Rozkosz sięga zenitu.

Pożądanie wybucha, siejąc najwspanialsze zniszczenie.

Napięcie się uwalnia, podczas gdy mój krzyk niesie się echem po pustym pomieszczeniu, a ciało unosi się na fali przyjemności. Potężny pod względem doznań i wrażliwości orgazm zalewa mnie na wszystkie możliwe sposoby.

– No i proszę – szepcze, ruszając się powoli, kciukiem pocierając moją szparkę, żeby rozpalic jeszcze pozostałości po moim szczytowaniu.

Zaciskam się wokół niego. Ciągle i ciągle, i ciągle. Moje ciało jest jednocześnie wyczerpane i pobudzone.

I właśnie to niewielkie pulsowanie wokół niego najmocniej go rozpala. Jęczy dziko i zaczyna mnie rżnąć zachłannie i szybko.

Jego palce wbijają się w moje ciało. Jego biodra uderzają o moje. Jego kutas pracuje we mnie, aż w końcu dłużej nie wytrzymuje.

– Ellery – jęczy, a ściany niemal się trzęsą od pogłosu jego orgazmu, który się po nim rozchodzi.

Pomiędzy moimi udami wygląda jak grecki bóg. Głowa odrzucona do tyłu. Wydatne jabłko Adama. Napięte ramiona. Rozluźnione usta.

I chyba nigdy nie widziałam go bardziej seksownego.

I chyba nigdy nie zobaczę.

Opada na mnie, nasze ciała pokrywa pot, koszula, którą ciągle mam na sobie, jest nim przesiąknięta. Kładzie czoło na moim obojczyku i kołysze nim w przód i w tył.

– Dobry Boże, kobieto. – Składa pocałunek na moich piersiach. – Dobry Boże.

Mierzwię mu włosy dłonią, upajając się gwałtownym biciem naszych serc. Naszych piersi poruszających się jednostajnie.

– Czy mam to uznać za komplement? – droczę się z nim, owijając kosmyk jego włosów wokół palca.

– Mhm. Błędy. To wspaniała sprawa, prawda?

– Tylko jeśli chodzi o ciebie.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

*Ford*

### *Dwadzieścia sześć lat temu*

ŚWIAT BUJA SIĘ W TYŁ I W PRZÓD z każdym jej odepchnięciem się stopą od werandy. Huśtawka skrzypi, a gdy zamknę oczy, mam wrażenie, jakbym wirował w przestrzeni. Jednak zapach grilla i krzyki moich braci bawiących się w Marco Polo w basenie sprrowadzają mnie szybko na ziemię.

Mama wodzi w zamyśleniu palcami po moich plecach.

– Proszę, nie mów tacie, że płakałem.

– Ford. Okazywanie emocji nie jest niczym wstydlwym. – Podnoszę na nią wzrok i wzruszam ramionami. Jej włosy w kolorze ciemnego blondu są spięte z tyłu w kucyk, a brązowe oczy patrzą na mnie.

– Jestem chłopakiem. A chłopcy nie płaczą.

– To bzdura i dobrze o tym wiesz.

– Tata mówi, że mężczyźni nie powinni okazywać uczuć. – Pociągam nosem.

– Chcesz, żebym zdradziła ci sekret? – pyta, a ja kiwam głową. – Widziałam już, jak tata płacze.

– Taa, jasne. – Przewracam oczami. Nie ma mowy.

– Naprawdę. Dokładnie pamiętam te chwile. Dzień, w którym się pobraliśmy. Rozpłakał się, gdy zobaczył, jak zbliżam się do ołtarza. Stał przed setkami ludzi, ale w ogóle się tym nie przejmował. Powiedział, że to ze szczęścia, że spędzi ze mną całe życie.

Ohyda. Te miłosne bzdury się nie liczą.

– To raz.

– I pamiętam dzień, w którym się urodziście. – Uwielbiam ten wyraz jej twarzy. Nie wiem, co on

oznacza, ale wygląda na szczęśliwą. Tak jak wtedy, gdy trzymała dziecko przyjaciółki i wydawała taki dziwny, nucący dźwięk, kołysząc je. – Leżeliście wszyscy obok siebie w koszykach w szpitalnej sali. On stał przed wami z wyrazem twarzy, którego nigdy nie zapomnę. Miłością. Dumą. Niedowierzaniem. Jakbyście byli jednocześnie wszystkim i jego największym osiągnięciem. Wtedy też płakał.

– Ty też wtedy płakałaś?

– Oczywiście, że tak. To był jeden z najszcześniejszych dni w moim życiu.

– Myślisz, że dla niego też?

– Wiem, że tak. – Mierzwi mi włosy. – Powiesz mi teraz, co jeszcze cię martwi poza tym, że Ledger ci dokucza? Bo snujesz się dzisiaj z kąta w kąt z nieszczęśliwą miną i to nie przez niego.

– Po prostu sobie rozmyślam, to wszystko.

– Czy to ma coś wspólnego z powodem, dla którego nie bawisz się teraz ze swoimi braćmi?

Ponownie wruszam ramionami, podczas gdy mama dalej buja huśtawką.

– Może.

– Okej. – Powoli kiwa głową, w typowy dla siebie sposób, który mówi, że słucha. Jeśli kiwnięcie jest gwałtowne, oznacza, że masz kłopoty. Jeśli powolne, znaczy, że jest gotowa na rozmowę.

Ale nie wiem, czy chcę rozmawiać.

Lato w Sag Harbor lubię najbardziej. Jest tu plaża, żeglowanie, bawimy się wszędzie i tak długo, że wracamy do domu, gdy niebo jest już ciemne.

– Chodzi o twoich braci? Znowu ci dokuczają?

– Nie.

– To o co?

– Przeczytałem coś, co mnie zdenerwowało, to wszystko.

– O czym? – Obraca się, żeby objąć mnie ramieniem i przyciągnąć do siebie. Pachnie cytrynami, które przed chwilą zrywała z drzewa, i mydłem, którym myła je w zlewie.

Szarpię za nogawki spodni, a ona siedzi cierpliwie, jak byśmy mieli mnóstwo czasu. A ja wiem, że nie mamy. Mój tata jej potrzebuje. Ledger i Callahan najpewniej też. Ale ona nigdy nie daje mi tego odczuć. Zawsze poświęca mi czas, jakbym był jedyny na całym świecie.

– O tacie.

Kolejne powolne skinienie.

– A co dokładnie?

– Że jest bezdomny.

Jej śmiech jest głośny, ale dusi go, gdy patrzę na nią zagubionym wzrokiem.

– Myślę, że tam było napisane „bezwzględny”, kochanie. Raczej nie jesteśmy bezdomni – mówi i wskazuje na absurdalnie wielki dom za naszymi plecami.

– Taa. Okej. O to mi właśnie chodziło.

– Co jeszcze było tam napisane?

– Takie tam. – Łatwiej mi wpatrywać się w swoje palce, niż spojrzeć jej w oczy.

– Wyrzuć to z siebie. – Ściska moje ramię.

– Pisali, że jest bezdo... bezwzględnym człowiekiem, który ugania się za spódniczkami, jest protekcyjny, bez skrupułów i ponad wszystko stawia zysk.

– Cóż, pozostałe przymiotniki na pewno dobrze zapamiętałaś. – Śmieje się głośno, po czym całuje mnie w czubek głowy, zupełnie niewzruszona tym, co właśnie powiedziałem, i co, jak wiem, nie jest dobre.

– Ty się nie złościś?

Mama odwraca się, odrzuca mi włosy z czoła i przesuwając dłonią w dół po mojej twarzy.

– Skarbie, nie złościć się.

– Dlaczego nie? Jesteś zła, gdy Callahan nazywa mnie głupkiem.

– Masz rację. Wtedy jestem zła. Ale to zupełnie co innego.

– Jak to? Dlaczego nie jesteś zła na ludzi, którzy tak nazwali tatę?

– Jestem zła, bo to nieprawda. Ale nie obchodzi mnie, że to mówią, bo to nie ma znaczenia.

– Dlaczego nie?

– Bo jedyne komentarze, krytyka i słowa, które powinny mieć dla ciebie znaczenie, to te, które słyszysz od rodziny.

– Ty dużo mówisz, gdy jesteś zła – wypowiadam te słowa i od razu się krzywię. Nie wierzę, że właśnie wyraziłem to na głos.

Ale reakcją na mój komentarz jest śmiech i zmierzwienie moich włosów.



– To prawda. Tak robię. Najczęściej słowa wypowiedane w złości są krzywdzące. Nie mówię o takim rodzaju słów. Mówię o tych, które rodzina wypowiada o tobie. O tym, jak opisują cię przyjacielowi. To te komentarze mają znaczenie. Wszystko inne to tylko czcze gadanie.

– To bez sensu.

– Na tym świecie mnóstwo ludzi będzie mówiło o tobie różne rzeczy. Dobre. Złe. Prawdziwe. Nieprawdziwe. Jesteś Sharpe'em. Odnieśliśmy sukces i ludziom łatwiej nas krytykować niż podziwiać to, co osiągnęliśmy. Ale pod koniec życia, gdy będziesz tak stary jak dziadek i spojrzysz wstecz, przekonasz się, że liczyli się tylko ci ludzie, których kochałeś. Tylko to, co o tobie myślą – jako o osobie, mężczyźnie, bracie, mężu – jest ważne i pokazuje twoją prawdziwą miarę.

– Nie powinniśmy się przejmować tym, co mówią inni?

Jej uśmiech jest łagodny.

– Możemy, ale jeśli twoja rodzina nie jest w stanie powiedzieć o tobie nic dobrego, jeśli nie mogą powiedzieć, że byłeś dobrym, uprzejmym człowiekiem, który pomagał naprawiać świat, to czy sposób, w jaki żyłeś, był tego wart?



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

*Ford*

POSYŁA MI ZNACZĄCY UŚMIESZEK ZZA PLECÓW RODDY'EGO.

Uśmiezek, bo, cholera, Roddy prawie nas dzisiaj rano przyłapał.

Do zapamiętania: zabrać klucze wszystkim wykonawcom. W ten sposób nie zdybią cię na gorącym uczynku. Albo kończeniu go. Cieszeniu się nim.

I, o Jezusie, co to był za uczynek. Jej usta wokół mojego penisa. Jej wciągnięte policzki. Niebieskie oczy patrzące na mnie spod gęstych rzęs.

Posiadanie partnera wiąże się z pewnymi korzyściami. Nigdy jednak nie sądziłem, że to może być jedna z nich.

– Słyszysz, co do ciebie mówię? – pyta Roddy. Szybko potrząsam głową, jak gdyby chcąc ją oczyścić ze zbłąkanych myśli. Ale one wcale nie zbłądziły. Są dokładnie tam, gdzie chcę, żeby były... mimo że tak bardzo mnie rozpraszają.

– Tak. Jasne. – Śmieję się pod nosem. – Tyle się naraz dzieje, że mój mózg czasami fiksuje.

– Serio? Nigdy nie widziałem placu budowy, na którym próbowano by robić tak dużo w tak krótkim czasie.

– Czas to pieniądz.

– Owszem, ale tu zasługa należy się Sinclair. Pilnuje harmonogramu, dzięki czemu nikt na siebie nie wpada.

– Zgadza się. Jesteśmy szczęściarzami, że to ona wszystko koordynuje. Bez niej ten projekt byłby chaosem.

Ellery posyła mi ogromny uśmiech i macha palcami, po czym rusza korytarzem.

– No, chłopie – mówi Diego, który właśnie wszedł, zupełnie nieświadomy, że ona przed chwilą wyszła. – Ile bym dał, żeby dostać kawałeczek. Kurwa. Założę się...

– Zamknij ryj – mówi Roddy, uderzając robotnika w klatkę piersiową, akurat gdy ja chcę powiedzieć i zrobić to samo *lub coś gorszego*. W moich żyłach płynie furia. – Brachu, nie pierdolimy tu takich bzdur. Ona nie jest kawałkiem mięsa i na pewno zasługuje na więcej szacunku.

– No weź...

– Diego. – Mój uśmiech nie ma w sobie ani odrobiny ciepła. Mój ton też nie. Wyciągam do niego rękę. – Fordham Sharpe. Chyba się jeszcze nie poznaliśmy.

Szczęka Diega opada, a jego uścisk dłoni wymaga poważnej pracy, jeśli ma wyrażać pewność siebie. Ale równie dobrze to może przez wyraz mojej twarzy, który mówi, że chcę go zamordować, jego dłoń jest wiotka, a uścisk słaby.

Moje nazwisko czasami tak działa. I cholernie się cieszę, że teraz też.

– Proszę pana. – W końcu odzyskuje głos i odchrząkuje.

– Posłuchaj. Nie wiem, jak ty, ale mnie wychowano w szacunku do kobiet. W podziwie do nich. W radości z ich towarzystwa. Nietraktowania ich jak „kawałeczków”, które możesz sobie wziąć. Zatem ustalmy coś bardzo, bardzo dokładnie. – Nachylam się bliżej, ściszam głos, nadal ściskam mu dłoń na tyle mocno, że jego krew z pewnością ma problem, by dopłynąć do palców. – Jeśli kiedykolwiek jeszcze usłyszę, że mówisz tak o *mojej partnerce*, zapewniam cię, że twoja firma przestanie istnieć. – Jego oczy rozszerzają się. – Tak, mam takie wpływy. *Zrozumiano?*

Diego gapi się na mnie z otwartymi ustami, kiwając głową.

– Tak, proszę pana – mówi ledwie dosłyszalnym szeptem.

– Świetnie. Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy. Możesz już iść – mówię i puszczam jego dłoń, którą on zaczyna zaciskać i otwierać, żeby przywrócić krążenie. Unoszę w jej stronę podbródek. – Powinieneś też chyba zbadać sobie ciśnienie. Teraz nie wygląda to zbyt dobrze.

Diego zmusza się do przełknięcia śliny i kiwa ponownie głową, po czym potyka się o skrzynkę stojącą na ziemi i w pośpiechu wychodzi z balkonowego baru, w którym stoimy.

– Biedny dzieciak musi teraz sprawdzić, czy nie nasrał w majtki. Śmiertelnie go nastraszyłeś – śmieje się Roddy. – Miejmy nadzieję, że to go naprostuje.

– Miejmy nadzieję – mamroczę. – Dzięki, że wstawiłeś się za Ellery.

Roddy zarobił właśnie u mnie mnóstwo punktów. Teraz odchrząkuje, a jego policzki różowieją.

– Ona to co innego.

Mhm. Czy ja to właściwie odczytałem?

– Owszem. – Kiwam głową i odwracam się z podkładką w rękach, kończąc temat Ellery Sinclair. – A jeśli chodzi o te wbudowane...

– Zakładam, że jeśli uda mi się trzymać tych dupków z dala od niej, to może przed końcem projektu w końcu posunę się do tego, żeby ją gdzieś zaprosić.

Nagle mam napad kaszlu.

Wymazuję wszystkie jego punkty.

W tej chwili wpadają wręcz do tabeli z punktami negatywnymi.

A po drugie, *posuwać* nigdy nie brzmiało w bardziej popieprzony sposób niż teraz.

– Wow. No, okej – mówię tak spokojnie, jak to możliwe, jednocześnie nienawidząc faktu, że jeden z moich ulubionych ludzi na tym placu budowy spadł teraz w rankingu do poziomu Diega.

Może odrobinę wyżej.

– Myślisz, że mam szansę? – pyta z przejściem w oczach i uśmiechem pełnym nadziei.

– Mniej więcej taką jak ja – szturcham go – a to niewiele.

Ta myśl, ta wymiana zdań tkwi we mnie do końca dnia. W trakcie rozmów telefonicznych w sprawach związanych z obowiązkami wobec S.I.N. Podczas telefonu do naszego managera kurortu w Japonii, dotyczącego przywrócenia strony internetowej po ogromnej przebudowie ośrodka. Gdy zerkam na naszą nową kampanię marketingową, żeby sprawdzić, czy rebranding naszego miejsca w Aspen pomaga przyciągać młodszych klientów. Gdy rozmawiam z braćmi, żeby się upewnić, że wszyscy się zgadzamy. Po między zatrudnianiem nowego managera kurortu, zajmowaniem się kwestią łańcucha dostaw i możliwym strajkiem związków zawodowych w nieruchomości w Napa – ten tydzień był co najmniej wyzwaniem. Ważne, byśmy wiedzieli, co każdy z nas robi lub zrobił, żeby w razie potrzeby przejąć jego zadania.

Były też codzienne sprawy, którymi zajmowałem się tutaj, w zajeździe. Spacer po terenie budowy z nadzorcą, żeby sprawdzić to, co już ukończyliśmy, i dopisać do listy rzeczy, które wymagają uwagi. Dyskusje dotyczące logistyki. Kłótnia pomiędzy sfrustrowaną Ellery a hydraulikiem, który odmawiał

przyjmowania poleceń... i, zakładam, przyjmowania ich od kobiety, bo gdy ja mu powiedziałem, co ma zrobić, wykonał to szybko. *Dupek*.

Ten dzień był wyczerpujący, ale satysfakcjonujący. Tak jak najwyraźniej każdy dzień tutaj do tej pory.

Czy nie na to liczyłem, gdy tu przyjechałem? Że będę pracował własnymi rękami i widział, jak moja ciężka praca się materializuje?

A co jest jeszcze lepsze? Możliwość robienia tego wszystkiego z moją partnerką, Ellery, i obserwowania radości i satysfakcji, które ona również czerpie z tego procesu.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

*Ellery*

CO? – ODSUWAM TELEFON OD UCHA i spoglądam na niego, jak gdybym musiała zobaczyć, żeby uwierzyć, po czym przykładam go z powrotem. Niemożliwe, żeby dobrze usłyszała.

– Mówię, że przeglądałem z Gregorym wszystko, co zostało zrobione dla Revlona, i jestem pod ogromnym wrażeniem twoich przygotowań. Doskonała praca. Po prostu doskonała.

– Aha. Dziękuję. – Gdzie jest haczyk? Dlaczego Garland komplementuje mnie właśnie teraz, skoro od zawsze wykonuję tę pracę dla Haywood?

– Zakładam, że projekt idzie dobrze?

Czuję, jakbym weszła w serialową strefę mroku.

– Tak. Bardzo. Przez większość dni. – Śmieję się. – Wiesz, jak to jest z projektami. Zawsze są jakieś potknięcia, ale tak, przez większość czasu wszystko idzie gładko.

– To dobrze. Cieszę się. Mam nadzieję, że dalej tak będzie.

– Dzięki. – Między nami zapada niezręczna cisza, a ja usilnie staram się ją czymś wypełnić. Akurat, gdy mam się odezwać, on robi to pierwszy.

– Niedługo będą jej urodziny.

Ściska mnie w gardle na te słowa i nietypową emocję w nie wplecioną.

– Wiem.

Kolejna przerwa. Odchrząkuje.

– To zawsze dla mnie trudny dzień. Nie mogę sobie wyobrazić, jak tobie musi być ciężko.

Nie mam bladego pojęcia, co na to powiedzieć. Od czasu jej śmierci nigdy nic takiego od niego nie usłyszałam. Otwieram usta. Zamykam je.

– Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że będę o tobie myślał, Elle. I że ona byłaby z ciebie dumna, bo sama robiłaby dokładnie to samo.

– Dziękuję. – Emocje, które ściskają mnie za gardło, sprawiają, że ledwo mogę wypowiedzieć to jedno słowo.

– Nie musisz mi dziękować.

Gdy rozmowa dobiega końca, stoję i gapię się w telefon, powtarzając tę rozmowę w głowie i zastanawiając się, co ona znaczyła.

Moja sceptyczna strona powiedziała, że dzwoni tylko po to, żeby sprawdzić, jak nam idzie, bo ma nadzieję na przyszłą wypłatę, jeśli chodzi o S.I.N.

Ale w jego głosie było coś, czego słaby wydzźwięk usłyszała kobieta, która czyta powieści romantyczne i udaje, że nie wierzy w szczęśliwe zakończenia.

Garland ją kochał.

Naprawdę ją kochał.

Mimo że mogłam tej miłości nie rozumieć czy nie widzieć, by była okazywana w sposób konwencjonalny – ona istniała.

Najwyraźniej jest więcej sposobów, by kochać. Nie wszystkie relacje... *wyglądają* tak samo.

Pod koniec i tak możesz być załamany jej stratą.

Może to potwierdza mój punkt widzenia.

*Miłość jest niebezpieczna i za wszelką cenę należy jej unikać.*



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

*Ford*

### ROBIMY POSTĘPY, PRAWDA?

Spoglądam w stronę Ellery stojącej w drzwiach do pomieszczenia, w którym urządziłem sobie siedzibę. To większy pokój przy barze na balkonie. Wniosłem tutaj stary stół, który służy mi za biurko. Łóżko pomieści dwie osoby, ale ciągły ból pleców sugeruje, że materac jest do dupy. Moje ubrania wiszą w nieładzie w szafie, której drzwi absolutnie nie chronią ich przed pyłem, który pokrywa już chyba wszystko. To nie jest mój typowy standard życia, ale może być.

Ale to nie na pokoju się teraz skupiam, tylko na kobiecie, która stoi w drzwiach, w dżinsach spranych na kolanach i koszulce częściowo wyciągniętej na wierzch.

Pasuje tutaj, a jednak nie do końca.

Miejsce, w którym żyje na co dzień, jest pełne elegancji, a jednak ta dziewczyna czuje się doskonale w swoich roboczych butach, z kurzem we włosach i ołówkiem wciśniętym za ucho. Prowadzi tę przebudowę z perfekcją, którą rzadko widuję u kontrahentów S.I.N.

Jest ostra. Jest wspaniała. Jest... *Ja pierdolę*. Trafiło mnie.

– Ziemia do Forda? – macha dłonią, żeby zwrócić moją uwagę. Gdyby tylko wiedziała, jak dużo jej już ode mnie ma.

– Przepraszam. Twoja obecność sprawiła, że zatopiłem się w myślach. – Jej uśmiech się rozszerza. – Wybacz, o co pytałaś?

– Mam nadzieję, że zamyśliłeś się z dobrego powodu, a nie dlatego, że mam farbę na policzku czy coś.

– Nadal byłąbyś piękna, nawet z farbą.

– Czy ktoś próbuje mnie złapać na gładkie słówka? – pyta, idąc w moją stronę.  
– W życiu – mówię, kręcąc głową. Nie, dopóki nie muszę. – I tak, myślę, że robimy postępy. Idzie bardziej gładko, niż się spodziewałem.

– Nie zapeszaj. – Śmieje się. – Wolałabym, żeby zostało, jak jest. – Rozgląda się powoli po moim pokoju. Posłane łóżko. Biurko w nieładzie. Drobne elementy tu i tam, które świadczą o mojej obecności. – Wiesz, że nie musisz tu zostawać, prawda? Jestem pewna, że twój dom w Sag byłby wygodniejszy i mniej... – przejeżdża palcem po moim biurku i zostawia ślad – ...zakurzony.

– Byłby.

– Wiem, że masz na głowie dużo więcej spraw niż to miejsce, więc...

– Wyrzucasz mnie, Selery Ellery? – Wyciągam rękę, chwytam ją w pasie i sadzam sobie na kolanach. Napięcie w jej ciele dociera do mnie z całą siłą, gdy oplatom ją w tali rękami i opieram podbródek w zagłębieniu jej ramienia.

Okazywanie uczuć jest dla niej niekomfortowe.

Zauważyłem to w ciągu ostatnich kilku tygodni, odkąd zaczęliśmy... Czymkolwiek jest to, co robimy. Dziwne, że tak namiętna kobieta odsuwa się, czując dotyk, który nie jest związany z seksem.

– Nie wyrzucam cię. Po prostu pomyślałam, że możesz chcieć przerwy od tego miejsca, bo, Bóg jeden wie, życie i praca w jednym miejscu może sprawić, że zaczniesz wariować.

Ma rację. Sprawia. Ale nie z powodów, o których myśli. Mogę mieszkać gdziekolwiek. Pomimo tego, co ludzie o mnie myślą albo z czym mnie utożsamiają, nie potrzebuję luksusów.

To ona sprawia, że wariuję. Moje pragnienie bycia z nią cały czas. Gdy zajmuje się kontrahentami, a ja mogę podziwiać, z jaką gracją sobie z nimi radzi. Gdy siedzi po ciemku w kuchni, zajadając lodowego batonika, bo wtedy kalorie się nie liczą. Gdy jej tyłek jest umoszczony w piasku, w dłoni trzyma kieliszek wina, a twarz ma zwróconą w stronę słońca. Gdy w nią wchodzę, a ona wydaje ten dźwięk z głębi gardła, który brzmi jak przyjemność godna pozazdroszczenia.

– Może – odpowiadam – ale dobrze sobie radzę.

– Słyszałam, że przeraziłeś Diega na śmierć. Wpadłam na kilku z robotników, którzy się z tego śmiali, ale gdy mnie zobaczyli, umilkli. Powiesz mi, co i dlaczego się wydarzyło?

Śmieję się cicho.

– Eee, nie. Poradziłem sobie z tym. Tylko tyle musisz wiedzieć.

– Dlaczego mam przeczucie, że powinnam wyciągnąć z ciebie więcej? – pyta.

– Nie ufasz mi, że potrafię sobie poradzić z załogą? – drażnię się z nią.

– Teraz już *wiem*, że muszę wyciągnąć z ciebie więcej.

– Nie okazywał ci szacunku. Ustawiłem go do pionu i delikatnie ostrzegłem, dlaczego nie powinien tego więcej robić.

– Wiesz, że potrafię o siebie zadbać, prawda? I że traktowanie kobiet na placu budowy jak gówna jest normalne?

– Odpowiadam *tak* na oba pytania, ale to nie znaczy, że zgodzę się na to na naszym placu budowy. Albo żeby tak o tobie mówiono. Możesz mnie nazwać staromodnym. Albo dupkiem. Wiem, że potrafisz o siebie zadbać i daję ci ku temu wszelkie możliwe okazje, *ale...* gdybym nic nie powiedział, byłbym tak samo winny jak on.

Powoli kiwa głową, po czym przyciska opuszki palców do moich i przygląda się temu połączeniu. Coś ją martwi. Przez większość czasu jest zamkniętą księgą. Czasami mam wrażenie, że ja mówię o wszystkim i o niczym, ale gdy przychodzi jej kolej, ona wygodnie przekierowuje temat na coś innego.

– Czego chcesz, Ellery? – szepczę blisko jej ucha.

– Co masz na myśli?

– Gdy to wszystko się skończy. – Napina się, a ja się śmieję. – Spokojnie. Mówię o biznesie, celach, takich rzeczach.

Przez chwilę myśli nad odpowiedzią i jest teraz taka inna od tej gaduły, którą poznałem kilka miesięcy temu. Co się zatem zmieniło?

Zanim odpowie, wzdycha.

– Chcę to skończyć i... nie wiem, czy odczuję satysfakcję, oczyszczenie, jakkolwiek to nazwać, gdy ten projekt znajdzie swój finał? A jeśli tak, to czy to wystarczy, żebym się utrzymała? Czy Garland dalej będzie myślał, że jestem do oglądania, a nie do słuchania? Czy moi bracia będą szanować moją opinię jako równego im partnera?

– Ale mówiłaś, że do ciebie dzwonił i chwalił cię za jakąś pracę. Może los się już odwrócił w niektórych aspektach.



Zaciska usta i kiwa głową.

– Może. Nie wiem.

Prawie wyczuwam jej rozterkę.

– Okej, powiedzmy, że to wszystko jest prawdą. Ukończenie projektu i sukces, który on odniesie. Uwaga, spoiler – *tak będzie*. Ale powiedzmy, że tak jest i Garland naprawdę zdaje sobie sprawę z twojej wartości, a te dupki zaczynają cenić twoją opinię. Gdyby to wszystko było prawdą, czy uznałabyś się za kobietę sukcesu?

– A więc to miałeś na myśli, pytając, czego chcę?

– Moja mama mawiała, że ostatecznie w życiu liczy się tylko to, co o tobie mówi i myśli rodzina. Wierzyłem w to całym sercem, ale jeśli mam być szczery, ostatnio z tym walczę. A potem rozmawiamy i widzę, jak się zmagasz z tymi bzdurami, które mówią twoi bracia i ojciec. Widzę cię. Znam cię. Znam twoją wartość i jestem zdumiony, że oni jej nie widzą.

I czy to nie jest prawda? Dzięki niej zdaję sobie sprawę, że istnieje wyjątek od zasady, zgodnie z którą, według mojej mamy, powinienem żyć.

Pytanie brzmi: w jaki sposób ta nowa wiedza odnosi się do mnie?

Bo zaczynam sobie zdawać sprawę, że powodem, dla którego w mojej biografii pojawiło się bolesne miejsce, jest to, że zawsze pragnąłem od niego takich słów. Jego pochwały. Jego aprobaty. Wszyscy trzech pragnęliśmy. I jak w przypadku wszystkich rodzeństw, gdy rodzic daje jednemu coś, czego nie daje drugiemu, to drugie czuje się przez to gorsze.

I właśnie to zrobił ten brak jego komentarza na mój temat w biografii – sprawił, że poczułem się, jakbym nie był tak samo ważny. A lekceważenie tych uczuć przez moich braci jeszcze mocniej otworzyło moją ranę.

Ale oto mam przed sobą Ellery, chodzący przykład wyjątku od reguły.

Ktoś, kto nie potrzebuje niczyich słów, żeby znać swoją wartość.

I zastanawiam się, jak mogę zastosować to w swoim życiu. Zachodzę w głowę, czy można zrobić krok w tył i przyjrzeć się temu, co odbieram jako afront, bo jeśli to, co moja rodzina o mnie mówi i myśli, ma być fundamentem tego, jak ja się postrzegam, to najwyraźniej mam braki.

– Zasada twojej mamy jest dobra w teorii, ale może ma zastosowanie tylko w rodzinach funkcjonalnych. – Śmieje się. – I tylko Bóg wie, że moja jest dysfunkcyjna w najnormalniejszy sposób. – Zaczyna przesuwac palcem po mojej dłoni. Mijają sekundy, w czasie których patrzymy oboje na to, co robi. – Dlaczego tak bardzo cię to męczy?

– To nie ma nic do rzeczy – mówię, a mój podbródek podskakuje na jej ramieniu. To ona ma teraz swój watek. Ostatnią rzeczą, której bym pragnął, to zwrócenie uwagi na mnie. Ale ze zdziwieniem odkrywam, że pierwszy raz naprawdę chcę z nią porozmawiać o biografii. Moja reakcja. Moje poczucie bycia nieważnym. Chcę sprawdzić, co ona o tym pomyśli. Zobaczyć, czy zrozumie to, co moi bracia uważają za absurdalne.

– Żadnego przekierowywania – mówię i całuję ją w kark. – Nie skończyłaś odpowiadać na pytanie. Jak wygląda dla ciebie sukces zawodowy? Sukces osobisty? Chcę to wszystko wiedzieć, Ellery, i nie odpuścę, dopóki mi tego nie dasz. – Mocniej ściskam ją w tali i przyciągam do siebie.

– Zawodowo chyba ciągle się nad tym zastanawiam. I myślę, że to w porządku. Czy muszę pracować? Nie. Mogę robić to bez entuzjazmu, tylko po to, żeby dostawać czek z Haywood i je potem spieniężać, ale to mnie nie satysfakcjonuje. Może zrobię jeszcze jedną rzecz podobną do tej. – Pokazuje na budynki wokół nas. – Na mniejszą skalę, żeby uniknąć hiperwentylacji, gdy usłyszę ostateczną kwotę.

– Byłaś trochę blada.

– Bardzo blada. Jezu.

– A potem wkroczyłem ja, żeby uratować sytuację – droczę się z nią, przygotowany już na reakcję, bo jeśli znam ją tak dobrze, jak mi się wydaje, to Ellery Sinclair nie potrzebuje nikogo, kto musiałby wkraczać i ją ratować.

Trzy.

Dwa...

– Nie wkroczyłeś. Nie potrzebuję wkraczania.

Odchyłam głowę i wybucham śmiechem.

– To było szybsze, niż myślałem – mówię i od razu dostaję paczkę. – I wierz mi, wiem lepiej niż ktokolwiek, jaka jesteś kompetentna. – Całuję ją w ramię. – Dobra, to była kwestia zawodowa. A osobista?

– Chciałabym podróżować. Moi rodzice byli wielkimi podróżnikami. Mam mnóstwo albumów ze

zdjęciami, które dokumentowały ich wyprawy. Myślę, że fajnie by było robić to samo. Stanąć w tych samych miejscach co oni. Doświadczać tego samego. To brzmi absurdalnie, ale może dzięki temu poczułabym, że jestem trochę bliżej nich.

– Nie. Rozumiem to. Razem z braćmi robiliśmy różne rzeczy, żeby poczuć się trochę bliżej naszych rodziców, odkąd odeszli. Żałoby absolutnie nie można oceniać ani ograniczać jej jakimś harmonogramem. Każdy przechodzi ją inaczej. Poza tym uważam, że to fajne, że masz tę historię, której możesz się uchwycić.

– Zobaczymy, czy w ogóle mi się to uda.

– Ni z tego, ni z owego kupiłaś zajazd. Jestem raczej pewny, że ci się uda.

– Dzięki za wsparcie.

– W twoim przypadku to pewnik. – Jej ni to prychnięcie, ni to westchnienie mówi mi, że zaraz zaprzeczy, kładę jej więc dłoń na ustach. – Przyjmij to, Ellery. Nie obchodzi mnie, z czym to się będzie wiązało, ale pod koniec tego przedsięwzięcia będziesz potakiwać, słysząc takie słowa, a nie prychać.

Jej westchnięcie to wszystko, czego mi trzeba, żeby wiedzieć, że mnie usłyszała. A powolny ruch, który wykonuje językiem po wnętrzu mojej dłoni sprawia, że krew napływa mi do kolana, na którym tak wygodnie się usadowiła.

Odciągam dłoń z bolesnym śmiechem i widzę, jak unosi kąciki ust.

Nie dam się rozproszyć jej próbom uwiedzenia mnie. To znaczy, tak, moja uwaga jest rozproszona i z przyjemnością skorzystam z kolejnej okazji, ale po tej rozmowie. To cholerny cud, że ta kobieta mówi, zamierzam więc to ciągnąć.

– Co się dzieje, Ford? – Wierci tyłkiem nad moim twardniejącym penisem. – Czy coś cię rozprasza?

Zamykam oczy i wciągam powietrze, czując przez spodnie ciepło jej cipki na kutasie.

– Nie. – Zaciskam zęby i przesuвам ją, żeby siedziała bardziej na jednym z moich ud, a mniej na moim wzwodzie. Płonne nadzieje, że pomoże mi to pokonać pożądanie, które budzi się w moim ciele, ale warto spróbować. – Zupełnie nic.

Ledger.

Callahan.

Ledger.

Callahan.

Myśli o moich braciach to niezawodny sposób na pozbycie się wzrodu.

– Żadnych dzieci ani białego drewnianego płotka? – cedzę przez zęby, gdy ona opuszcza dłoń, żeby się przesunąć i przypadkowo trafia nią na mojego ukrytego pod dżinsem penisa.

Wciągam z sykiem powietrze, a jej uśmiech rośnie.

– Białe drewniany płotek wymaga za dużo pracy. Farba i pogoda go zużywają. Może kiedyś jakiś płot winylowy. Albo z kutego żelaza. Są trochę solidniejsze.

Śmieję się. Boże, ta kobieta. Jest taka inna.

– A dzieci...

– *Twardo* się upierasz przy tej rozmowie, prawda? – szepcze, przejeżdżając paznokciem po wybrzuszeniu w moich spodniach. Doznanie odbija się rykoszetem w dół do moich jąder i podbrzusza, gdy ona nachyla się na odległość kilku cali od moich ust. – A może przestaniemy gadać, Sharpe, a ty zaczniesz używać tych swoich ust w lepszym celu?

– Co miałaś na myśli? – Mój wzrok przeskakuje z jej ust do jej oczu, potem do jej języka, który właśnie zwilża jej wargi.

*Cokolwiek to jest, na pewno mi się spodoba.*

Nachyla się i ociera wargami o moje.

– Cóż, biorąc pod uwagę, że jesteśmy równymi partnerami...

– Fifty-fifty – szepczę prosto w jej usta.

– Ty swoje fifty dostałeś dzisiaj rano, a ja ciągle czekam na swoje.

*Kurwa.* Czy ona chce, żebym jej zrobił minetę?

Nie musi prosić dwa razy.

Koniec rozmowy.

Libido na najwyższych obrotach.

– Z całą pewnością mogę ci zadośćuczynić.

– Możesz?

Kolejny pocałunek.

– Jaki byłby ze mnie partner, gdybym nie próbował wypełniać swoich obowiązków?

Moja ręka natychmiast zjeżdża pomiędzy jej uda.

– Okropny.

Liżnięcie jej języka po mojej dolnej wardze.

Trzymając ręce na jej talii, pomagam dziewczynie wstać, po czym szybko odpinam guzik i zamek w jej spodniach.

– W takim razie musisz posadzić tyłek na tym biurku przede mną, żebym mógł udowodnić, że jestem godny.

Fifty-fifty nigdy nie brzmiało tak dobrze.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

*Ellery*

CHCIAŁBYM, ŻEBYŚ COŚ DLA MNIE ODEBRAŁA.

Czy nie o to poprosił mnie Ford? Żebym załatwiła sprawy i pojechała do innego miasta mu pomóc?

Nie powiem, żebym miała coś przeciwko. Przez kilka ostatnich dni, od urodzin mamy, byłam w potwornym dołku, dlatego opuszczone szyby w aucie i świeże powietrze były właśnie tym, czego potrzebowałam.

Z każdą milą, która dzieliła mnie od placu budowy, oddychałam odrobinę lżej.

Tematem przewodnim tego tygodnia był najwyraźniej chaos.

I przysięgam, to dlatego że Ford zapeszył, mówiąc, że wszystko idzie jak po maśle. Tylko w tym tygodniu w miejscu przyszłej kawiarni pękła rura, elektryk spadł z drabiny i wymagał pomocy medycznej oraz nie otrzymaliśmy zezwolenia przez jakieś szczegóły techniczne dotyczące miejskich rozporządzeń.

Stres, stres, stres.

A to wszystko akurat teraz, gdy nieuchronnie zbliża się termin dostawy mebli.

Jeżeli pomieszczenia nie zostaną ukończone, to nie będziemy mieli gdzie ich trzymać.

Skoro mowa o terminach, to muszę odebrać to, po co tu jestem, i wracać.

Ponownie patrzę na adres, który wysłał mi Ford, a potem na budynek przede mną.

Tak. To jest to miejsce. Choć nie spodziewałabym się, że akurat stąd mam odebrać coś do przebudowy.

Budynek jest w stalowoniebieskim kolorze, z białymi okiennicami i doniczkami pełnymi kwiatów na parapetach. W środku kręci się kilka kobiet, które przechodzą co chwilę obok okien. Jedna z nich ma

w dłoni kieliszek z winem. Inna ma we włosach sreberka.

Sięgam ręką do własnych włosów. Kiedy ostatnio je podcinałam czy układałam? Jestem tak zajęta zajazdem, czasem z Fordem, że ani razu nie przeszło mi to przez myśl.

Może się umówię, skoro tu jestem.

Ale co wspólnego mają salon i przebudowa? Ford musiał poprzestawiać liczby albo pomylił coś w adresie.

**Ja:** Jesteś pewien, że to dobry adres?

**Ford:** Tak. Niebieski budynek. Różowe kwiaty?

**Ja:** Tak.

**Ford:** Millie ma to, czego potrzebujesz.

Gapię się na ekran telefonu i kręcę głową.

– Nic tutaj nie ma – mamroczę, po czym wysiadam z auta i wchodzę po schodkach. Wnętrze jest przestronne i spore. Pachnie jaśminem pnącym się w donicach. Czekam, aż ktoś zobaczy mnie przy recepcji, przysłuchując się cichemu gwarowi rozmów i suszarkom do włosów.

– W czym mogę pani pomóc? – pyta kobieta z kręconymi, brązowymi włosami i miłym uśmiechem.

– Szukam Millie. Mam tutaj coś odebrać dla Fordhama Sharpe’a.

Jej uśmiech zaczyna lśnić niczym żarówka o mocy miliona watów.

– Czy ten mężczyzna nie jest wspaniały? Umysł, uprzejmość i wygląd, i to wszystko w jednym opakowaniu.

– Yyy, tak. Chyba... – jąkam się, zaskoczona jej komentarzami.

Macha ręką.

– Skarbie, nie chyba, a na pewno. Nikt tutaj nie osądza. Ty musisz być Ellery.

– Tak. *Millie?*

– We własnej osobie – mówi, a jej południowy akcent przebija się trochę mocniej.

– Wezmę tylko to, co mam zabrać, i nie zawracam ci już głowy. – Mój uśmiech jest uprzejmy, ale nie jestem zbyt zachwycona tym, że ta kobieta łąsi się do mężczyzny, który ostatnio zaprzęta moje myśli zbyt często, by uznać to za zdrowe.

Jej śmiech zwraca uwagę wszystkich dokoła.

– Och, skarbie, nie weźmiesz stąd nic, co mogłabyś ze sobą zabrać.

– Co masz na myśli? – pytam, a ona wyciąga dłoń, w której znajduje się coś, co na pierwszy rzut oka wygląda jak kartka.

Przyglądam się jej z ciekawością, po czym otwieram kopertę i wyciągam list.

*Elle,*

*pracujesz bez ustanku. Zaslugujesz na przerwę. Na odrobinę relaksu. Millie wszystko dla ciebie przygotowała. Masaż. Zabiegi na twarz. Manicure i pedicure. I inne rzeczy, które nawet nie wiem, czym są.*

*A gdy dzienne zabiegi dobiegną końca, na noc czeka na ciebie przyjemne mieszkanie na nadbrzeżu, na twoje nazwisko. Jedzenie zostało zamówione, będzie na miejscu. Wino się chłodzi. Właściciel obiecał, że w tym relaksie pomogą ci doskonale romanse. Ciesz się czasem z dala od hałasu i kurzu.*

*Ktoś kiedyś powiedział, że to miejsce może sprawić, że zwariujesz. Może. Wykorzystaj ten czas, żeby się rozluźnić. Zobaczymy się jutro.*

*Ford*

Nie wiem, dlaczego do oczu napływają mi łzy, ale tak jest.

– Niezły jest, jeśli mogę tak powiedzieć – mówi łagodnie Millie.

– Tak. Owszem. – Mrugam, żeby pozbyć się łez, i wkurzam się, że jedna spływa mi w dół po policzku. Natychmiast ją ocieram.

– Tylko dobry facet zauważa, kiedy jego dziewczyna potrzebuje przerwy od codzienności.

– Ja nie jestem... my nie...

Jej śmiech mi przerywa.

– Możesz sobie mówić *ja nie jestem, my nie jesteśmy*, ile chcesz, ale jeśli facet poświęca w ciągu dnia czas, żeby uszczęśliwić kobietę, która nie jest jego „mamuśką”, to myślę, że jesteście kimś więcej niż przyjaciółmi.

Moje policzki różowieją, a ja nie wiem, co powiedzieć. Kiwam głową.

– Zostańmy zatem przy „więcej niż przyjaciele”.

– No i to jest w porządku. – Wyciąga do mnie rękę. – Poproszę telefon.

– Dlaczego?

– Bo jeśli ja będę miała twój telefon, to ty będziesz miała uzasadnioną wymówkę, dlaczego nie możesz odpowiadać na pytania dotyczące pracy. I ponieważ Ford mnie o to poprosił, a obie dobrze wiemy, że takiemu fajnemu męskiemu okazowi się nie odmawia.

Niechętnie podaję jej swoją komórkę, czując, jakbym dawała jej rękę czy nogę. W tej samej chwili słyszę, że przychodzi wiadomość, ale ona tylko się uśmiecha, chowa telefon do szuflady i ją zamyka.

– Skoro tym się już zajęłyśmy, zacznijmy rozpieszczanie. Nie marnujmy czasu.

Następne, absurdalne ilości czasu spędzam na byciu traktowaną niczym członkini rodziny królewskiej. Gdy pytam, czy po masażu powinnam pić wodę, słyszę „szampan jest na bazie wody, więc się nada”. Pytana, jakim kolorem chcę mieć pomalowane paznokcie u dłoni i stóp, wybieram czerwień, bo wiem, jak bardzo Fordowi podobała się moja czerwona szminka, gdy ostatni raz miałam ją na sobie. Gdy wychodząc, słyszę pytanie, czy czuję się zrelaksowana, kiwam głową, a do oczu napływają mi łzy, bo zdaję sobie sprawę, jak bardzo potrzebowałam tego dekadentckiego wytchnienia.

Mówię sobie, że na to nie zasługuję, na to rozpieszczanie i uwagę, ale nie mogłabym zaprzeczyć temu, jak bardzo się tym cieszę.

Rozluźniono wszystkie napięcia w moich ramionach. Moja skóra lśni. Moje ciało jest zrelaksowane.

A to wszystko dlatego, że on zauważył, jak ja tego potrzebuję, podczas gdy ja sama tego nie uważałam.

Ta myśl powraca, gdy wchodzę po schodkach mieszkania, do którego skierowała mnie Millie.

Gdy otwieram drzwi i widzę luksusowe łóżko i ogromną wannę na nóżkach, która czeka, żeby się w niej zanurzyć, czuję się jak roztrzepana nastolatka. Przejeżdżam palcami po okładkach romansów moich ulubionych autorów i zastanawiam, skąd osoba, która je przyniosła, wiedziała, co lubię. Na stole leży deska z jedzeniem. Obok niej stoi pudełko z truskawkami w czekoladzie, miska mieszanki bez precli i butelka mojego ulubionego cabernet. Drzwi na balkon są otwarte i wychodzą na ten sam ocean, co nasz zajazd, ale z jakiegoś powodu – może to moje poczucie zrelaksowania, może dzień, który za mną – ocean lśni jeszcze błękitniej.

Wybieram numer Forda w tej samej chwili, w której przestaję to wszystko chłonać.

– Zakładam, że nie miałaś dzisiaj problemu z odebraniem tego, o co cię prosiłem? – Ford pyta w ramach odpowiedzi.

– Ford. – Głos mi się łamie. Dlaczego czuję, że to najmilsza rzecz, jaką ktokolwiek dla mnie zrobił? Zobaczył, że potrzebuję przerwy. Dał mi tę przerwę. Nie denerwował się, że przez nią spada na niego cały ciężar. – Nawet nie wiem, co powiedzieć. „Dziękuję” to zdecydowanie za mało.

– Nie musisz mi dziękować. Mam tylko nadzieję, że odpoczęłaś, zamiast szukać dróg ucieczki.

– Dlaczego miałabym uciekać?

– I to mówi kobieta, która wszystko traktuje dosłownie.

– Gadasz od rzeczy.

– Czyżby? Bo założę się o tę butelkę wina, którą właśnie odkorkowujesz, że miałaś problem, żeby oddać komuś kontrolę na cały dzień, nawet jeśli tym kimś byłam ja.

Wybucham śmiechem, bo ma rację. Martwiłam się, że mnie tam nie ma. I że ktoś będzie mnie potrzebował, gdy ja będę poza zasięgiem.

– Widzisz, dobrze cię znam. Dlatego poprosiłem Millie, żeby zabrała ci telefon.

– Najwyraźniej. – Milknę, aż w końcu to do mnie dociera. – O mój Boże. Dzisiaj coś się stało, prawda?

– Przestań rozpaczliwie przeglądać wiadomości. Nic się nie stało. A nawet jeśli, to nie wierzysz we mnie?

Ma rację. Nie jestem sama. Mam partnera, który sobie poradzi.

– Okej. Zapobiegłeś atakowi paniki. – Siadam na miękkim fotelu i kładę stopy wyżej. – Ale tak na poważnie, to, *to...* wszystko było tak przemyślane. Naprawdę myślę, że to jedna z najmiłszych rzeczy, jakie ktoś dla mnie zrobił.

– No cóż, szkoda, bo to tylko kropla w morzu tego, na co zasługujesz, Ellery.

Na linii zapada cisza. Nie jest niezręczna, ale czuję, że między nami jest wiele niewypowiedzianych słów, których żadne z nas nie ma odwagi nazwać.

– Czy mam być zazdrosny o te książki, które zamierzasz dzisiaj czytać? – drażni się ze mną.

– Ktokolwiek je wybrał, ma dobry gust.

– Czy to jest kod oznaczający, że zawierają dobry seks?

– Coś w tym stylu. – Oboje się śmiejemy. Nie wiem, dlaczego po części spodziewałam się, że usłyszę pukanie do drzwi i okaże się, że on rozmawia ze mną, stojąc po drugiej stronie.

Ale nie ma pukania.

Nie ma oczekiwań.

I nie jestem pewna, czy podoba mi się to, że on nie oczekuje niczego w zamian za tę uprzejmość, czy może jestem rozczarowana, że nie spędzi tej nocy ze mną, z dala od zajazdu.

– Dziękuję – mówię łagodnie. – To, co robisz... dużo dla mnie znaczy.

– Mówiłem szczerze. Zaslugujesz na przerwę i o wiele więcej. Dziękuję, że mogłem ci to pokazać. Że mogłem cię rozpieścić. A teraz ciesz się swoim wieczorem. Zanurz się w wannie. Tańcz nago, bo nikt nie patrzy. Napełnij swój kieliszek. I widzimy się rano.

Jezu. Ktoś musi to napisać w jednym z moich romansów.

Nie. Chwila. Nie chcę, bo ta chwila jest moja.

I nie chcę, żeby została mi odebrana.

– Dobranoc, Uniwersytecie Fordham.

– Dobranoc, Selery Ellery.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

*Ellery*

*Siedem lat temu*

NIE ROZUMIEM. – NIEUSTANNIE MRUGAM, jak gdyby zamykanie i otwieranie oczu miało zmienić scenę, która się przede mną rozgrywa.

Sprawić, że usłyszę coś innego.

– Nie musisz rozumieć, Elle. Musisz tylko wiedzieć, że to, my... że to koniec.

*On ci się dzisiaj oświadczy, Ellery. Josh Fitzpatrick poprosi cię dzisiaj o rękę, a potem będziecie żyć długo i szczęśliwie i będziecie absurdalnie zakochani.*

Czy to nie zaledwie kilka godzin temu moja najlepsza przyjaciółka powiedziała mi te słowa swoim śpiewnym głosem? Jakim cudem to przeszło w coś takiego? Od euforii do szoku? Od wizyty u manicurzystki, żeby moje dłonie wyglądały doskonale na zdjęciach z nowym pierścieniem, do gapienia się na lakier i chęci wymiotowania?

– Josh. Ja... nie...

– Poznałem kogoś.

– Co to znaczy „kogoś”? – krzyczę. Do oczu napływają mi łzy, a w głosie pobrzmiwa mi pustka.

– To, co słyszysz. Poznałem inną kobietę.

Pocieram twarz dłonią i próbuję przeanalizować ostatnie kilka minut.

– Zdradziłeś mnie?

– Związek nie powinien wymagać tyle pracy. Ty mnie kochasz lub nie, ale to nie może być tak, że ja muszę to z ciebie wyciągać. Nie powinienem aż tak bardzo się starać, żebyś mnie pokochała.

– Ale dałam ci wszystko, co mogłam. Dałam ci wszystko, co potrafię dać. – Robię krok w jego



stronę, a on krok w tył.

*Walcz o nas.*

– Posłuchaj, wiem, że życie rzucało ci kłody pod nogi... ale te twoje sprawy z byciem porzucaną to nie mój problem.

*Walcz o mnie.*

– Dałam ci wszystko, co mogłam.

*Jestem tego warta – tej walki, wysiłku, starania – obiecuję.*

– Słuchaj, myślałem, że cię kocham. Myślałem, że poradzę sobie z tym, że tego od ciebie nie słyszę. Ale potem kogoś poznałem... i zrozumiałem, że to, co mi dałaś, to za mało. – Josh na chwilę zwiesza głowę, po czym podnosi na mnie wzrok. – Do widzenia, Ellery.

Patrzę, jak odchodzi, chociaż chcę go błagać, żeby został. Jego szerokie ramiona. Jego wysoka postura. A potem zamknięte drzwi.

Kocham cię.

*Kochałam cię.*

Zmusiłam się, by uwierzyć, gdy ta myśl mnie dusiła. Pozwoliłam sobie pomyśleć o możliwości, zanim pojawił się strach.

*Wpuściłam cię do środka, Josh.*

*Pozwoliłam sobie na nadzieję.*

*Pozwoliłam sobie na wiarę.*

*Pozwoliłam sobie na miłość.*

Nawet gdy byłam przerażona miłością, bo znam ból, który się z nią wiąże.

*Pozwoliłam sobie na miłość.*

Myślałam, że może tym razem będzie inaczej. Że jestem warta miłości, o której wszyscy mówią. Której wszyscy doświadczają.

Ale najwyraźniej nie jestem.

„Zrozumiałem, że to, co mi dałaś, to za mało”.

To koniec. Jestem złamana. Jasne, moja mama była na tyle silna, żeby spróbować znowu pokochać, ale ja nie jestem nią. Ona straciła tylko mojego tatę.

Ja straciłam jego.

Potem ją.

A teraz Josha.

Miłość prowadzi do straty, nawet gdy starasz się z całych sił.

A zwłaszcza gdy jesteś kimś takim jak ja.

„Myślałem, że cię kocham. Myślałem, że sobie poradzę z tym, że tego od ciebie nie słyszę. Ale potem kogoś poznałem...”.

On ma rację. Zasluguje na miłość, której ja dobrowolnie nie mogę mu dać. Ta sama miłość dla mnie jest mieczem obosiecznym. Nie mogę go winić za to, że chce czegoś więcej.

Za to, że mnie zostawił.

Próbowałam.

Otworzyłam się i naprawdę próbowałam.

Wyciągnęłam z tego lekcję.

Tak jak wszystko w moim życiu, co kiedykolwiek kochałam... odeszło.

Nigdy więcej.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

*Ford*

A JAKI JEST PRAWDZIWY POWÓD, dla którego postanowiliście tu przylecieć i mnie dzisiaj odwiedzić? – pytam, przechodząc prosto do tematu, wokół którego krążyliśmy przez kilka ostatnich godzin.

Byłem cholernie zszokowany, gdy zobaczyłem Ledgera i Callahana stojących w holu zajazdu i oceniających postępy prac.

Łączymy siły tylko wtedy, gdy sprawy stają się poważne. Czy oni nie wiedzą, że ja to wiem? A teraz właśnie to robią.

O co, kurwa, chodzi?

Dlaczego tutaj są? Bo z pewnością nie podali prawdziwego powodu, zwiedzając budynek. Ani podczas lunchu, na który mnie wyciągnęli. I z całą pewnością nie wtedy, gdy Callahan przechwalał się swoją córką, a Ledger wypinał dumnie pierś, bo niedługo ma mu się urodzić syn.

*Za chwilę koło nas będzie biegał mały Ledger. Boże broń.* Jeden już wystarczy.

Obaj patrzą na siebie, a potem znowu na ocean, przed którym stoimy na balkonie baru. Żaden z nich nie patrzy na mnie.

Ich zachowanie jest tak oczywiste, że aż absurdalne.

– Który z was jest dobrym gliną, co? – pytam.

– Nie wystarczy, że chcieliśmy po prostu zobaczyć naszego brata? – pyta Callahan, uśmiechając się nieprzekonująco.

Ten ton. Znam go i absolutnie mu nie ufam.

– Czyli ty. – Wybucham śmiechem i szturcham Ledgera. – Poważnie, Callahan? – Callahan poka-

zuje mi środkowy palec. W odpowiedzi kręcę głową. – Co się zatem dzieje? Bo najwyraźniej obaj jesteście tu z jakiegoś powodu.

– Nie odbierasz od nas telefonów – mówi Ledger. Nigdy nie wychodzi z roli biznesmena. Dziwię się, że tyle mu zajęło, żeby podjąć temat.

– Odbieram wiele z nich. – Tylko nie te, z którymi nie chcę się mierzyć.

– Ujmę to inaczej. Wybierasz sobie, na które telefony i wiadomości chcesz odpowiedzieć. Lepiej? – pyta Ledger.

– Wiesz, że za nami tęskniłeś – mówi Callahan.

– Tak. Zawsze. Czasami. Poza tymi chwilami, gdy robicie mnie w konia. Czyli teraz. – To tyle, jeśli chodzi o wzajemne wspieranie się. Jasne, kilka lat temu przeszliśmy razem przez pewne trudności, ale gdy Callahan się pozbierał i przestał mieć pretensje, byłem pewien, że znowu idziemy w dobrym kierunku. Że jesteśmy dla siebie nawzajem. Ale teraz... proszę. Biografia. Ich lekceważenie tego, jak mnie dotknęła. A teraz wróciliśmy do niechęci, agitacji i, kurwa, nie mam pojęcia, jak to rozwiązać. Ostatnim, czego chcę, jest wywlekanie tego tutaj. Najwyższy czas, żeby wrócili do domu. – Do brzegu. Mam w cholerę roboty.

– Nie wątpię – prychnął Callahan.

– Co to, kurwa, ma znaczyć?

– Drażliwy, drażliwy – mówi Ledger, krzyżując ręce na piersiach i przyglądając mi się.

– No i zaczyna się walka... – mamrocze Callahan.

– Niech zgadnę. Musimy pokazać zjednoczony front i odbyć trasę promocyjną książki. Sypanie pochwałami z fałszywym uśmiechem przyklejonym do twarzy – mówię.

– Cóż, ogólnie rzecz biorąc, ta książka *jest* dobra – odpowiada Ledger. – Żaden z was nie zaprzeczył, gdy dostaliście swoje egzemplarze.

– Chyba sobie, kurwa, robisz jaja – mamroczę. Nie słuchał mnie? Nie słyszał, co mówiłem?

– Nie. Nie robię. Nie każde zdanie w niej musi nam się podobać, ale ogólnie uczciwie pokazuje, kim był tata. Jakim był człowiekiem. Dlaczego nie mielibyśmy jej chwalić? Promować jego dziedzictwa? Autor przecież nie sfabrykował sterty bzdur. To są słowa taty. To żywy kawałek historii, dzięki któremu dowiedzieliśmy się o nim czegoś więcej. Dzięki niej nasze dzieci poznają go poprzez jego własne słowa. Nie widzisz tego?

Zaciskam dłonie i marszczę nos.

Widzę to.

Oczywiście, że to widzę, rozumiem i dostrzegam prawdę we wszystkim, co powiedział.

Ale czy to nie sprawia, że żądło jest jeszcze ostrzejsze? Dzieci Ledgera dowiedzą się, że ich ojciec chciał być taki, jak ich dziadek. Dzieci Callahana dowiedzą się o jego buntowniczej naturze, ale też o tym, że mój ojciec podziwiał ten okres w jego życiu.

A moje? Moje dowiedzą się, że ich tata był *Po prostu Fordem*. Człowiekiem tak nijakim, że jego ojciec nie miał zbyt wiele do powiedzenia na jego temat. *A przez słowa, które mama wypowiedziała dawno temu, to opinia taty o mnie – a raczej jej brak – jest dla mnie tak bolesna*. I nic, co zrobię, już tego nie zmieni. On odszedł. Nie dostanę drugiej szansy.

– Widzę to, w porządku? Widzę to i jeszcze coś. Problem w tym, że wy tego nie widzicie. Albo raczej nie widzicie tego, czego tam nie ma. – Wytrzymuje moje spojrzenie i powoli kiwa głową. – Koniec dyskusji. Zadzwońcie do Miguela, żeby odpalał śmigłowiec. Mam w cholerę pracy, a wy na pewno musicie już wracać do domu. Przyjechaliście tu po nic.

Śmiech Callahana jest cichy i szydery.

– Nie do końca po nic. Dobrze wiedzieć, że mieliśmy rację co do jednego.

– Callahan, odpuść – ostrzega go Ledger.

Jeśli chcieli mojej uwagi, to teraz, kurwa, ją mają.

– Co to, kurwa, ma znaczyć?

– No weź, chłopie. To napięcie seksualne pomiędzy wami jest tak gęste, że można je kroić nożem.

– Niczego tam nie ma – jęczę. Ellery była z nami przez całe dwadzieścia minut. Nie ma szans, żeby coś zauważyli. On blefuje. To jasne jak słońce. – Mimo to, niezła próba.

– Mój Boże. Ale masz nasrane w głowie. – Śmiech Ledgera działa mi na nerwy. – Myślisz, że cię nie znam, Ford? Twoich nastrojów?

Wchodzę w jego prywatną przestrzeń i odzywam się zimnym głosem.

– Jeśli tak jest, to dlaczego nie możesz zrozumieć, że promowanie tej książki jest dla mnie policzkiem? Dlaczego wkurzasz się na to, że przez was się czuję, jakbym się nie liczył?

– Bo to głupie, dlatego – odpowiada Ledger. – Żyliśmy tym życiem. Znamy tatę. Wiemy, co czuł wobec każdego z nas. Tylko to powinno mieć znaczenie. Czy nie tego uczyła nas mama?

– Jasne, ale najwyraźniej miał o was mnóstwo do powiedzenia, nie?

– Przystaniecie się w końcu zachowywać jak pomarszczone staruszki? Mamy ważniejsze sprawy do omówienia, na przykład to, że Ford musi się spuścić, żeby mu ulżyło.

– Odpierdol się – mówimy jednocześnie z Ledgerem, a potem patrzymy na siebie i wybuchamy śmiechem. I mimo wszystko – pomimo ich zmywy przeciwko mnie, biografii, ich prośby o promocję – cholernie dobrze jest pozbyć się wzajemnych żalów i po prostu się z nimi pośmiać.

– Alleluja! – Callahan zerka na zegarek. – Mamy przełom. Zajęło nam to tylko pięć godzin, ale, kurwa, bierzemy to. – Szczerzy zęby, jakby był mózgiem operacji, choć mu do niego daleko. – O co więc chodzi ze Szczerbatką? Zaczęło się? Skończyło...

– Zamoczyłeś już? – pyta Ledger, a potem rechocze jak nastolatek, dumny ze swojego słabego żartu.

Nie zapomniałem, że kilka tygodni temu prawie uderzyłem Diega za to, że powiedział coś podobnego. Teraz śmieję się z brata i pokazuję mu środkowy palec.

– A co powiesz na „nie”?

– A co powiesz na „kłamiesz, sukinsynu”? – mówi Callahan. No i tu wkracza telepatia trojaczków. Nie muszę nic mówić, a oni już znają cholerną odpowiedź.

A może ja nie chcę, żeby znali odpowiedź.

Może sam chcę rozpracować to gównno.

Poza tym w tej samej chwili, w której się dowiadują, że coś się wydarzyło, zaczyna się dla nich sezon polowań. Ostatnim, czego chcę, jest wystraszenie Ellery, która już i tak jest dość kapryśna.

– Wydaje mi się, że widziałem tylko jedną sypialnię. *Jedno łóżko*. Powiedz mi, jak dokładnie wam się to sprawdza – mówi Ledger.

– Jedno łóżko na pierwszym piętrze. Jedno łóżko tutaj. Tak to właśnie działa – besztam go.

– Macie więc wybór. Łóżka. Stoły. Podłogę. Piasek. To zawsze jest dobre dla życia seksualnego – mówi Callahan i nonszalancko wzrusza ramionami. – No wiesz, razem z Sutton staramy się odkrywać coś nowego raz na...

– Za dużo informacji. Nie chcę znać szczegółów waszego życia seksualnego – mówię, podnosząc do góry ręce w geście poddania. – Tak jak wy nie musicie znać moich.

– Czyli jakieś są? – pyta Ledger.

– Spadaj, Ledge – jęczę.

– Jeżeli ty nie odpowiesz, będę musiał ją zapytać. Znasz mnie. Nie jestem nieśmiały – Callahan wstaje.

– Ani się waż, kurwa.

– Ha. To oznacza tak. – Callahan posyła mi triumfujący uśmiech. *Zadowolony z siebie sukinsyn*. Nie wierzę, że w to wdepnąłem. – Dobrze wiedzieć, że miałem rację.

– Słuchaj. Ona właśnie skończyła związek. Dobrze się bawimy. Czy to nie wystarczy? – pytam, ale wiem, że to coś więcej niż tylko zabawa.

Chcę ją w swoim łóżku co noc. Obok siebie co dzień.

– Tkwi w tym głębiej, niż sam przyznaje. – Ledger mówi do Callahana, jakby mnie nie było w pokoju.

– Zdecydowanie głębiej. Przyjął postawę defensywną, ochronną. Zdecydowanie głębiej – odpowiada mu Callahan.

– Czy to nie wy pieprzyliście, że takie odskocznie mogą być dobre? Świetny seks? Żadnych zobowiązań? Coś przeoczyłem? – pytam.

– No. Dużo przeoczyłeś – prycha Callahan. – Hej, Ledge. Kiedy ostatni raz Fordy okłamał nas co do kobiety, z którą się spotykał?

– Nigdy, Callahan – odpowiada Ledger szydzącym tonem.

– O co ci chodzi? – pytam.

– Ty już się zaangażowałeś. Przyjmij tę uwagę od faceta, który tam był. – Callahan podnosi rękę i wszyscy wybuchamy śmiechem.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

*Ellery*

*MOŻE AKURAT TY, JAKO JEDYNA, MOŻESZ PRZEMÓWIĆ Fordowi do rozumu, zanim zrobi coś, czego będzie żałował.*

W głowie ciągle odtwarzam ostatnie słowa, które wypowiedział Ledger, wychodząc z zajazdu, wyraźnie zirytowany Fordem.

Co dokładnie miał na myśli?

I dlaczego uważa, że akurat ja mogę pomóc?

Gdy rozmawiałam z nimi trzema, wszystko wydawało się w porządku. Zadawali pytania, twierdzili, że ten cały pomysł z Sharpe Signatures naprawdę może gdzieś prowadzić, i angażowali się w rozmowę ze mną, jakbym była jedną z nich.

Powiedzieć, że poczułam lekką zazdrość o ich braterską więź, to jak nic nie powiedzieć. Ja nigdy tego nie miałam. Wyłącznie rywalizację. Wyłącznie pogardę. Wyłącznie współzawodnictwo.

Dlatego tak zaskoczył mnie komentarz Ledgera.

Może powinnam zapytać Forda, co jego brat miał na myśli? Chociaż przecież to nie moja sprawa. Gdyby chciał ze mną o tym pogadać, toby to zrobił. Poza tym oznaczałoby to zaangażowanie się w sprawę niezwiązaną z tym małym wszechświatem, który stworzyliśmy w naszym zajazdzie. A ja nie jestem jeszcze na sto procent pewna, jakbym się czuła, wpuszczając tutaj świat zewnętrzny.

– W ogóle mi nie pomogłeś – mówię do pustego patyczka po lodzie, który trzymam w dłoni.

Mimo wszystko może coś się dzieje i on potrzebuje... pocieszenia? Przestrzeni? *Mnie?*

*Mnie.*

Dlaczego ktoś taki potrzebowałby mnie, gdy najwyraźniej sam sobie ze wszystkim radzi?

Ten człowiek pracuje bez ustanku, łącząc zadania związane z S.I.N, i zajazdem, bez narzekania czy oczekiwania pochwał. Czasami o piątej rano leci śmigłowcem do biura na Manhattanie, wraca przed południem, a potem poświęca osiem lub więcej godzin na pracę w zajeździe.

Zazwyczaj zna odpowiedzi na wszystkie pytania, które zadaje wykonawca – nawet dotyczące kwestii, którymi ja się zajmuję – i chyba nigdy nie słyszałam, żeby prosił o pomoc.

Jest samowystarczalny i czymś niesamowitym pozostaje obserwowanie go z boku i uczenie się od niego.

Czego więc, według Ledgera, Ford mógłby żałować? O czym mi nie mówi?

Kwestie biznesowe z całą pewnością ma pod kontrolą, więc cokolwiek to jest, musi dotyczyć jego życia prywatnego. Czyli rodziny. Bo najwyraźniej nie istnieje dla niego nic innego poza pracą, rodziną... *i mną*.

Ta myśl towarzyszy mi przez chwilę i w mojej głowie pojawiają się te wszystkie miłe rzeczy, które dla mnie zrobił.

Oczywiście, był salon Millie i ten apartament. Ale były też kwiaty na kuchennym stole, po tym, jak wspomniałam, że w zajeździe nie ma niczego żywego. Jedzenie z dowozem, gdy miałam już dość tych samych posiłków przechowywanych w naszej prowizorycznej spiżarni. Usługa prania, z której mogłam skorzystać, gdy moje ubrania były brudne. Spacer po deptaku, gdy Roddy cholernie mnie wkurzył i Ford wiedział, że muszę ochłonać. Ciche noce, gdy czytałam książkę, a on przeglądał internet na laptopie i gdy wystarczało nam milczenie.

Proste rzeczy, które pod koniec dnia wywoływały uśmiech na mojej twarzy. Czyniły ten dzień odrobinę lepszym.

Najwyższy czas, żebym to ja zrobiła coś dla niego. Pytanie tylko *co*?

Podskakuję, słysząc za sobą jakiś dźwięk. Myśli o człowieku, który go spowodował, tak mnie pochłonęły, że go nie zauważyłam.

– Przepraszam. Nie wiedziałem, że tu jesteś. Nie chciałem cię wystraszyć – mówi nieprzytomnie.

– Wszystko okej?

– Mhm. Tak. Jasne. – Otwiera lodówkę, po czym ją zamyka. To samo robi z zamrażarką, następnie siada, wstaje i podchodzi do okna, żeby wyjrzeć w ciemność, która panuje na zewnątrz.

– Nie możesz spać? – pytam.

– Coś w tym stylu. Nie wiem. Ja... po prostu nie wiem.

Coś jest nie tak. *Czy o tym mówił Ledger?* Chciałabym wiedzieć. Ford jest wyraźnie niespokojny i podenerwowany.

Tak jak tej pierwszej nocy, gdy się poznaliśmy.

Mam wrażenie, jakby to było wieki temu, ale wyraz jego twarzy i niezgoda w jego oczach są takie same jak wtedy.

Chcę mu pomóc, ale nie jestem pewna jak.

Co nie oznacza, że nie spróbuję.

– Ford?

– Hmm? – Dalej wpatruje się w przestrzeń. Wstaję, a myśl o drugiej porcji lodów znika. Bez namysłu podchodzę do niego w ciemnym pokoju, wsuwam ręce pod jego ramionami i owijam je wokół jego talii.

Pocałunek, który składam na jego łopatce, jest czymś dla mnie nietypowym, a jednak... dziwne, ale wydaje się na miejscu, jak coś, co on by zrobił, żeby mnie pocieszyć.

– Ciężki dzień? – szepczę wtulona w jego plecy. W odpowiedzi wzrusza ramionami. – Gdy byłam mała i miałam ciężki dzień, moja mama pozwalała mi się wśliznąć do jej łóżka. Mówiła, że przytulanie potrafi wszystko naprawić.

To wspomnienie pojawia się znikąd. Wielkie łóżko mojej mamy. Moja głowa na jej piersiach i jej spokojne bicie serca pod moim uchem, gdy bawiła się moimi włosami. Łagodna melodia jej głosu, gdy opowiadała mi zabawne historie z mojego dzieciństwa. Ze swojego dzieciństwa. O moim tacie. Nasz stłumiony śmiech. Spokój, który czułam, gdy zasypiałam przy spokojnym rytmie jej głosu.

Ford opuszcza ręce i kładzie je na moich dłoniach. Wracam gwałtownie do tego, co tu i teraz, ale ciepło mojej mamy nadal mnie otula niczym kokon, którego tak długo nie czułam.

– Chcesz się poprzytulać?

Ciało Forda natychmiast tężeje. Jakby wiedział, ile to pytanie mnie kosztuje. Mimo że seks z nim sprawia mi ogromną przyjemność – *och, jak ogromną* – nie zostałam jeszcze na noc w jego łóżku. Ani on w moim. Bo to wydaje się po prostu zbyt... intymne. Przez to wszystko staje się zbyt rzeczywiste. Dla-

tego moja propozycja zaskakuje nawet mnie.

– Jesteś pewna?

– Mhm.

Idziemy w stronę mojego pokoju. Nie rozmawiamy. Milczymy, myjąc zęby. Milczymy, gdy on rozbiera się do bokserek, a ja do biustonosza i majtek. Milczymy, wślizgując się do łóżka. Milczymy, gdy on opiera mi głowę na brzuchu, kładzie ciężko ramię na moich udach, a ja w zamyśleniu bawię się jego włosami.

Czuję się z tym... odważę się powiedzieć, że *normalnie*?

Nawet cisza, która wokół nas zapadła, nie jest niezręczna. Nie mam pewności, dlaczego uważałam, że będzie inaczej, gdy żyliśmy obok siebie przez ostatnie miesiące, dzień i noc, ale najwyraźniej tak nie jest.

Oddech Forda wyrównuje się do tego stopnia, że mam wrażenie, że zasnął.

– Moi bracia są na mnie wkurzeni – mówi cicho, wrywając mnie z początkowego stadium snu.

– Słucham cię – mówię.

– Ta biografia naszego taty. Chcą, żebym ją poparł. Żebym uczestniczył w trasie promocyjnej i spotkaniach prasowych, tak jak oni. A ja nie chcę.

– Czy jest jakiś konkretny powód, dla którego nie chcesz?

Jego westchnienie wypełnia pokój. *O tym* mówił Ledger. O braku uczestnictwa Forda i możliwym żalu.

*Co, do cholery, wiem o dawaniu rad w takich sytuacjach?*

– Mówiąc szczerze, biografia jest świetna – odpowiada. – Autor wykonał niesamowitą robotę, przywracając tatę do życia. Ludzie często opacznie go rozumieli, jak to jest w przypadku kogoś, kto odniesie sukces. Plotki, pogłoski i przypuszczenia. Ale autor potrafił spleść ze sobą wszystko, czego nauczył się z wywiadów z moim tatą, żeby pokazać go takim, jakim go znaleźliśmy z Callahanem i Ledgerem.

– To niesamowity dar mieć w pewnym sensie część twojego ojca ciągle żywą.

Ford mamrocze coś niewyraźnie, ale domyślam się, że zmagają się z czymś więcej.

– W książce są rzeczy, których nigdy o nim nie wiedziałem. Historie o nim i mamie, za które jestem wdzięczny. Więcej szczegółów na temat wydarzeń, o których wiedzieliśmy niewiele.

– To dlaczego tak cię to martwi? Bo całe życie byliście na świeczniku, a te ostatnie, nowe rzeczy, których się dowiedziałeś, chciałeś zachować dla siebie?

– Nigdy tak o tym nie myślałem. Ale nie. Nasze życie pod mikroskopem i na widoku jest wszystkim, co znaleźliśmy. Wszystkie sukcesy, wszystkie porażki zostały udokumentowane gdzieś w gazetach. Kurwa, istnieją nasze zdjęcia z pogrzebu mamy. Wielki montaż trojczków w żałobie, który jakiś paparazzo sprzedał za absurdalną kwotę. Wszystko wydaje się dozwolone.

– Przykro mi. To musiało być trudne, to radzenie sobie, żałoba i jednoczesne życie na świeczniku.

– Jest, jak jest. To, czego nie mieliśmy prywatnie, otrzymaliśmy jako przywilej. Wiemy o tym. Pogodziliśmy się z tym.

– To co w takim razie tak cię w tej biografii martwi?

– Jest tam rozdział, w którym nasz tata mówi o nas. Nie podoba mi się to, co zostało i nie zostało powiedziane. Callahan i Ledger nie rozumieją, dlaczego to mnie złości. Twierdzą, że jestem cipą i powinienem dać sobie z tym spokój.

Chcę mu zadać tak wiele pytań, ale tego nie robię. Wyraźnie opowiada mi skróconą wersję tego, co chce, żebym wiedziała – tego, jak się czuje. Gdybym była na jego miejscu, ostatnią rzeczą, której bym chciała, byłoby wypytywanie mnie.

– Twoje uczucia to twoje uczucia, bez względu na to, co myślą inni. Nie musisz się nikomu z nich tłumaczyć. Wiem ze swojego doświadczenia, że gdy ktoś każe mi iść w jedną stronę, ja natychmiast ruszam w przeciwną.

– Kupno tego zajazdu to dobry przykład.

– Owszem. – Mój śmiech rozbrzmiewa w ciszy, a ja nawlekam kosmyk jego włosów na palec.

Nadal bardzo wyraźnie pamiętam reakcje Gregory'ego i Joshuy, gdy spotkałam ich po podpisaniu dokumentów w domu aukcyjnym. Ich pogardę i niedowierzanie czające się w kącikach ust, gdy dowiedzieli się, że niespodziewanie weszłam w partnerstwo z Fordem, człowiekiem, o którego byli wyraźnie zazdrośni. Gdy wzięłam coś dla siebie, z kimś innym i ich zdanie nie miało już znaczenia. Nie żeby miało kiedykolwiek, ale w ich głowach wyglądało to inaczej.

*To śmieszne, jeśli myślisz, że Fordham Sharpe i jego egocentryczni bracia przyjmą od ciebie jakiegokolwiek sugestie dotyczące tego zapomnianego przez Boga zajazdu. On cię nie będzie traktował po-*

*ważnie i dokąd cię to zaprowadzi? Będiesz splukana i zdana na jego łaskę? Staniesz się cholernym pośmiewiskiem?*

Zanim podjęłam się tego projektu, zawsze czułam się zapędzona w kozi róg. Zanim zrobiłam ten krok. Wiem, jak to jest być przypartą do muru, ze świadomością, że jedynym krokiem naprzód, jedynym sposobem, by cię usłyszano, jest ostra reakcja.

To było moje życie. To jest moje życie.

I może znając bardzo dobrze to uczucie, mogę choć trochę pocieszyć Forda.

– Ta kłótnia nie dotyczy tego samego powodu, z którym walczyłeś tej nocy, której się tutaj pozna-  
liśmy, prawda? – pytam.

– Dotyczy.

– W takim razie powiem ci teraz to, co powiedziałam ci wtedy, ale prościej. *Pieprzyć ich*. Masz prawo czuć się tak, jak się czujesz. Być tym, kim chcesz być. Koniec historii.

– W teorii twój plan, twoja rada są bez zarzutu. Jednak wydaje mi się, że to nie zadziała. – Śmieje się, a ja słyszę, że sen się wyraźnie zbliża. – I dlaczego zawsze rozmawiamy o mnie, Selery Ellery? Dlaczego ty się zawsze wymigujesz?

– Jestem daleka od wymigiwania się.

– Bzdura.

– Stanowię otwartą księgę. Po prostu mnie spytaj. Szkoda tylko, że na tych stronach nie ma nic ciekawego do czytania – chichoczę.

– To jest jedna z tych twoich sztuczek.

– Co?

– Odwrót, unik, a potem zmiana tematu, gdy rozmowa zaczyna się skupiać na tobie. Powiedzieć żart. Zaśmiać się. Dlaczego tak się boisz, że ktoś się za bardzo zbliży? Że cię pozna?

– Nie bądź śmieszny. Nie robię tego.

Ale świetnie wiem, że to nieprawda. On jest po prostu pierwszą osobą, która od bardzo dawna mnie za to skrytykowała.

Być może dlatego, że tylko jemu pozwoliłam się tak zbliżyć od czasów... od czasów Josha.

– Jak chcesz, Elle. Ale w pewnym momencie ludzie przestają próbować cię poznać, jeśli im na to nie pozwalasz.

Jego słowa uderzają mnie tak mocno, jak niespodziewane wspomnienie o mojej mamie. To z nią się wszystkim dzieliłam. I tak jak mój tata, odeszła. Nie potrzebowałam więcej dowodów na to, że powinnam trzymać ludzi na dystans. Bo jeśli ich nie kochasz, jeśli nie pozwolisz sobie na kochanie ich, to nie poczujesz straty, gdy cię zostawią.

*Ale w pewnym momencie ludzie przestają próbować cię poznać, jeśli im na to nie pozwalasz.*

Te słowa odtwarzają się w mojej głowie na nowo, gdy rozmawiamy o wszystkim i o niczym. O ulubionych drużynach sportowych. O liście rzeczy, które chcemy zrobić. O tym, czego nie znosimy. O pierwszych miłościach.

Śmiejemy się. Milczymy. Poznajemy się na poziomie, na który wcześniej nie weszliśmy. I dopiero o drugiej nad ranem postanawiamy trochę się przespać.

– Dobranoc, Selery Ellery.

– Dobranoc, Uniwersytecie Fordham.

Odczuwanie ciepła jego ciała i ciężaru dłoni na mojej talii poprawia mi samopoczucie.

I nagle, pomimo ziewania, nie mogę zasnąć.

Mogę tylko myśleć. O Fordzie. O dzisiejszej nocy. O wszystkim, co powiedział i czego nie powiedział. O tym, jaką bliskość z nim czuję.

– Hej, Ford?

– Hm?

– Wiem dlaczego.

– Cieszę się.

Uwielbiam w nim to, że nie pyta o szczegóły. Że nie naciska, podczas gdy większość by to zrobiła. Myślę, że to jedyny powód, dla którego postanawiam mu powiedzieć.

Kłamstwo.

Mówię mu, bo to ważne, żeby wiedział.

– Zerwałam z Chandlerem, bo zgodziłam się za niego wyjść z niewłaściwych powodów. Nigdy tego nie zauważałam, do czasu, kiedy poznałam ciebie. – Biorę głęboki, uspokajający wdech. – Poczułam więcej podczas jednej nocy rozmowy z tobą, słuchania cię, śmiania się z tobą niż kiedykolwiek z *nim*,



człowiekiem, za którego miałam wyjść. Zostawiłam go, bo nie wiedziałam, że to uczucie istniało. A myśl o tym, że miałabym tego już nigdy nie poczuć, wystraszyła mnie na śmierć.

Przyznanie się do tego odbiera mi oddech. Jak na kobietę zdecydowaną, by nie pozwolić sobie na uczucie, popełniłam właśnie śmiertelny grzech i przyznałam, ile dzięki niemu czuję.

Jak bardzo znowu chciałam czuć.

I choć jestem śmiertelnie przerażona przyznaniem się do tego przed wszechświatem, który był dla mnie tak okrutny, to chyba czuję też lekką ulgę, mogąc to powiedzieć.

A Ford reaguje na swój doskonały sposób, tak jak najbardziej potrzebuję. Podnosi moją dłoń i przyciska do niej usta.

– Zaslugujesz na wszystko, co dobre, Ellery Sinclair. Na śmiech. Szczęście. Miłość.

Gdybym tylko umiała uwierzyć, że to prawda.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

*Ellery*

DNI ZLEWAJĄ SIĘ ZE SOBĄ.

Ranki w dni. Dni w wieczory. Chwile spędzane na wspólnej pracy... i cieszeniu się sobą w każdy możliwy sposób.

Nie spodziewałam się jednak, że ta noc, w którą zaprosiłam Forda, by spał w moim łóżku, da początek wszystkim kolejnym.

To się tak jakby stało samo.

Następnej nocy przyszedł do mnie pogadać przed snem. Oboje musieliśmy wziąć prysznic, więc logicznie uznaliśmy, że wodę trzeba oszczędzać. A potem leżeliśmy w łóżku owinięci ręcznikami i gadaliśmy wiele godzin, aż w końcu zmorzył nas sen.

Kolejnej nocy poprosiłam go, żeby zerknął na jeden z moich pomysłów, który miałam w komputerze. Podzielił się swoimi uwagami. Powiedział, że ufa moim decyzjom. I już nie wyszedł.

Nie rozmawialiśmy o tej zmianie. Żadnego: „Hej, co myślisz, żebym na stałe wprowadził się do twojego łóżka?”. To się po prostu stało.

I to w sposób, który uniemożliwił mi spanikowanie.

Jeszcze dziwniejsze jest poczucie, że o wiele przyjemniej jest budzić się z nim obok. Jego obecność jest dla mnie pewną pociechą. Daje mi poczucie towarzystwa. Braku samotności.

– Możemy zatrzymać się w Sag Harbour, jeśli chcesz – mówi Ford, opierając się ramieniem o futrynę. – Wiem, że to kawał drogi, ale jeśli zrobimy to razem, nie będzie tak źle.

Przyglądam się świeżo położonemu granitowi w jednej z łazienek. Brzegi są w porządku. Cięcia wyglądają na czyste. Fugi proste. Krawędzie wykonane z rzemieślniczą precyzją.

Jestem pod wrażeniem. Monter wykonał świetną pracę.

Teraz muszę sprawdzić jeszcze piętnaście takich granitów, ale w różnych wzorach ziarna. Nie będzie dwóch takich samych apartamentów.

– Doceniam to. W teorii to dobra myśl, ale nawet jeśli nie będzie korków, dojazdy zajmą nam dwie godziny dziennie. Możemy ten czas lepiej spędzić tutaj.

Kiwa głową.

– Domyśliłem się, że to powiesz, ale chciałem rzucić ten pomysł. W końcu robotnicy muszą zacząć prace w twoim pokoju. Co zamierzasz z tym zrobić?

– Wyniosę swoje rzeczy. Nie ma ich zbyt wiele. Mogę się przenieść z jednego nieużywanego miejsca w drugie lub...

– Lub możesz pomieszkać w moim luksusowym domu ze mną na górze. Przecież uzgodniliśmy, że to będzie nasz ostatni pokój, bo wymaga najmniej zmian.

Potakuję, czując, jak wali mi serce. Czy to nie niedorzeczne? Fakt, że śpi, zostaje w moim łóżku, jest okej, ale myśl o wprowadzeniu się do jego pokoju wywołuje u mnie panikę.

Sama sobie na to odpowiadam. *To jest całkowicie niedorzeczne.*

Uśmiecham się sztywno.

– Jasne. Może tak być.

Jego śmiech odbija się echem po pustej łazience.

– Masz taki wyraz twarzy, jakbym cię właśnie zapytał, czy mogę ci amputować rękę.

– Nieprawda.

– Owszem – mówi Ford, zbliżając się do mnie. Podnosi palcem wskazującym mój podbródek, zmuszając, bym spojrzała mu w oczy. – Mógłbym powiedzieć, że obiecuję, że nie będę gryzł... – Muska mnie lekko ustami, a ja przypominam sobie, jak wczoraj w nocy ugryzł mnie lekko w ramię. – Ale wiesz, że to kłamstwo.

Jego cichy śmiech wibruje pragnieniem, które zaczynam odczuwać pomiędzy udami.

Kto by pomyślał, że mała malinka może aż tak nakręcać?

– Próbujesz mnie rozproszyć, Ford?

Kolejny pocałunek.

Jego dłoń przesuwa się i ściska mój tyłek.

– A dobrze mi idzie?

– Nie jestem jeszcze tak całkowicie rozproszona. Widzę, że tamta fuga ma małą dziurkę pomiędzy czwartą a piątą płytką.

Jego dłoń wsuwa się za pasek moich spodni i zmierza prosto w stronę tego pragnienia.

– Małe dziurki to trawestacja.

Chwytam gwałtownie powietrze, gdy jego palce odnajdują moją cipkę i wślizgują się w jej wilgoć.

– A toaletę trzeba przestawić. Nie jest doskonale wypoziomowana. Siedzenie na nierównej toalecie jest niewygodne.

– Szczegóły. Jesteś świetna w zauważaniu ich. – Gryzie płatek mojego ucha, podczas gdy jego palce wchodzą we mnie.

Nie mogę powstrzymać jęku. Nie walczę, gdy dotyka tego nierównego odcinka nerwów we mnie.

– Ten dźwięk mówi, że jesteś teraz rozproszona – mówi i przejeżdża czubkiem języka po mojej szyi.

– Kabinę prysznicową trzeba uszczelnić w prawym tylnym rogu.

Liźnięcie języka po mojej szyi.

– Wiem, co jeszcze można *uszczelnić*.

Śmieję się.

Śmiech zamienia się w kwilenie, gdy napieram na niego, wbijając mu paznokcie w bicepsy, kładąc czoło na klatce i czując, jak zaczyna mnie rozpalać przyjemność. Zaciskam mocniej. Jego przyspieszony oddech i uważna dłoń doprowadzają mnie na skraj krawędzi, a potem spychają z niej bez żadnego ostrzeżenia.

– Jezu, Ford – dyszę, chłonąc całym ciałem falę, którą właśnie wywołał. – Co to było?

– Musiałem cię przekonać, dlaczego warto przenieść się do mojego skromnego domu. – Mruga.

Uderzam go lekko, jednocześnie wyrównując oddech.

– Sinclair? – z dołu rozlega się głos, a my odskakujemy od siebie.

– Myślałem, że nikogo już nie ma – mówi Ford, wyciągając dłoń z moich spodni, a ja szybko je

zapinam.

– Ja też – szepczę trochę głośniej.

– Ellery? – głos jest już bliżej.

– Ta łazienka pachnie seksem – mówi Ford, rozglądając się, jak gdyby to miało pomóc pozbyć się zapachu mojego podniecenia.

– Świetnie. Dobra. To może wyjdźmy, żeby ten ktoś tu nie wszedł?

Ford naciska dłonią moje plecy.

– Ty pierwsza.

– Tak. Świetnie. *Cześć, kimkolwiek jesteś* z poorgazmowym rumieńcem na moich policzkach.

Ford zaczyna się śmiać. Czy w tym momencie nie zostało nam tylko to?

– Cóż, mam cię na swojej dłoni, więc nie pomogę w pozbyciu się zapachu seksu. – Jego uśmiech mówi, że mu się to podoba.

– Tutaj jestem! – krzyczę z apartamentu, wypychając Forda za drzwi łazienki i poza zasięg wzroku, akurat gdy wchodzi Roddy.

– O, tutaj jesteś – mówi, po czym zatrzymuje się i przygląda mi z dziwnym wyrazem twarzy. – Wszystko w porządku? Wyglądasz na trochę...

– Robiłam właśnie listę uwag do tej łazienki. Ciepło uderza w najdziwniejszych momentach. – Macham ręką przed twarzą, żeby uwiarygodnić moje kłamstwo. – Pójdiesz ze mną do kolejnej?

Jego oczy się zwężają. *No dalej, Roddy. Chodźmy.*

– Jasne. Tak. Okej.

– Co tu robisz? Myślałam, że już wyszedłeś.

– To prawda. – Czerwieni się, bawiąc się kluczykami, które w końcu podnosi. – Znalazłem je.

*Czego tutaj nie rozumiem? Dlaczego on wydaje się taki zdenerwowany?*

– Co znalazłeś? *Twoje kluczyki?* – Ale jeśli je zgubił, to jak mógł pojechać wcześniej do domu? Dlaczego mnie okłamuje?

– Tak. Kluczyki. Te kluczyki. – Ponownie potakuje, gdy stajemy przed drugim i ostatnim apartamentem na tym piętrze. Ponieważ milczy, zaczynam oceniać instalację w łazience, na wypadek, gdyby pomyślał, że kłamałam. Poczucie winy i tak dalej.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze? – pytam. Kończę listę poprawek i podnoszę na niego wzrok.

– Nie... ale jednak cieszę się, że przyszedłem. Ta kobieta, która wcześniej tu weszła, znowu tam stoi. Powiedziałem jej, że to własność prywatna, i musi wyjść, albo zadzwonię po policję.

– Jaka kobieta? – pytam, zupełnie zdezorientowana.

– Ta reporterka, która była tu wcześniej. A przynajmniej mówi, że nią jest. Myślałem, że Ford ci o niej powiedział, skoro tak długo tam koczowała.

– Nie. Nie powiedział. – *Co, do cholery?* – Czego ona chce?

– Chce przeprowadzić z nim wywiad. A przynajmniej tak twierdzi.

– O zajeździe? O książce...

– Tak. O książce. Chce wiedzieć, dlaczego pozostali dwaj bracia ją promują, a on nie. Gra kartą „kłopoty w raj” czy coś w tym stylu.

– Aha. Okej. Nie miałam pojęcia. – Nie znajduję odpowiedzi na to, dlaczego tak jest.

– Ford o niej wie. To on wcześniej kazał nam się jej pozbyć. – Rozgląda się po łazience, a potem patrzy na mnie. – Widzisz? Zgubiłem kluczyki, dzięki czemu mogłem wrócić i uratować sytuację. – Żart jest nieśmieszny, ale jego nerwowy śmiech niesie się po pustym apartamencie.

Coś się tutaj nie zgadza.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze? – Roddy buja się na piętach i unika mojego wzroku. – Roddy?

– Nie. Tak. – Wierci się, wyraźnie nie mogąc ustać spokojnie, po czym posyła mi wymuszony uśmiech. – Bardzo podoba mi się praca z tobą przy tym projekcie.

– Mnie z tobą również.

– A ponieważ do otwarcia zostało tylko kilka tygodni, pomyślałem, że może chciałabyś gdzieś wyjść i uczyć dobrą robotę?

– Oczywiście. Planowałam już małą imprezę dla wszystkich, którzy tu tak ciężko pracowali. Wielkie umysły myślą podobnie.

– Nie o to... Ellery. – Patrzy na mnie, a potem spuszcza wzrok, a do mnie dociera sedno. To wiercenie się. Podenerwowanie. Powrót po *zgubione kluczyki*. – Miałem na myśli ciebie i mnie. Tylko nas.

Zanim się orientuję, co się dzieje, mija dłuższa chwila niż ta, w której zadał mi pytanie, gapię się więc na niego, mrugając, z otwartymi ustami i rosnącym zaskoczeniem.

– Yyy. Ja... Roddy...

– Hej. Rod. Co ty tu robisz? Potrzebujesz w czymś pomocy? – pyta nagle Ford, wchodząc do pomieszczenia. Słyszał albo doskonale wyczuł chwilę w tej niekomfortowej sytuacji.

Roddy, przestraszony, odskakuje.

– *Ford*. Nie wiedziałem, że tu jesteś. Nie widziałem twojego samochodu przed budynkiem. Ja...

– Stoi przy budynku obok. Nasz parking był wcześniej pełny. – Patrzy na mnie, potem znowu na Roddy'ego. – Wszystko w porządku?

– Yhy. Zostawiłem tu kluczyki, to wszystko. – Unosi je, a potem niechcący upuszcza. Pęk z metalicznym brzękiem upada na podłogę, Roddy schyla się i próbuje je podnieść. – Ja... ja tylko rozmawiałem z Ellery o tym, że to już prawie koniec projektu.

– Niesamowite, jak szybko poszło – mówi Ford. Ze sposobu, w jaki patrzy na Roddy'ego, wiem, że słyszał, o co ten zapytał. Że chciał się ze mną umówić.

I nie jestem w stu procentach pewna co do tego, jak się czuję, widząc zazdrość płonąca w jego wzroku.

Normalnie by mnie wkurzyła. Nie należę do nikogo.

Ale z jakiegoś powodu Fordowi dodaje to seksapilu.

– Owszem. – Roddy cofa się kilka kroków i sprawdza drzwi, chyba już po raz dwudziesty. Jest teraz jeszcze bardziej zdenerwowany.

– Jeszcze raz dzięki za to wcześniejsze. Za reporterkę.

– Żaden problem. Znowu tutaj była. Pozbyłem się jej.

– Widzisz? Wiedziałem, że możemy liczyć na to, że zadbasz tutaj o wszystko. – Uśmiech Forda jest pełen napięcia. – Odprowadzę cię.

I gdy obaj wychodzą, Ford odwraca się i patrzy na mnie, kręcąc głową.

Dobrze słyszał, co Roddy powiedział.

*A ponieważ do otwarcia zostało tylko kilka tygodni...*

Komentarz Roddy'ego ciągle brzmi w mojej głowie.

Czy to właśnie mnie niepokoiło? Dlatego w ostatnim tygodniu byłam trochę sukowata? Bo, czy tego chcę, czy nie, Roddy ma rację. Zostało nam tylko kilka tygodni pracy. A co potem? Co ja potem zrobię? Jak mam wrócić do swojego życia z ludźmi, którzy we mnie nie wierzyli, po ostatnich miesiącach spędzonych z kimś, kto zachowywał się wręcz przeciwnie?

Ford pozwalał mi podejmować decyzje. Pozwalał mi się zмагаć, a potem klaskał, gdy znajdowałam rozwiązanie. Pozwalał mi odnosić sukcesy i mówił, że od początku wiedział, że sobie poradzę. Prosił mnie o sugestie i pozwalał suszyć sobie głowę, gdy próbowałam znaleźć rozwiązania jakiegoś problemu czy sytuacji.

Pozwolił mi dorastać w sposób, jakiego wcześniej od nikogo nie doświadczyłam. A gdy wątpiłam w siebie, patrzył mi w oczy i albo okazywał mądrą miłość, na którą zasługiwałam, albo łagodnie zachęcał, jakimś cudem wiedząc, że właśnie tego potrzebuję.

A to tylko ta strona zawodowa.

Osobista? Jak mam to opisać?

Jest moim przyjacielem. Moim powiernikiem. Moim kochankiem. Wszystkie trzy cechy razem tworzą coś, czego nigdy wcześniej nie doświadczyłam.

Co przyniesie nam przyszłość? Nie rozmawialiśmy o tym, będąc w „krajnie projektu”, poza którą nie musimy wybiegać myślami.

Ale *poza* nadchodzi.

*Poza* jest odległe o zaledwie kilka tygodni.

A potem co?

Nie mogę sobie wyobrazić, że on nie będzie częścią mojego życia. To takie proste. On przekonał mnie, żebym zrobiła ten projekt z nim, spinał wszystko i nie odpuścił.

To prawie, jakbym się...

– No, to było dziwne – mówi Ford, wchodząc do pomieszczenia z wielkim uśmiechem. Ale zwalnia, a jego oczy się zwięzają, gdy widzi wyraz mojej twarzy. – Elle? Co się stało?

Nie.

Nie.

Nie.

To się nie może dziać.

Ja nie mogę... ja nie... nie ma mowy, że zakochałam się w Fordhamie Sharpie.

To niemożliwe.

Ja tego nie robię. Nie zakochuję się. Nie kocham.

*Nie pozwalam sobie kochać.*

To jest seks.

To jest towarzystwo.

To jest samotność pomieszana z przymusową bliskością, świetnym seksem i dobrą przyjaźnią.

– Nic się nie stało – stwierdzam stanowczo. – Mam po prostu dużo pracy.

Jego śmiech jest cichy i szydery, nieświadomy wewnętrznej wojny, którą jednocześnie prowadzi, i która mnie przeraża.

– Jakies piętnaście minut temu mówiłaś coś innego.

– Masz rację. Mówiłam. – Wydaję z siebie nerwowy chichot. – Ale Roddy i jego zaproszenie na randkę chyba zabiło nastrój.

– Uwielbiam tego kolesia, ale niekoniecznie w tej chwili.

– Proszę, powiedz, że nie wkurzyłeś się na niego za...

– Nie powiedziałem słowa. Zachowywałem się, jakbym nic nie słyszał. Nie chciałem go zawstydzić.

– Dobrze. Świetnie. – Mijam Forda, a on chwyta mnie za rękę.

– Co się dzieje?

– Powiedziałam, że nic.

– No weź, Sinclair. Wyrzuć to z siebie. Czego mi nie mówisz?

– Niczego.

Jego twarz jest kilkanaście centymetrów od mojej, a ja nie mam się gdzie schować. Próbuję zachować powagę, ale jestem pewna, że w moich oczach widać panikę. Desperację.

Potrzebuję przestrzeni. Czasu. Dystansu. *Czegokolwiek*, by przez kilka minut odbudować mur, któremu najwyraźniej pozwoliłam upaść.

*Nie jestem zakochana w Fordzie Sharpie.*

To absurd.

Ellery Sinclair się nie zakochuje.

Poprawka, Ellery Sinclair się *nie zakocha*.

On potakuje. Jego usta są zaciśnięte. Szuka czegoś wzrokiem.

– Okej. Przyjmuję tę odpowiedź. *Teraz*. Ale znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że coś się dzieje. Mam tylko nadzieję, że ufasz mi na tyle, żeby mi powiedzieć, co.

W gardle czuję emocję, do której nie chcę się przyznać. *Zaufanie i miłość idą ramię w ramię*. Zatem wygląda na to, że nie chcę żadnego z nich. Odchrząkuję i prostuję się.

Odwrót.

Unik.

Zmiana tematu.

– A książka? Co cię martwi? Powód, dla którego ta reporterka tu węszy? – Dramatycznie wzruszam ramionami. – Wygląda na to, że to samo można powiedzieć o tobie, Ford.

I po tym komentarzu odwracam się na pięcie i odchodzę.



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

*Ford*

TO JEST ŚMIESZNE.

Mogłaby potraktować mnie po prostu oziębłe za to, za co jest na mnie wkurzona.

Ale nie zrobiła tego.

Pracujemy ramię w ramię. Śpimy ramię w ramię. Pieprzymy się... no, pieprzymy się w bardzo różnych pozycjach, które w ogóle nie przypominają tej ramię w ramię.

A jednak... coś jest nie tak. Zaś jedyną wskazówką, jaką mi dała, był komentarz o biografii i o tym, czego jej nie powiedziałem.

Nie jestem przekonany, czy w to wierzę.

Gdy dzwoni mój telefon, zerkam na ekran z jękiem.

– Nie mam nastroju na twoje bzdury – mówię na powitanie.

– Wow. Ja też się cieszę, że cię słyszę – odpowiada Callahan.

Wychodzę z zajazdu, żeby mieć trochę prywatności z dala od wszystkich rzemieślników stłoczonych w jednym miejscu.

– Jeśli dzwonisz, żeby powtórzyć to samo gówno, o którym Ledger mówił wczoraj...

– Tak, ale... z innych powodów.

– Wróciliśmy więc do dobrego gliny?

– Nie. Ja jestem tym bratem, który mówi, że masz prawo być wkurwiony. Zraniony. Czymkolwiek chcesz być. Jestem też jednak bratem, który okaże ci trochę mądrej miłości i powie to wszystko, ale będzie również częścią tego.

Moja dłoń przejeżdżająca po szyi w dół łagodzi trochę napięcie, które odczuwam.

– Co to miało być?  
– Słyszałeś mnie, skurwielu. Bycie miłym to rzadkość, więc nie każ mi się powtarzać.  
– *Dlaczego?* – To samo pytanie zadałem Ellery wiele tygodni temu. Mam przeczucie, że ta odpowiedź będzie dla mnie równie ważna.

Callahan wzdycha ciężko.

– Bo jesteśmy jedyną rodziną, jaką mamy, i nie chcemy tego robić bez ciebie. Słuchaj, ja pierwszy przyznam, że tata był czasem draniem. Nie zawsze się z nim dogadywałem... a jednak *nadal jest moim tatą*. Nadal go kocham. I wiem, że ty też go ciągle kochasz.

– Callahan...

– Wiem. Wierz mi, bracie, *wiem*. Ale pozwalasz, by to, co ktoś napisał, albo postanowił nie napisać, stało między nami trzema. Mama byłaby cholernie na to wkurzona.

Stoję w milczeniu, po czym wydaję z siebie przeciągłe westchnienie i idę w stronę krzeseł, które zostały właśnie dostarczone do kawiarni.

– Wiesz, co jest najtrudniejsze? – pytam w końcu. – Wiem, że wiecie, co tata do nas czuł, ale żenujące jest to, że inni ludzie też się dowiedzą.

Callahan wybuchają śmiechem.

– Koleś, cały świat wie, jaki jestem popierdolony. Jak wyleciałem z Wharton. Jak przy każdej możliwej okazji się buntowałem i wiecznie pakowałem w kłopoty. Opowiedział nawet tę historię o tym, jak mnie przyłapał na ruchaniu stażystki na biurku.

– To było okropne. – Śmieję się. Nie potrafię przestać. I to jest takie dobre uczucie. – Zapomniałem, że to było w książce.

– Taa. Ja nie zapominałem. Sutton też nie. *Chryste* – mamrocze pod nosem. – Tłumaczenie tego to dopiero był ubaw.

– Jak gdyby była tym zaskoczona.

– Masz rację. Nie była. Zna moją przeszłość. – Chichocze. – Jeśli desperacko chcesz, żeby świat cię zauważył, zainwestuj w sekstaśmę. W ten sposób twoje nazwisko zawsze zaistnieje.

– Odpierdol się. – Mimo to na mojej twarzy pojawia się uśmiech.

– Nagraj taką. Możemy sprawić, że gosposia przypadkiem ją znajdzie i sprzeda tabloidom. Czy nie tak to powinno działać?

– Jak już mówiłem, odpierdol się.

– A skoro jesteśmy przy seksie – ciągnie, zupełnie niewzruszony – między wami nadal wszystko dobrze?

Milczę przez chwilę.

– Tak. Wydaje mi się, że tak.

– *Wydaje ci się?* No, *to* brzmi przekonująco.

– Nie. To... Nie wiem, czym to jest.

– Czyżby się skończyło? To znaczy, tak się czasami dzieje. Nie ma się czego wstydzić.

– Nie...

– A może to zauroczenie przy projekcie? Miałem kilka takich. Trochę zabawy, gdy spędzasz czas na budowie, która kończy się razem z pracą.

– To nie tak. To jest...

– Tylko seks. Dobre ruchanko, ale bez umawiania się na monogamię. Jeśli to jest to, chłopie, zabezpieczaj się. To znaczy zawsze się zabezpieczaj, ale...

– Cholera, dasz mi dojść do słowa? – krzyczę na niego, sfrustrowany tym, że żaden ze scenariuszy, które opisał, nie opisuje tego, co łączy mnie z Ellery.

– A może to coś więcej, ale oboje za bardzo się cykacie, żeby się przyznać. A może ty to zrobiłeś, ale ona nie jest pewna, jak się z tym czuje, co jest kurewsko brutalne, mówiąc łagodnie.

– Callahan – ostrzegam go ostro, pocierając grzbiet nosa, i zaczynam chodzić po małym i świeżo urządzonym ogrodzie po zachodniej stronie nieruchomości.

– Jest jeszcze taka możliwość, że po prostu ją kochasz, albo ona kocha ciebie... i nie wiecie, co z tym zrobić, bo żadne z was nie planowało miłości.

Czuję, jak słabną mi nogi.

Znam odpowiedź. Chyba znałem ją od jakiegoś czasu.

Co nie oznacza, że nie wprawia mnie to w osłupienie.

Stoję tak z telefonem przy uchu i oceanem przed sobą, ale niczego nie widzę.

– Czasami się to dzieje, gdy najmniej się tego spodziewasz – mówi Callahan łagodniejszym to-



nem. Nie muszę nic mówić, wyjaśniać czy zaprzeczać, bo on jest moim bratem. On już wie. – To, z pewnością, była ostatnia rzecz, o której ja myślałem, a potem uderzyła mnie jak młotkiem w głowę. Ja, egoistyczny, samolubny dupek Callahan zakochałem się.

– Nie powiedziałem ani słowa – w końcu udaje mi się coś powiedzieć.

– Nie musisz. Ja wiem, bracie. *Ja wiem* – mówi z cichym współczuciem.

– *Kurwa*. – Przeczesuję dłonią włosy.

Ta kobieta wpadła w niemą panikę, gdy zapytałem, czy chciałaby spędzić kilka nocy w moim pokoju. Nie wydaje mi się, żeby zakochanie się we mnie było częścią jej planów.

Ale w moich też nie było, a patrzcie, co się stało.

– Jeśli mogę ci dać jedną radę – a wiem, że trudno przyjąć coś takiego od młodszego brata, ale po prostu posłuchaj i wykorzystaj to, co będziesz chciał. Nikogo nie możesz zmusić do miłości. Albo ją czujesz, albo nie. Nieprzyznawanie się do tego oznacza, że to się nie dzieje. Ale gdy się już do tego przyznasz, nie możesz tego cofnąć. Musisz żyć z konsekwencjami. Może powiesz jej o tym, gdy poukładasz to sobie w głowie. Może w ogóle jej o tym nie powiesz. Może czekasz, aż to ona przyjdzie do ciebie. Najgorszą rzeczą na świecie jest okazać komuś swoją miłość, a potem go unikać. To kurewsko boli.

Na mojej twarzy pojawia się blade uśmiech.

– Spójrz na siebie. Kiedy stałeś się ekspertem od tego gówna?

Chichocze.

– Nigdy. Nikt nie jest ekspertem w kwestii miłości. To jest jej piękno i ból.

– Muszę kończyć.

– Nie, nie musisz. Będziesz stał tam, gdzie teraz, przez następnych dziesięć minut, analizował, a potem zaprzeczał, ale ostatecznie przyjmiesz to, co właśnie powiedziałem. Taki właśnie jesteś, ale pozwolę, żeby to kłamstwo, które mi sprzedawałeś, ci się upiekło. – Milknie na chwilę. – Ford? Ja naprawdę tak myślę. Jesteśmy dla siebie nawzajem, po tej samej stronie. Pomagamy sobie, gdy tego potrzebujemy. Do dupy, że nie stanowisz z nami części tego wszystkiego.

– Odnotowałem, chłopie. Przyjąłem do wiadomości.

– Kocham cię, braciszku.

Rozmowa dobiega końca, a ja stoję tam przez dobrych kilka minut. Lub, jak określił to Callahan, dziesięć minut tak na oko.

Mój umysł wiruje. Od tego, co powiedział Callahan, i prawd ukrytych za tymi słowami.

*Może w ogóle jej o tym nie powiesz. Może czekasz, aż to ona przyjdzie do ciebie. Najgorszą rzeczą na świecie jest okazać komuś swoją miłość, a potem go unikać. To kurewsko boli.*

*Co więc, do diabła, z tym zrobię?*



## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

*Ellery*

NADAL POTRZEBUJEMY NAZWY DLA ZAJAZDU.

Zerkam na Forda, który siedzi obok mnie na plaży.

– Wiem. Pracuję nad tym. Nie znalazłam jeszcze nic na tyle chwytliwego, co zagrałoby z twoją królewsko brzmiącą poławą.

– Och, błagam. – Przewraca oczami i żartobliwie pociąga mnie za kosmyk włosów. – W Signature Sharpe Collection nie ma niczego królewskiego.

– Aha. Cóż, wygląda na to, że ona jest teraz wszędzie. Tym gorzej, że nie skończymy przebudowy i nie otworzymy tego miejsca, żeby zdążyć spieniężyć tę widoczność. – Ford blednie, słysząc ten komentarz, ale nic nie mówi. – Dalej się na mnie gniewasz?

*Mów do mnie, Ford.*

– Teraz raczej czuję obojętność.

Zaciskam usta i kiwam głową, czując przyływ poczucia winy z powodu tego kłamstwa – czy raczej unikania odpowiedzi.

*Wiem, dlaczego cierpisz.*

Biografia jest dobrze napisana. Historie w niej zawarte i spostrzeżenia dotyczące potężnego Mattona Sharpe'a skupiały moją uwagę przez ostatnie trzy dni od jej premiery. Na co dzień nie czytam takich rzeczy, ale zaskoczyło mnie, jak bardzo mi się ta książka podobała.

W zasadzie to połykałam ją, rozdział za rozdziałem, z radością poznając relację pomiędzy jego rodzicami. Śmiejąc się z buntu i groteskowego zachowania Callahana. Zdumiewając nad zapałem i skupieniem Ledgera. Chciałam dowiedzieć się więcej o Fordzie, zobaczyć go oczami ojca... ale te historie się

nie pojawiły. Nie było tam takich spostrzeżeń. W zasadzie było tam tylko kilka ogólnych zdań, które w ogóle nie przedstawiały Forda jako tego fantastycznego człowieka, którego znam.

A autor, dolewając oliwy do ognia, zawarł w książce cytat, w którym Maxton opisuje syna jako *Po prostu Ford*.

Tyle. Po prostu. Ford.

Nasze oczy się spotykają i całkowicie rozumiem, dlaczego się od tego odciął. Dlaczego żywi urazę. Ja też bym tak odczuwała.

Szkoda tylko, że ze mną o tym nie porozmawiał.

– Okej – mówię cicho. – Obojętność jest okej. – Uśmiecham się łagodnie, po czym upijam łyk wina i patrzę na niego znad kieliszka.

– Odkryłaś już, co dalej, Selery Ellery?

Wzruszam ramionami.

– Nie. Muszę usiąść i porozmawiać z Garlandem twarzą w twarz.

– A rozmawiałaś w ogóle z nim lub z braćmi?

– Z braćmi? Poza obowiązkowym meldowaniem się? Nie bardzo. Ale byłam dość zdziwiona, gdy Garland zadzwonił do mnie kilka razy, żeby spytać o moje zdanie w pewnych kwestiach.

– Co to może znaczyć?

– Rozłąka sprawia, że kochamy mocniej? – żartuję i przewracam oczami. – Ale poważnie, było kilka rzeczy, o które chciał mnie zapytać, a dotyczyły trwających projektów, spraw, szczegółów związanych z poprzednimi rzeczami, które robiłam.

– I za które zasługi przypisali sobie twoi bracia, jak zakładam?

– Owszem. Dobrze zakładasz. A ponieważ nie potrafili mu odpowiedzieć, sam się domyślił.

– Musiał więc do ciebie zadzwonić, a teraz wie, że to ty jesteś mózgiem stojącym za tymi wszystkimi dobrymi operacjami? – pyta Ford z coraz szerszym uśmiechem.

– No cóż, skoro to tak ująłeś... – chichoczę i strzepuję niewidzialny pyłek z ramienia.

Ale to było cholernie dobre uczucie, gdy zadzwonił, żeby zapytać mnie o zdanie. A jeszcze lepsze, gdy tuż przed końcem rozmowy subtelnie zasugerował, że moja nieobecność jest zauważalna.

Chyba nawet uniosłam zaciśniętą pięść.

I może podskoczyłam ze dwa razy, wracając do pracy.

– I jak dokładnie zamierzasz to wykorzystać, gdy wrócisz? – Marszczy brwi i czeka na odpowiedź, podczas gdy mój mózg skupia się dalej na *wrócić*.

Na fackie, że niedługo to wszystko się *skończy*.

– Z jednej strony wiem, że mogę mu pokazać, co zrobiłam tutaj, i to jedyny powód, którego potrzebuję, żeby udowodnić, że mam umiejętności i doświadczenie...

– Więcej niż zdolności.

– Ale z drugiej strony nie chcę splamić tego, co zrobiliśmy tutaj, wykorzystując to miejsce, by zdobyć lepszą pozycję tam. – Zaciskam usta i patrzę na fale rozbijające się o brzeg. Czuję, jakbym nie chciała się z nimi tym dzielić.

– To tego nie rób – mówi Ford, bo jako Sharpe może. Szturcha mnie i puszcza oko. – Znam kogoś, kto może ci dać świetne referencje.

– Dzięki – tłumię śmiech. – A ty? Bracia zapełnili ci już grafik na cały przyszły rok?

Nie podoba mi się to, że rozmawiamy o kolejnych krokach jak zwykli współpracownicy. Jak gdyby między nami nie było nic więcej poza tym projektem i patrzeniem, jak w ciągu najbliższych dwóch tygodni dobiega końca.

Ale czy nie tego chcę?

Czy przez ostatni tydzień nie próbowałam przekonać siebie, że to koniec?

– Mówiąc szczerze, jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. W tej chwili nie są mną zbyt zachwyceni. Pracują na dwa etaty pomiędzy S.I.N. a spotkaniami dla prasy i czują, że się nie dokładam.

– Ale ty też pracujesz na dwa etaty. Dla S.I.N. i tutaj.

– Oni tak tego nie widzą.

– Myślisz, że będziesz żałował? Tego, że nie jesteś częścią wszystkiego, co się teraz dzieje? Publicznej reprezentacji? Dbania o pamięć o nim i o wszystko, co się z tym wiąże? – pytam, jakbym nie miała pojęcia, dlaczego nie chce w tym uczestniczyć.

– Czas pokaże. Czy ściska mnie w żołądku za każdym razem, gdy pomyślę, co oni robią, czego ja nie robię i o biografii? Tak. Nie zaprzeczę. – Wierci się na piasku, po czym odchrząkuje. Słońce zachodzi, a koniec morza zaczyna zlewać się z ciemniejącym horyzontem.

Czekam, aż powie więcej. W myślach proszę, żeby tak było, żeby ufał mi na tyle, że zrzuci ten ciężar, który leży mu na sercu i duszy, ale nie robi tego.

– Pytałaś, co mnie dalej czeka – zmienia temat. Najwyraźniej spędza ze mną za dużo czasu i robił notatki na temat unikania. – Mam swoje codzienne obowiązki w S.I.N. ... i może poszukam innej nieruchomości, którą będę mógł zamienić w kolejną spod znaku Sharpe Signature.

– Naprawdę?

Potakuje.

– Myślałem nad tym. Lubię tę niszę. Tę ideę. Oczywiście najpierw będę musiał mieć jakiś zwrot z tej, żeby zobaczyć, czy to jest finansowo opłacalne, ale dobrze się tutaj bawiłem. Radość z czynnego zaangażowania w pracę była dla mnie czymś niespodziewanym.

Uśmiecham się i nie wypowiadam pytania, które mam na końcu języka. Czy do tego następnego przedsięwzięcia też chcesz partnerki?

– Byłeś profesjonalistą w każdym calu, Ford. Przebiłeś moje najśmielsze oczekiwania. Naprawdę do głowy by mi nie przyszło, że nigdy wcześniej tego nie robiłeś.

– To samo można powiedzieć o tobie. – Stuka szklanką o mój kieliszek i patrzy na mnie ze śmiesznym wyrazem twarzy. Jak gdyby miał na końcu języka coś, co chce powiedzieć. Ale to znika tak szybko, jak się pojawia. – Byłem pod ogromnym wrażeniem, Sinclair.

– Tworzymy dobry zespół – mówię i kładę mu dłoń na ramieniu.

– Zdecydowanie tak – szepcze.

I tego właśnie będzie mi brakować, gdy to się skończy.

Naszych spokojnych, odprężających rozmów po długim i ciężkim dniu.

Jego małych przemów, dzięki którym czułam się ważna. Potrzebna. Chciana. Słyszana.

Mówiąc prościej, *jego*.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

*Ellery*

CO? NIE UCZTUJESZ LODOWYM BATONIKIEM? – pyta Ford, wchodząc do naszego najnowszego pokoju, w którym teraz pomieszkujemy, bo nasz poprzedni przechodzi właśnie generalny remont, i przerywając mi lekturę dość soczystego fragmentu książki.

– Nie ma mowy, żebym tu jadła. – Podnoszę wzrok i widzę, że stoi w drzwiach, świeżo po prysznicu, w samych spodenkach, z gołą klatką, którą mogę nacieszyć oczy.

– Bo?

Wskazuję na apartament, w którym jesteśmy. To najładniejsze, najczystsze i najwygodniejsze miejsce, w którym spaliśmy i mieszkaliśmy przez ostatnie miesiące.

– Ostatnim, czego chcę, to tutaj nabrudzić. – Prycha, zerkając na łóżko, co wywołuje mój uśmiech. – Oczywiście, że o tym pomyślałeś.

– Jestem facetem. Czego się spodziewałaś? Ale zdajesz sobie sprawę, że za niecały miesiąc ludzie będą tutaj zamawiać posiłki i jeść, prawda?

– Jestem tego bardzo świadoma. – Wzdycham w środku i odkładam czytelnik na łóżko obok siebie. Zakładam, że seksem z nienawiści, który ma za chwilę pojawić się w mojej książce, będę mogła się cieszyć dopiero za jakąś chwilę. Nie ma nic gorszego, niż gdy ktoś przerwie ci lekturę w połowie sceny seksu.

– Dobrze się czujesz? – pyta. – Jest późno, a ty wolisz czytać, zamiast podkraść niekaloryczne lody.

– Wolę cieszyć się miękkością tego łóżka. – Opieram głowę o zagłówek i rozkoszuję dotykem materaca. – Przypomnij mi, żebym dała Katarinie podwyżkę – mówię o naszej projektantce wnętrz, która

pomogła nam wybrać meble i dodatki. – Odwaliła kawał dobrej roboty przy wyborze materacy.

– Naprawdę? Czekaj, sprawdzę. – Upada na łóżko i wzdycha, podobnie jak ja, gdy pierwszy raz na nim usiadłam. – Myślę, że po miesiącach nocy spędzonych na sklejce każdy tutaj poczułby się jak w niebie.

– Mówiłam ci, żebyś został w Sag Harbor.

– A ja ci powiedziałem, że jeśli ja tam pojedę, to ty też, a skoro ty nie chciałaś... zostaliśmy.

– Uparciuch.

– Realistka. – Oboje się śmiejemy, ale gdy zapada cisza, powieki Forda stają się ciężkie. – Dobrze nam dzisiaj poszło, Ellery.

– Naprawdę dobrze.

– Dostarczono wszystkie brakujące meble, z wyjątkiem tych dwóch pękniętych stołków barowych. Obie kuchnie przeszły dzisiaj kontrolę. Budynek został pomalowany z zewnątrz. Tak wiele rzeczy. Czuję, że jesteśmy już tak blisko.

– Jesteśmy, ale nadal potrzebujemy nazwy, żeby zamówić oznakowanie.

– Wiem, wiem.

Tak, każdy dzień zbliża nas do wielkiego otwarcia, ale jest to też słodko-gorzkie uczucie. Każda rzecz odhaczona na naszej liście, każdy fachowiec, który kończy zadanie i po raz ostatni wychodzi z pracy, każde przejście przez zajazd w całkowitym zachwycie nad jego przemianą to coś więcej niż radość zaprawiona kroplą goryczy.

To przypomnienie o zbliżającym się końcu.

To znaczy... kto wie, co to znaczy dla Forda i dla mnie? Jeszcze nawet nie poruszyliśmy tego tematu.

– Tak sobie myślę – mamrocze, z zamkniętymi oczami i rękami rozłożonymi tak szeroko, że jedna spoczywa na mojej łydce. Jego mokre włosy zostawiają ciemne plamy na kołdrze pod jego głową.

– O czym?

– Może byśmy znowu zostali partnerami? – pyta, a ja czuję, jak serce zaczyna mi walić. – Jestem bardziej niż pewien, że twój ojczym podskoczy z radości na wieść o stałej współpracy z S.I.N. Kto by się nie cieszył? – Jego arogancja nie zna granic, ale *ma* rację.

Czy nie to właśnie wykorzystałam, żeby się tutaj znaleźć?

– Wiem, że obciążenie finansowe takim przedsięwzięciem może być przytłaczające. S.I.N. mogłoby kupować nieruchomości i brać na siebie odpowiedzialność finansową, a Haywood Redesigns zajęłoby się remontami, z zastrzeżeniem, że współpracuję z tobą i z nikim innym. Garland miałby związane ręce, a ty robiłabyś dalej to, co kochasz i w czym jesteś niesamowita. Oczywiście, jeśli jesteś zainteresowana pracą ze mną, Selery Ellery.

Gapię się na niego i jego zamknięte oczy z szeroko otwartymi ustami. Jak może mówić coś takiego zupełnie beztrzesko i przy tym na mnie nie patrzeć?

– Posłuchaj – mówi, błędnie odbierając moje zszokowane milczenie za wahanie. – Nie mówię, że S.I.N. cię odsunie. Od każdego budynku dostaniesz procent własności. Pewnie myślisz, że to będzie wyglądać, jakbyś dostała tę pracę przez łóżko albo że pytam cię tylko dlatego, że czuję się zobowiązany, albo z czystej litości wobec twoich braci, ale to bardzo dalekie od prawdy. Jesteś utalentowana i szalenie dobra w tym, co robisz. Poza tym rozpieściłaś mnie. Myślę, że nie mógłbym tego zrobić z nikim innym. I dlatego proszę cię.

Rośnie we mnie ekscytacja na myśl o ponownej pracy przy takim projekcie. A jeszcze bardziej – o pracy z nim. Na końcu języka mam „tak”, które chcę wykrzyknąć. Chciałabym je powiedzieć, ale czy nie musimy pogadać o tym, co upchnęliśmy pod dywan? Albo raczej o tym, że jesteśmy na tym samym łóżku, jego dłoń leży na mojej nodze i w zasadzie żyjemy razem?

Przecież miałam wyjść za Chandlera, mimo że łączyło mnie z nim o wiele mniej, niż łączy z Fordem... Dlaczego więc się waham?

Albo raczej – dlaczego nie poruszamy tego tematu?

Naprawdę chcę wiedzieć? Czy naprawdę chcę usłyszeć, że za dwa tygodnie ta „przygoda”, czy cokolwiek to jest, się skończy? Czy lepiej jest schować głowę w piasek?

Podnoszę swój czytnik i wracam do miejsca, w którym skończyłam.

*Mów do mnie: strusiu.*

– Nie odpowiadasz. – Ford podnosi głowę, żeby na mnie spojrzeć. – Chwila. Ja cię proszę, żebyś została moją partnerką, a ty, zamiast odpowiedzieć, wracasz do książki? – drażni się ze mną, wstając. – Chyba powinienem to odebrać jako obrazę. – I zanim zdążę zareagować, obraca się i wyrывa mi czytnik

z ręki.

– Nie! – krzyczę, gdy on dotyka ekranu, na którym pojawia się tekst.

A moje przerażenie wywołane jest wieloma powodami.

Po pierwsze, o Boże. Dowie się, co czytałam potajemnie przez większość nocy, gdy on grał na laptopie. I nie chodzi o to, że się wstydzę, ale... *on się teraz dowie.*

A po drugie, jest tam biografia Maxtona. W mojej bibliotece. I teraz jestem sobie wdzięczna za to, że specjalnie pootwieralam i pozamykałam kilka innych książek, żeby ta jedna znalazła się dużo niżej na liście, przez co są małe szanse, że zobaczy ją na ekranie. Ale mimo to ona tam jest.

– Ignorujesz mnie, bo... *O, wow.* – Prostuje się, a jego oczy się rozszerzają. Zerka na mnie, na jego ustach pojawia się cień uśmiechu, po czym patrzy z powrotem na tablet.

Przełykam ślinę i czuję, że moje policzki płoną wszystkimi odcieniami czerwieni.

Scena, którą czytałam, była cholernie dobra. Szczegółowa, brudna i tak seksowna, że czułam, jak zaciskam uda.

Odchrząkuje.

– To naprawdę bardzo ciekawe, Ellery. Jeszcze bardziej fascynujące jest to, że zaznaczyłaś tę stronę. – Patrzy na mnie, a następnie zaczyna czytać. – „Jej krzyk wypełnia to niewielkie pomieszczenie, gdy prześlizguję się językiem do góry po jej cipce, a potem w dół, i w końcu wsadzam go do jej wnętrza. Władam każdym jej ciałem. Liżę ją i sprawiam jej przyjemność palcami, aż jej nogi się napinają, a moje imię pada z jej ust ciągle na nowo, gdy doprowadzam ją do szczytowania”. Fiu, fiu! – Jego jabłko Adama podskakuje. – Mam sprawdzić, czy zaznaczyłaś jakieś inne sceny seksu?

– *Nie.* – Zamierzam się na niego, ale udaje mu się odsunąć czytnik. Mogę się tylko śmiać.

– Nie wstydz się. Seksu. *Pragnienia seksu. Pragnienia seksu ze mną...* to zupełnie naturalne. Zupełnie logiczne. A to? To jest... – Posyła mi uśmiech. – *Niesamowite.*

Mówi tak, jakby seks z nim był innego kalibru.

Bo jest.

Zdecydowanie jest.

Krzyczę, gdy chwytą mnie za nogę i pociąga tak, że ląduję płasko na łóżku, po czym wspina się na moje biodra, żeby na mnie usiąść.

– Zobaczmy – mówi, dotykając ekranu. Wciąga powietrze i jęczy. – Ten fragment jest gorący. „Och, Lilly. Ten tyłek jest doskonały. Chcę, żeby ci się zaróżowił od kar. Chcę go sprofanować moimi palcami, wypełnić, gdy będę cię mocno i głęboko rznął kutasem w tę twoją chętną cipkę”. Jezu. – Parska śmiechem, w którym słyszę napięcie. Nasze spojrzenia się spotykają. Jedna dłoń trzyma czytnik, druga porusza się leniwie w górę i w dół środkiem mojej klatki piersiowej. Jego kciuk muska sutek mojej piersi, potem przechodzi do drugiej. Jego penis jest gruby, ciężki i twardy i naciska na szew szortów. – Zdecydowanie muszę przeczytać tę książkę. To jest... taaak. – Krztusi się śmiechem, a policzki mu czerwienieją. Podoba mi się, że czuje się nią trochę zawstydzony.

Trochę to odwraca uwagę od faktu, że ja też jestem.

Kogo ja chcę oszukać? Nie odwraca.

– Co jeszcze tu zaznaczyliśmy? Zerknijmy? – Kręci odrobinę biodrami, a moje ciało się rozgrzewa. – Ene. Due. Rike. Fake. Och. Cholera. Mamy to.

Nachyla się i drażni mnie pocałunkiem, ale gdy chcę go pogłębić, odchyła się z powrotem i tylko ciągnie mnie za dolną wargę.

Odchrząkuje.

– *Ręce na ścianę.*

– *Tylko jeśli mnie zerzniesz – mówi drżącym głosem.*

– *Dojdziemy do tego. – Śmieję się, ale po chwili jęczę, czując, jak się trzęsie, gdy wsuwam czubek penisa wprost do jej dziurki.*

*Każda część mnie się napina. Próbuję zwalczyć brutalną chęć wzięcia jej bez opamiętania. Wbicia się w nią. Pogoni za własną cholerną przyjemnością teraz, gdy ona znalazła już swoją.*

*Moje biodra wbijają się w nią lekko. Jej ciepły, mokry ogień oplata mojego kutasa cal po calu, aż dochodzę do końca i widzę gwiazdy.*

*Kurwa.*

*Niebo.*

*Piekło.*

*Tylko się pieprzyć.*

*Chwytam dłońmi za jej biodra, a ona napina mięśnie wokół mnie. Raz. Drugi.*

– *Lennox* – ostrzegam, a jej chichot wypełnia pokój.

*Teraz ona ma kontrolę. W tej chwili mnie posiada. Swoją cipką. Swoją pewnością. Tym, jak cholernie dobrze się czuje.*

*A ja tracę panowanie nad sobą.*

*Straciłem kontrolę.*

*Uderzam biodrami o jej biodra. Mocniej i mocniej, karząc ją w szybkim tempie, zachęcany jej słowami. O mój Boże. Mocniej. Tak. Właśnie tam. Szybciej. Nie przestawaj. Znowu dochodzę. Szybciej. Szybciej.*

*A gdy tym razem zaciska się wokół mnie, przegrywam bitwę, ale wygrywam cholerną wojnę. Spuszczam się w niej, moje biodra drżą, przed oczami mam ciemność, a na ustach jej imię wypowiedziane z jękiem rozkoszy.*

– Przegrywam bitwę, ale wygrywam cholerną wojnę. To dość poetyckie w kontekście pieprzenia, nie uważasz? – Chichocze. – Spójrz na mnie, Ellery – Milknie i dopasowuje biodra, żebym dokładnie poczuła, jaki jest twardy, jaki napalony, naciskając na moje podbrzusze. – *Spójrz. Na. Mnie.*

– Hmm? – Podnoszę wzrok. Jest tak cholernie wspaniały, że patrzenie na niego boli.

– Mówisz, że mogę do ciebie brzydko mówić, że mogę lizać cię tam i z powrotem, ale wijesz się, gdy ci czytam te cholernie gorące sceny?

– Ford – wypowiadam jego imię, wzdychając, a on się nachyla i gryzie mnie w ucho. Ciepło jego oddechu wywołuje dreszcz na całym moim ciele.

– Chcesz, żebym ci to robił, Ellery? – Gryzie moją dolną wargę. – Nakręca cię to? – Gryzie mój sutek przez materiał topu. – Chcesz odegrać tę scenę? – Odchyła się i wkłada mi dłoń pomiędzy uda, żeby poczuć ten gorący, to podniecenie sączące się przez moje szorty. – Proszę, proszę. Najwyraźniej tak.

– Ford – powtarzam zduszonym jękiem.

Ponownie się nachyla i muska moje usta, składając na nich coś na kształt pocałunku.

– Jestem w tarapatkach tylko wtedy, gdy wymawiasz moje drugie imię... a nie sądzę, żebym teraz miał jakikolwiek kłopot.

*Już go pragnę. Jestem już dla niego całkowicie mokra, ale czuję zaskoczenie, gdy jego dłonie lądują na moim tyłku i go ściskają.*

*Potem wsuwa nos do mojej szparki i jednym długim ruchem przesuwając językiem od mojego wejścia z powrotem do góry. Brakuje mi tchu. Każdy mięsień dotknięty jego językiem napina się w oczekiwaniu. Każda część mnie pragnie.*

– *Zerznę cię, Sidney.* – Kolejne liźnięcie. – *Zatopię mojego kutasa w twojej ciasnej cipce.* – *Czuję jego gorący oddech na moim wrażliwym ciele.* – *A potem wsunę palec w twój tyłek.* – *Miękki nacisk jego kciuka na moje mięśnie.* – *Będę cię rznął z obu stron, więc gdy dojdiesz, poczujesz to wszędzie.* – *Jego język wślizguje się do mojej cipki, przez co napiera na mnie każdym fragmentem twarzy.* – *Rozumiesz?*

*Kiwam głową. Ciemna obietnica jego słów to afrodyzjak, którym polany jest wierzchołek uwiedzenia, jakim mnie już uraczył.*

– *Nie, nie, nie...* – *mruczy, chwytając mnie za włosy i delikatnie odchylając moją głowę, po czym przesuwając czubkiem nosa wzdłuż mojego kręgosłupa. Wślizguje we mnie palec, akurat gdy jego usta dosięgają mojego ucha, a penis naciska na biodro.* – *Żadnego potakiwania.* – *Wsuwam i wysuwam ze mnie palce, a pokój wypełnia mój mokry dźwięk.* – *Stąd nie ma łatwej ucieczki.* – *Ponownie wysuwam palce, a ich mokre ślady wędrują od pośladków w dół.* – *Chcę, żebyś wydała dźwięk, księżniczko.* – *Gryzie mnie w ucho, a jego palce wchodzi z powrotem i naciskają na mój punkt G.* – *Chcę, żebyś krzyczała.* – *Delikatnie ciągnie mnie za włosy.* – *I chcę mieć pewność, że wiesz, kto jest powodem tego krzyku.*

– Wyczuwam tutaj temat. – Jego oczy są ciężkie od pragnienia. Jego oddech płytki. Jego palce jeżdżą tam i z powrotem po szwie moich spodenek, przez co materiał jest wilgotny. Moja cipka spuchła już od pożądania. Wstaje z łóżka. – Zdejmuję ciuchy, Ellery.





## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

*Ellery*

JEGO SŁOWA SĄ NICZYM OLIWA DOLANA DO OGNIĄ.

Jestem już gotowa, już nakręcona, a on teraz zamierza mi rozkazywać? Tak. Proszę. Mężczyzna, który lubi przejmować kontrolę w sypialni, to same korzyści.

A ja jestem za.

Niespiesznie zdejmuję ubrania. Mój top. Moje spodenki. Rozkoszuję się widokiem jego ciemniejących oczu i rozszerzających się nozdrzy, gdy się rozbieram, a potem oblizuję usta i przesuwam dłonią pomiędzy udami.

Odchylam głowę i jęczę. Przygotowywał mnie cały wieczór. Teraz musi tylko dokończyć dzieła.

– Ellery. – Głos mu się załamuje i jest to jedyny znak jego poruszenia, no, poza jego twardym jak skała penisem. Dotyka kciukiem i pociera wilgotną już od podniecenia główkę. – Odwróć się tyłem, usiądź na kolanach i chwyć zagłówek.

– Chwycić zagłówek? – pytam z fałszywą skromnością.

Zagryza dolną wargę, wspinając się na łóżko i nie wypuszczając kutasa z dłoni.

– Mhm. Będziesz musiała się czegoś przytrzymać. – Wyciąga rękę i delikatnie ściska moją pierś. – Nie pytaj dwa razy.

– Bo inaczej?

Zanim kończę, zostaję przewrócona na brzuch i dostaję klapsa w tyłek.

– Bo inaczej ja dostanę swoje przed tobą.

Jezu. Kto by pomyślał, że Ford ma taką drugą naturę?

Wchodzę w to cała.

– A teraz na kolana i porządnie je rozszerz, żebym mógł podziwiać to, co chcę rznąć.

Robię, co każe, unoszę tyłek w górę, a dłońmi chwytam zagłówek. Drzę, czując ciepło jego ust na swoim karku i dotyk jego ciała, gdy jego erekcja napiera na mój tyłek.

– Lubisz te książki. Te sceny. A co jeśli ci udowodnię, że to, co dzieje się w książkach, nie jest tylko fikcją? Że w prawdziwym życiu też możesz to mieć? – Gryzie mnie w ramię, a potem zaczyna ssać to miejsce, jednocześnie cały czas pocierając palcami moją łechtaczkę.

Kładę głowę na jego ramieniu, podczas gdy on się mną zabawia. Gdy mnie przygotowuje. Gdy szykuje mnie na to, by mnie zerznąć i pojąć.

Jęczę, gdy przyjemność przejmuje nade mną kontrolę. Gdy jego palce pracują, język liże, a fiut staje się coraz bardziej obrzmiały.

– Jesteś tak cholernie piękna, Ellery. Twoje ciało. Twój umysł. Twoja determinacja. Twoja cipka – szepcze każde słowo w moją skórę. Każde słowo mocniej mnie nakręca. – Na twoją odpowiedzialność. Pokaż mi ten swój śliczny tyłeczek.

Wykonuję polecenie, a zimne powietrze w pokoju przenika do głębi moją wilgoć, pokazując, jaka jestem wobec niego bezbronna. Jak bardzo muszę go pragnąć, żeby pozwolić mu żądać i ulegać mu.

Gwałtownie wciągam powietrze. Tylko tyle mogę zrobić, gdy on niespodziewanie ześlizguje się językiem do mojego wnętrza, po czym zaczyna poruszać nim w górę i dokoła po krawędzi moich mięśni.

– Boże, jak ty mnie nakręcasz. – Jego zęby zatapiają się delikatnie w moim pośladku.

– Ford.

Ale zanim to słowo opuszcza moje usta, Ford wchodzi we mnie, mocno i zdecydowanie. Nasz wspólny krzyk wypełnia pokój – wcielenie przyjemności.

– Co jest najlepsze w tej pozycji? Mogę wejść w ciebie głębiej niż przy jakiegokolwiek innej. Czujesz to? Czy mogę cię bardziej wypełnić? – jęczy, wchodząc odrobinę głębiej i naciskając biodrami na mój tyłek.

Opuszczam głowę, chłonąc tę przyjemność, a on zaczyna się ruszać. Wchodzi. Wychodzi. Trzyma mnie mocno za tyłek i rozszerza mocniej pośladki, żeby mógł pchnąć głębiej.

Moje ciało dąży do tego szczytu. W ramionach i nogach zaczynam odczuwać mrowienie, gdy wewnątrz napina się z każdym pchnięciem i wysunięciem.

Przesuwa językiem w górę mojego kręgosłupa.

– Jesteś tak cholernie gorąca – mruczy mi z tyłu ucha. – Tak. Cholernie. Gorąca. – Każde słowo podkreślone pchnięciem.

Nie potrafię się skupić. Nie potrafię myśleć. W tej chwili jest tylko on. Tylko odczucia. Tylko przyjemność.

Przesuwa mi dłońią po kręgosłupie, idąc śladem, który zostawił język, i prostuje się. Wydaję z siebie niewyraźny jęk, gdy naciska kciukiem na ciasny obszar mięśni tuż nad miejscem, w którym jego penis tak mistrzowsko we mnie pracuje.

Moje uda stawiają opór jego kciukowi, bawi się więc ze mną chwilę dłużej. Naciska trochę mocniej. Stymuluje odrobinę bardziej.

– Podoba ci się to – mówi przez zaciśnięte zęby. – Wiedziałem, że tak będzie.

– Ford – kwilę, zaczynając tracić kontrolę. Ramiona mi słabną. Moje nogi napinają się, gdy ciało eksploduje milionami małych wybuchów, które odbijają się po nim rykoszetem. Porażenie prądem, który przepływa od środka do palców u rąk i stóp, uderzając następnie tam, gdzie on dalej dotyka, ślizga się i mistrzowsko manipuluje nerwami w moim ciele.

– No i proszę. Zaciśnij się wokół mnie. *Pieprz mnie, Elle* – mówi, a ja ruszam tyłkiem wprzód i w tył po jego penisie, żeby wycisnąć z orgazmu jak najwięcej. Żeby go przedłużyć. Żeby doświadczyć go jak najmocniej i wchłonąć każdą cząstkę przyjemności od niego.

– Boże, tak – jęczę, gdy kolejny orgazm uderza mnie zupełnie niespodziewanie. Upadam pod ciężarem jego siły, ale Ford trzyma moje biodra w górze i wbija się we mnie szybciej, mocniej, aż jego gardłowy krzyk wypełnia pokój. Aż to jego ulga włada nami.

Nasze ciała unoszą się wysoko, gdy my powoli opadamy w dół. Ford wypuszcza moje uda, ale udaje mi się utrzymać je w tej samej pozycji, bo nie chcę jeszcze, żeby wychodził. Nie chcę stracić tego uczucia.

Całuje mnie delikatnie w kręgosłup, a jego penis powoli we mnie wiotczeje.

– Boże, tak? – śmieje się. – Czy mam to uznać za *tak, będą twoją partnerką, Ford?*

Moje ciało drży od słabnącej rozkoszy. Dam mu wszystko, czego chce, jeśli znowu mogę dostać to, co mi właśnie zrobił.

– Zgoda pod przymusem nie zostanie potraktowana poważnie w sądzie. – Mój głos jest naćpany seksem. Zaspokojony.

– Pod przymusem? – mruczy, co seksownie roznosi się po pokoju. – Skarbie, możesz to nazwać, jak chcesz, ale nie przymusem. Ale jeśli pragniesz, żebym zrobił to znowu, żebyś mogła rozważyć zalety zgadzania się pod presją, to z przyjemnością spróbuję.

– Co?

– Chcesz, żebym znowu cię zerżnął? – I w jednej chwili łąduję na plecach z jego głową pomiędzy udami. Podnosi na mnie wzrok i szepcze z uśmiechem: – Spróbuj tylko powiedzieć „nie”.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

*Ford*

ONA JEST ZACHWYCAJĄCA.

Nie mogę zasnąć. Mój umysł szaleje – zbyt wiele myśli, zbyt wiele emocji do przetworzenia o tej wczesnej godzinie – ale jedna jest stała: *ona jest zachwycająca*.

Czy jednak nie myślę tak zawsze, gdy na nią spojrzę?

Owszem, ale to mi się nigdy nie nudzi. *Nigdy*.

Włosy opadły jej na policzek i kusi mnie, żeby je odsunąć, ale nie chcę jej jeszcze obudzić. Wolę raczej cieszyć się tymi kilkoma chwilami, w których mogę się jej przyglądać, gdy jest tego nieświadoma.

No, ale czy ktokolwiek może być przytomny po tak cholernie gorących chwilach, które mieliśmy wcześniej?

Ta kobieta jest niesamowita. I nakręca mnie w każdym znaczeniu tego słowa.

A jej książki? Te sceny? Nie mam słów. *Co za gra wstępna!*

Wzdycham ciężko, wspominając naszą zabawę. Ten śmiech. Ten seks. To zasypianie z poczuciem spełnienia i satysfakcji. Tę... prośbę, żeby została moją partnerką.

Czy to był mój tchórzliwy sposób na trzymanie jej blisko, bez przyznawania się jej, że jestem w niej zakochany po cholerne uszy? Nie straszac jej?

Zdecydowanie *tak*.

I w ogóle się tego nie wstydzę. Absolutnie. Nie jestem jeszcze gotowy, żeby z niej zrezygnować. Albo przyznać, co czuję i tym samym sprawić, że ucieknie.

Tym gorzej, że życie nie jest jak ten romans, prawda?

Ale ona powiedziała tak.

I na razie to musi mi wystarczyć.

Przewracam się na plecy i myślę o kilku następnych tygodniach. Co stanie się ze mną i Ellery w międzyczasie – na koniec tego projektu i na początku kolejnego? Mogę jedynie zwołać kilka głupich spotkań, zanim ona zrozumie.

*Po prostu jej powiedz, że chcesz czegoś więcej, Ford.* Nie musisz jej mówić, że się zakochałeś. Nie musisz przyznawać, że chcesz o wiele więcej niż przygoda. Po prostu jej powiedz, że nie wiesz, czym jest to coś między wami, i że chcesz tego więcej.

Rano. To może poczekać do rana. Aż słońce wstanie, a ona się obudzi.

Zrobię to, gdy będzie miała jeszcze głos odurzony snem i poduszkę odciśniętą na policzku. Gdy jej usta będą spuchnięte i gdy jeszcze ta cienka pościel będzie przykrywała jej ciało.

Patrzę na nią ostatni raz, zdeterminowany i odrobinę pewniejszy.

Zdecydowany, próbuję się zmusić, by ponownie zasnąć. By uciszyć myśli. By policzyć te cholerne owce. Nic nie działa. Bezsensowność to coś, z czym regularnie się zmagam. Myślałem, że wyczerpanie seksem mi dzisiaj pomoże. Że kilka orgazmów mnie uspi.

Myliłem się.

Bo poza cieniami tańczącymi na suficie i światłem w łazience, które niechcący zostawiliśmy włączone, jestem tylko ja, śpiąca Ellery i żadnego snu na horyzoncie.

Zostaje mi zatem przeglądanie telefonu. Ale gdy wyciągam rękę w stronę nocnej szafki, zauważam czytnik, który tam zostawiliśmy.

*Ta scena była gorąca.*

Wybieram czytnik zamiast telefonu. Seksowne sceny w jej książkach zamiast zimnych, twardych biznesowych faktów i aplikacji giełdowych na moim telefonie. Dotykam ekranu i niemal upuszczam urządzenie na twarz – faktycznie, one są niebezpieczne. Próbując go złapać i nie skończyć z ranami bi-tewnymi, klikam jakieś przyciski, ekran czy cokolwiek i nagle wchodzę do jej biblioteki.

Ekran wypełniają jeden romans za drugim. Przerzucam okładki, śmiejąc się z tytułów, porównując obraz moich mięśni brzucha, który mam w głowie, z mięśniami mężczyzn na okładkach i zastanawiam się, czy mam podobne. I wtedy, akurat gdy chcę wrócić do początku, zatrzymuję się.

*Maxton.*

Twój ojciec patrzy na mnie. Jego książka w jej bibliotece z adnotacją „Przeczytane” w rogu, która informuje, że przeczytała ją do końca.

Co do kurwy nędzy?

Z zaciśniętym gardłem naciskam na okładkę. Książka przeskakuje do ostatniego miejsca, które czytała i na zaznaczonej stronie jest podkreślone zdanie, wyłącznie jedno.

„To... Po prostu Ford”.

Wpatruję się w słowa zaznaczone na żółto i czuję, jak przepływa przeze mnie fala emocji. Gniew. Poczucie zdrady. Niezrozumienie. Zranienie.

Ona wie? A mimo to nie powiedziała słowa?

– Ford? – pyta mnie odurzony snem głos Ellery.

Nie odpowiadam, zbyt pochłonięty myślami, starając się na nią nie naskoczyć.

Łóżko się ugina. Pościel trochę się przesuwają. A jej gwałtowny wdech przecina powietrze w pokoju, gdy zauważa, co mam w dłoni. Gdy docierają do niej podkreślone słowa widniejące na ekranie.

Gdy wyciąga dłoń i ścisną mnie za ramię, całe moje ciało się napina.

– Nie chciałeś mi powiedzieć, co się dzieje. – Brzmi, jakby mówiła do zranionego zwierzęcia, a to tylko pogarsza sprawę. – Wbijasz klin pomiędzy siebie a twoich braci i pomyślałam, że jeśli się dowiem, czym ten klin jest, to będę mogła pomóc.

– Naruszyłaś więc moją prywatność? – Nie mogę na nią patrzeć. Nie chcę widzieć w jej oczach li-tości ani słyszeć bledny *Po prostu Ford* z jej ust.

– To nie jest prywatność, jeśli jest informacją publiczną.

– To nie twój interes! – krzyczę i wyrwam ramię z jej uchwytu.

– Gówna prawda. – Siada i przyciąga kołdrę. – To ja tutaj jestem, pamiętasz? To ja jestem na dru-gim końcu tego wszystkiego. Twój nastrój zmienia się za każdym razem, gdy widzisz fragment wiadomo-ści. Komentarze, którymi rzucili twoi bracia, zanim stąd pojechali. Twoje milczenie, gdy reporter się tu pojawia albo ściga twojego asystenta, żeby wyjaśnił, dlaczego nie bierzesz udziału w promocji książki. Zatem tak, to wpływa na twoją codzienność. Możesz pomyśleć, że nikt inny tego nie widzi, ale ja tak, Ford. *To ja tutaj jestem.* Zatem to moja sprawa, bo to ja, wstrzymując oddech, czekam, aż to cię uderzy znikąd. I to ja pomogę ci wziąć się w garść, bo nie chcesz tego z siebie wyrzucić, rozsypać się, a potem

zacząć od tego momentu.

– Zostaw mnie, kurwa, w spokoju, Ellery.

– Naprawdę? Tylko tyle dla mnie masz? *Zostaw mnie, kurwa, w spokoju?* – Macha ręką. – Po wiem ci to samo, co na pewno mówili ci twoi bracia: kogo obchodzi, co o tobie myśli jakaś przypadkowa osoba na ulicy?

– Ty jednak nie jesteś jakąś przypadkową osobą na ulicy. Ty jesteś... – *Kobietą, którą kocham.*

– *Kim* jestem? – pyta stanowczo, ale gdy spoglądam na nią w przytłumionym świetle, gdy jestem bardziej niż pewien, że prawdę widać w moich oczach, ona kręci głową, jakby chciała wyrzucić z niej to, co właśnie tam zobaczyła.

*Że jestem w niej zakochany.*

– Nie, nie, nie. – Kołysze się w przód i w tył, następnie wstaje z łóżka i ciągnie za sobą kołdrę, żeby się nią zakryć. – Nie waż się tego mówić. Nie, Ford. Nie teraz. Nie tutaj. Nie... *proszę*, nie. – Do oczu napływają jej łzy, czego nie rozumiem, ale chciałbym.

Widzę niezaprzeczalny strach. Prawdziwą panikę.

*Ale dlaczego? Dlaczego myśl o tym, że ktoś ją kocha, tak ją przeraża?*

– To co mam powiedzieć? – pytam, a moje słowa brzmią, jakby zostały pokonane.

Ellery chodzi tam i z powrotem, kręcąc głową z każdym krokiem, zupełnie jak gdyby chciała coś sobie wyperswadować. Zatrzymuje się i patrzy na mnie proszącym wzrokiem. Gdy się odzywa, jej głos brzmi zdecydowanie.

– Chyba zapominasz, co ma największe znaczenie. Prawdziwa relacja, którą miałeś z ojcem. Tak bardzo się starasz, żeby ten zewnętrzny hałas czyjejś perspektywy zrujnował i splamił wspomnienia, które masz o nim i z nim.

– No i proszę. Oto, co naprawdę o mnie myślisz – ripostuję, krzyżując ręce na piersiach i opierając się o zagłówek z triumfującym uśmieszkiem. – Czyli uważasz, że jestem cholernym tchórzem?

– Nie, Ford. – Kręci głową i wzdycha. – Myślę, że masz wszelkie prawo, żeby się złościć na to, co nie zostało powiedziane, ale jednocześnie dostajesz szansę, by z braćmi złożyć hołd mężczyźnie, do którego chciałeś być podobny. Człowiekowi, którego uwielbiałeś. *Ty. Masz. Szansę.*

– Do czego zmierzasz?

Wydaje z siebie sfrustrowany warkot.

– Zabiłabym za odrobinę takiej możliwości. Za to, by powiedzieć światu, jak wspaniała była moja mama. Za rodzeństwo, na którym mogłabym polegać. Za wiedzę, dlaczego mój tata... *odszedł.*

Jej słowa docierają akurat tam, gdzie nie chcę, żeby dotarły. Do moich trzewi. Do mojego serca. Ona też straciła oboje rodziców. Jedno w wypadku. Drugie w wyniku samobójstwa.

Słyszę, co mówi. Czuję, co mówi. Ale, tak jak w przypadku moich braci, to nie unieważnia tego, jak ja się czuję.

Co czuję.

*Dwoje złamanych ludzi, którzy próbują skrzywdzić się nawzajem jeszcze mocniej.*

– To tylko słowa. Łatwo mówić, gdy nie jesteś na czyimś miejscu.

Patrzy na mnie, a jej dolna warga drży.

– Prześtań być takim cholernym egoistą.

– *Egoistą?*

Nazywa mnie, kurwa, egoistą? Za kogo ona się uważa? Kobieta, która okazuje wszystkie aspekty miłości, ale nie potrafi spojrzeć poza siebie, żeby pozwolić mi ją przyjąć.

– Ta książka nie jest o tobie. Jest o twoim tacie. Jest po to, żeby reszta świata mogła podziwiać i szanować tego człowieka tak, jak do tej pory robiliście to tylko we trójkę. Zatem tak, prześtań być takim egoistą i prześtań skupiać całą uwagę na sobie, skoro książka jest o nim.

– Czyli najpierw chodzi o moją relację z braćmi. A potem o mojego ojca. – Gapię się na nią i wrzuszam ramionami, czując chęć walki. Chęć wyładowania tego gniewu na kimś. – Kim ty, kurwa, jesteś, żeby dawać mi rady? Naprawdę będziesz mnie pouczać o relacjach, o tym, jak o nie dbać i w nich uczestniczyć, jednocześnie stojąc i zaprzeczając, że nas też taka łączy? *Typowa, kurwa*, Ellery.

– Nie rób tego, Ford. – Robi kilka kroków w tył i z trudem przetyka ślinę. Ta znajoma panika przemyka przez jej oczy.

– Czego mam nie robić? – krzyczę, rozkładając szeroko ramiona. – Mówić o tym, co gapi nam się prosto w twarz? O tym, co robimy od miesiący, a ty nie chcesz tego przyznać?

– Tu nie chodzi o nas.

– Nie? Naprawdę? Mój błąd. Nie wiedziałem, że to w porządku, gdy wtykasz nos w moje sprawy,

ale już nie w *nasze*.

– Tu chodzi o *ciebie*, o *twoją* rodzinę.

– Jasne. Czy nie o to zawsze chodzi? Przecież nigdy nie chodzi o *nas*. Albo o *ciebie*. Za każdym razem, gdy uwaga skupia się na *tobie*, zmieniasz temat, pilnując, by skupił się na mnie. Unikasz ujawnienia najmniejszej części siebie, która, nie daj, kurwa, Boże obnażyłaby twoją bezbronność.

Stoi, jej dolna warga drży, ale oczy ma zimne jak lód.

– Idź do diabła.

– Dlaczego nie czytasz epilogów, Ellery, co? – pytam, chcąc ją zranić, tak jak ona zraniła mnie. Chcąc ją odepchnąć, bo uderza tak cholernie blisko. – Chcesz, żebym dał odpowiedzi, to najwyższy czas, żebyś ty zrobiła to samo. Dlaczego ich nie czytasz?

Ignoruję zranienie, które widzę w jej oczach, bo moje własne przesłania mi myśli.

– Zostaw mnie w spokoju, Ford.

– Och – mówię i śmieję się protekcyjnie. – *Teraz* mam cię zostawić w spokoju.

– Nie wtrącaj się w moje sprawy.

– Nie. W twoje życie będę. Dlaczego ich nie czytasz? Za bardzo się boisz, że odkryjesz, co się stanie, jeśli się zakochasz? Zgadłem? Sabotujesz się, dlatego...

– Zamknij się! – krzyczy z całych sił, a jej głos drży. Łzy zaczynają spływać jej po policzkach. Kręci głową na boki, ale wzrok ma utkwiony we mnie. Wyraz jej twarzy wywraca mi żołądek do góry nogami, a jednak słowa uderzają jeszcze mocniej.

– Dlaczego? Żebyś mogła uciec i schować się przed odpowiadaniem na pytania?

– Tak jak ty? Mężczyzna, który uciekł tutaj, wszedł w partnerstwo z przypadkową kobietą, którą spotkał tylko raz, tylko po to, żeby schować głowę w piasek i unikać spraw związanych z tatusiem?

Jeśli celuje w dziesiątkę, to, kurwa, trafiła.

Skurwielka.

Mój śmiech jest cichy i dręczący.

– To jest cios poniżej pasa, Elle. Ale do tego dążyłaś, prawda? Chciałaś mnie wkurwić, żebym odpuścił? Bo tak jest łatwiej, niż naprawdę ze mną porozmawiać. Niż zmierzyć się z faktami o nas...

– Jedynym tematem do rozmowy jest to, dlaczego nie jesteś w drodze do miasta, żeby wziąć udział w porannych programach z braćmi.

Oczywiście. Powiedziałem jej w zeszłym tygodniu o tych cholernych wywiadach i teraz rzuca mi nimi w twarz? Pieprzyć to.

– Każesz *mi* wyjechać? Dobra. Proszę bardzo. – *Niewiarykurwagodne*. – Wygrałaś. Wyjadę rano. Pojadę na poranną objazdówkę programów z braćmi, a ty zostaniesz tutaj i będziesz szefem wszystkiego, poza tym, co ważne.

– W porządku.

– A skoro to ustalone, gdy ja już *przestaną* być egoistą, ty musisz zrobić to samo. Też musisz przestać być egoistką i dojść do tego, czego, kurwa, chcesz, bo mam dość tego, że nie wiem. Umowa stoi?

– W porządku.

– Powiedz coś innego niż *w porządku* – wybucham, mój głos odbija się od ścian, a frustracja sięga zenitu.

Patrzy na mnie tym pustym, zalęknionym spojrzeniem, którego nie chciałem być źródłem, ale wiem, że jestem. Delikatnie kiwa głową, otwiera usta, ale ponownie je zamyka. Wiem, że posunąłem się chyba za daleko.

Ale czy nie zasługuję na to, by wiedzieć, na czym *ja* stoję? Na czym *my* stoimy?

Mruga, żeby się nie rozplakać, i szepcze:

– W porządku. – Następnie wychodzi z pokoju, nadal owinięta kołdrą, i zamyka za sobą drzwi.

Walczę z całych sił, żeby za nią nie pójść. Żeby nie pobiec korytarzem, nie przycisnąć swoich ust do jej i nie powiedzieć, że cokolwiek ją przeraża, poradzimy sobie. Że przez to przejdziemy.

Ale nie robię tego.

Zostaję tu, gdzie jestem, gapię się na zamknięte drzwi i wiem, że kochanie kogoś nie powinno być aż tak trudne.

– Cholera – mamroczę w pustym pokoju.

Jeśli chciałem ją zmusić do przyznania, że coś nas łączy, to z całą pewnością odniosłem odwrotny skutek.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

*Ellery*

BOLI MNIE KLATKA PIERSIOWA.

*Umowa stoi?*

Od słów, których nie wypowiedział, ale które widziałam w jego oczach. Od kłótni, którą zaczęłam, bo potrzebowałam przestrzeni i czasu, żeby pomyśleć. Żeby dać mu do zrozumienia, że nie jestem taką dziewczyną. Że nie może mnie kochać. Że to nie może być niczym więcej, niż jest.

Od tej trudnej miłości, którą musiałam mu okazać, żeby zobaczył, co ma, podczas gdy tak wielu ludzi by za to zabiło. Ja bym za to zabiła.

Od prawdy kryjącej się za jego pytaniem: *Dlaczego nie czytasz epilogów, Ellery?*

I to boli przez całą noc, gdy siedzę w pustym barze na dachu, owinięta kołdrą, gapiąc się na księżyc wysoko nad oceanem. Patrzę, jak jego odbicie marszczy się od fal, które przypływają i odpływają. Słucham stłumionego dźwięku fal, które rozbijają się o brzeg plaży poniżej. Zatapiam się głębiej w myślach, a nowa konstrukcja wokół mnie skrzypi i osiada.

*Musisz przestać być egoistką i dojść do tego, czego, kurwa, chcesz, bo mam dość tego, że nie wiem. Umowa stoi?*

Dlatego uciekłam? Albo raczej pobiegłam do baru, co samo w sobie brzmi śmiesznie.

Bo tak, on za bardzo się zbliżył. A gdy ktoś się za bardzo zbliża, panikuję? Czy to dlatego, że jestem na niego zła, bo ma rodzinę, o której ja mogę tylko pomarzyć, i nie chce o nią dbać? Trochę jednego, trochę drugiego.

A może to dlatego, że za bardzo boję się przyznać, że tak naprawdę to zasługiwałabym na to „żyli długo i szczęśliwie”? Że to *on mógłby być* moim „długo i szczęśliwie”? I panicznie boję się mieć na-



dzieję, panicznie boję się wierzyć, że jeśli tak jest, to on też zostanie mi brutalnie odebrany?

A może po prostu podważam wszystko, co się wczoraj wydarzyło? Jego ofertę partnerstwa. Jego sugestię związania rąk mojemu ojczymowi, żebym miała udział w tym, co prawnie należy do mnie.

Czy to wszystko było prawdziwe? Czy on naprawdę chce zostać moim partnerem, czy może próbował mnie w jakiś sposób ze sobą związać, żebym nie mogła uciec? Żebym nie miała powodu, by odejść?

Ale przecież to związanie dotyczyłoby tylko naszych firm, skoro to on wyłożyłby fundusze.

I jak się z tym czuję? Mniej ważna? Kupiona? Przekupiona?

Przecieram twarz dłonią, podczas gdy te pytania wirują bez kontroli, tuż za nimi skrada się z wątpienie, a ciemna noc przechodzi we wczesne poranne godziny.

Gdzie się podziała moja determinacja? Gdzie zniknęła moja chęć do zwykłej zabawy i cieszenia się nim?

Byłam gotowa wyjść za przyzwoitego człowieka tylko po to, żeby usprawnić nasz biznes. Co jest złego w randkowaniu z mężczyzną i jednoczesnym pracowaniu z nim? Mężczyzną, za którym szaleję?

Fordham Sharpe.

O wiele więcej niż tylko *Po prostu Ford*. Chciałabym tylko, żeby to zrozumiał.

Może noc poświęcona na rozmyślanie pozwoli nam zrozumieć prawdę, której nie chcemy stawić czoła. Może pomoże nam znaleźć miejsce pośrodku, w którym możemy się spotkać i zgodzić. Takie, w którym on zrozumie, że musi jechać do braci, a ja nie jestem typem dziewczyny „długo i szczęśliwie” – i gdzie ja zrozumie, że mogę z nim być, nie panikując.

Czas wszystko uporządkuje.

Czas wszystko rozjaśni.

Przynajmniej mam taką nadzieję.

Niebo zaczyna się rozjaśniać w tej nieszczęsnej porannej szarości, zanim słońce decyduje się wzejść.

Przede wszystkim musimy oczyścić atmosferę, zanim stawimy czoła hotelowi pełnemu robotników, którzy za chwilę przyjdą dokończyć to potężne zadanie. Musimy umieć ze sobą współpracować, nawet jeśli jesteśmy skonfliktowani.

To coś, z czym nie mieliśmy jeszcze do czynienia w tym całym projekcie – nieporozumienia między nami – ale czy nie o to właśnie chodzi w prawdziwym partnerstwie? W prawdziwej relacji?

Bo właśnie to pozwoliła mi zaakceptować ta noc. Forda i mnie coś łączy. Co to jest – pozostaje pytaniem, ale i tak jestem gotowa to przyznać i wyciągnąć taki wniosek.

Chcę mu się przyznać, że czuję więcej niż do kogokolwiek wcześniej i jest to coś wielkiego. Mam nadzieję, że pozwoli mi to tak zostawić. Mam nadzieję, że zrozumie i zaakceptuje, że nie jestem typem mówiącym *Kocham cię*. Że zrozumie, tak jak Josh, że to, co mogę dać, nie jest – i nigdy nie będzie – wystarczające w relacji. Że ostatecznie Ford też będzie chciał mnie zostawić.

Zawodowo?

Tak, umowa stoi, Ford.

Tak było już zeszłej nocy, gdy ci powiedziałam.

Nadal owinięta kołdrą wracam do apartamentu. Muszę się ubrać, zanim ekipy zaczną się zjeżdżać, ale przede wszystkim muszę porozmawiać z Fordem. Muszę mu powiedzieć, że tak, zgadzam się na tę umowę. Że jeśli on naprawi sprawy ze swoimi braćmi, to ja mu powiem, na czym stoimy. Że jesteśmy w związku... ale nie mogę mu dać tego, czego według mnie potrzebuje. Na co zasługuje. Ale że mogę być wszystkim oprócz.

To już coś, prawda? Może to nie do końca to, na co liczy, ale jest to już jakiś punkt wyjścia.

Z każdym krokiem po schodach w dół powtarzam te słowa w swojej głowie. Te sformułowania. Powody, które się za nimi kryją. Wszystko.

Ale gdy wchodzę do apartamentu, pościel, bez kołdry, jest ułożona na łóżku, ale Forda nigdzie nie widać. Nie ma jego laptopa. Ani jego kluczy.

Czuję atak paniki.

Odszedł.

Pokłóciliśmy się. On odszedł.

Chodzę po pokoju jak szalona i odkrywam, że jego ubrania nadal tu są, przybory toaletowe stoją na półce, a luźne notatki leżą rozrzucone na toalecie.

Ulga uderza we mnie niczym poszarpana fala przypływu.

Może on też potrzebował tylko przestrzeni.

Może mnie nie zostawił.

Nie zniknął.

Łzy ulgi płyną mi po policzkach, gdy biorę prysznic. To jedyna chwila słabości, na którą sobie pozwalam, zapewniając samą siebie, że on wróci.

Że nadal o nas walczy.

Następną godzinę poświęcam na przygotowania, bo mimo że pokłóciliśmy się z Fordem, przedstawienie musi trwać. Trzeba pokierować wykonawcami. Rozwiązać problemy. Dzień musi iść naprzód.

Może pojechał na noc do Sag Harbor. Żeby zyskać ten sam dystans co ja.

Ale gdy stoję na zewnątrz, pokazując Roddy'emu, jak poprawić markizy nad drzwiami kawiarni, nagle słyszymy dźwięk helikoptera.

To dość powszechny dźwięk tutaj, na placu zabaw bogaczy, ale ten jest wyjątkowo niski.

A gdy podnoszę wzrok i widzę nad głową czarny śmigłowiec z szarymi literami S.I.N., wiem, że Ford pokazuje mi, że dotrzymuje swojej części umowy. Tak po prostu. Bez niepotrzebnych dyskusji. Bez negocjacji. Bez ostatecznych propozycji. Zrobił to, co powiedział, że zamierza. Dotrzymuje słowa.

Jednocześnie ostrzega mnie, że gdy wróci, ja będę musiała dotrzymać swojego.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

*Ford*

ONA JEST TAKA MALEŃKA, GDY PRZELATUJEMY.

Ośłania dłonią oczy, patrząc w górę na śmigłowiec.

I wie, że zamierzam dotrzymać słowa.

Patrzę na nią, aż w końcu już dłużej nie mogę, bo się boję, że to może być ostatni raz, gdy ją widzę.

Boję się, że to, czego się boi, jest silniejsze od miłości, którą widzę w jej oczach, gdy na mnie patrzy.

I czy to nie było przez cały czas sednem sprawy?



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIĄTY

### *Ellery*

SPODZIEWASZ SIĘ DZISIAJ JAKICHŚ DOBRYCH WIEŚCI, SZEFOWO? – pyta Roddy, mijając mnie.

– Co masz na myśli? – pytam, odwracając się w jego stronę.

– Sprawdzasz telefon mniej więcej co dziesięć minut, zupełnie jakbyś czekała na wiadomość, że twoja siostra urodziła.

Śmieję się.

– Biorąc pod uwagę, że nie mam siostry, musiałabym naprawdę długo czekać.

– Właśnie. – Zatrzymuje się i mruży oczy. – Ale wszystko w porządku? Żadnych problemów z projektem, zgodami czy inną kwestią?

– Nie. Nic z tych rzeczy. Czekam tylko na e-mail w sprawie dostawy zadaszenia do kawiarni – kłamię. Głupio mi, że tyle razy sprawdzałam dzisiaj telefon, że ktoś to zauważył.

– Mój numer też mają. Właściwie to ty nie powinnaś się tym zajmować. Masz już dość na głowie. Pozwól, że ja to ogarnę.

No i tyle zostało z mojego kłamstwa.

– Proszę. Dość rozpraszaczy. – Ostentacyjnie wyjmuję telefon z kieszeni i ustawiam go w tryb „Nie przeszkadzać”. – Jeśli mam zamiar zwracać innym uwagę na skupienie na pracy, to zakładam, że sama powinnam robić to samo.

Śmieje się i mruga, a po chwili ktoś wzywa go do kawiarni z prośbą o pomoc.

Wzdycham i opieram się o ścianę. Pomimo braku snu zeszłej nocy, dzień jest dobry.

Czy nadal czuję się pogubiona i zraniona tym, co zostało wczoraj powiedziane? Oczywiście, że tak. Nie jestem robotem.

A ten komentarz o moim telefonie? To dlatego, że nie mogę przestać patrzeć na nagłówki, a na ekranie pojawiają mi się powiadomienia z Instagrama. Powiedzieć, że wokół pierwszego wywiadu ze wszystkimi trzema braćmi Sharpe jest dużo szumu, to za mało.

Sądząc po komentarzu Roddy'ego, jestem tym za bardzo pochłonięta.

Czy to dziwne być dumną z czegoś, czego się nawet nie jest częścią? Na pewno, ale ja jestem.

Media mają używanie już z samego wyglądu. Trzech atrakcyjnych mężczyzn, identycznych pod względem niemoralnie dobrej aparycji, którzy odnieśli sukces w stylu amerykańskiego snu, wszyscy siedzący w jednym ujęciu kamery. Same ich uśmiechy muszą zwiększać notowania, ale to pasją i miłością, z jakimi mówią o swoim ukochanym ojcu, przekonają do siebie publiczność, jeśli jeszcze tego nie zrobili.

I tylko wyszkolone oko kogoś, kto spędził prawie każdą minutę ostatnich dziewięćdziesięciu dni ze środkowym bratem zauważy delikatne błędnie przy niektórych pytaniach. Ten moment jest bardzo ulotny.

W urywkach, które widziałam, poruszyła mnie ich miłość do ojca. Ich całkowity podziw i uwielbienie uczucia, jakie było między ich rodzicami, nawet wiele lat po śmierci mamy. Związek, który łączy całą trójkę, podnosi na duchu, nawet jeśli ogląda się to z daleka.

Wysłałam Fordowi kilka wiadomości, w których mu to napisałam. Jestem na tyle dorosła, że chociaż zmagam się z tym, jak spełnić i nie spieprzyć mojej części umowy, gdy on wróci, to nie mogę nie dać mu znać, jaka jestem z niego dumna za ten krok naprzód.

I chociaż nie odpowiedział, wiem, że on też jest z siebie dumny. Widać to w jego uśmiechu. W śmiechu, którym wybucha. W delikatnym kręceniu głową, gdy bracia drażnią się z nim otwarcie, dając do zrozumienia, że ojciec kochał go tak samo jak ich, bez względu na to, czego książka nie pokazuje.

Tak, poświęciłam tyle roboczego dnia, obsesyjnie śledząc wiadomości, często pod pozorem wyśledzenia zagubionej przesyłki i mierzenia się z kwestiami dotyczącymi wielkiego otwarcia, które się pojawiły.

Gdyby ktoś drażył temat, moje kłamstwo wyszłoby na jaw.

Ale nikt tego nie zrobił i jestem im za to wdzięczna.

Wraz z upływającym dniem rośnie we mnie chęć zobaczenia Forda. Moje postanowienie jest silniejsze. Zdaję sobie sprawę, że chcę z Fordem czegoś więcej, niż kiedykolwiek chciałam z Chandlerem czy Joshem. Na razie jednak nie potrafię tego dokładnie określić. Mam tylko nadzieję, że on będzie w stanie zaakceptować ograniczenia.

Zajmuję się moją niekończącą się listą rzeczy, które trzeba zrobić, żeby przygotować to miejsce na czas.

Moja lista zadań kurczy się w jednych pokojach i wydłuża w innych. Dopiero gdy wchodzę do baru na górze, zauważam, że wszyscy gromadzą się wokół telefonu, ale gdy mnie zauważają, rozchodzą się.

Robotnicy wymieniają między sobą ukradkowe spojrzenia.

– Co? – pytam, stając na środku pomieszczenia i rozkładając ręce. – Czego mi nie mówicie? Mam brudny tyłek? W internecie pojawiła się sekstaśma, której nigdy nie nagrałam? Co. Się. Dzieje?

Ani jeden z mężczyzn nie śmieje się z moich żartów.

Hank jest tą biedną duszą, która w końcu patrzy mi w oczy.

– Ty. – Pokazuję na niego palcem. – Co się dzieje?

Hank zerka na innego stolarza, a potem z powrotem na mnie, wyraźnie przerażony tym, co wie.

I nagle ja też czuję przerażenie.

Hank rusza w moją stronę, zgarbiony, z wyciągniętym przed siebie telefonem.

Mija chwila, zanim do mojego umysłu dociera nagłówek tekstu w tabloidzie, widoczny na jego ekranie, opublikowany dziewięćdziesiąt minut temu. W głowie zaczyna mi wirować, a moje serce zapada się, gdy świat usuwa mi się spod nóg.

### **Helikopter rozbija się w rzece Hudson**

Biorę głośno gwałtowny wdech, wrywam Hankowi telefon z ręki i czytam. Docierają do mnie tylko niektóre słowa.

*Fordham Sharpe na liście pasażerów.*

*Zmierzał w stronę Hamptons.*

*Wpadł do Hudson.*

*Trwają poszukiwania ocalałych.*

Nie mogę oddychać. *Czy to normalne?* Nie mogę oddychać. Nie mogę myśleć. Czuję, że mam do zrobienia milion rzeczy – zadzwonić do jego braci, chociaż nawet nie znam ich numerów. Znaleźć się

w Nowym Jorku, chociaż najszybszym sposobem na dotarcie tam jest lot helikopterem, a nie ma, kurwa, mowy, że teraz do niego wsiądę. Przeżyć atak paniki, bo chociaż to niczego nie rozwiąże ani nie odpowie na moje pytania, z całą pewnością pozwoli mi coś poczuć. Bo tu i teraz czuję jednocześnie wszystko i nic. Jak to w ogóle możliwe?

Cofam się chwiejnym krokiem, aż upadam na fotel. Nie obchodzi mnie, czy odkrywam karty przed naszą ekipą. Gównu mnie obchodzi, czy mój ciężki oddech i krew odpływająca mi z twarzy dają im do zrozumienia, że łączy mnie z Fordem coś więcej niż tylko partnerstwo.

Roddy jest obok mnie, a ja nawet nie wiem, jak się tu znalazł. Odrywa mi palce od telefonu.

– Oddychaj, Sinclair. Oddychaj.

– Mój telefon. Potrzebuję swojego telefonu – mówię chrapliwie.

– W twojej tylnej kieszeni. Tutaj. – Pokazuje i wyciąga go.

Ekran jest wypełniony wiadomościami. Od mojego Garlanda. Od Ledgera. Wiadomości, na które nie zwróciłam uwagi, bo miałam wyciszony telefon.

Gapię się na nie, aż mi się zamazują przed oczami. Strach przed tym, co w nich jest, powstrzymuje mnie przed odblokowaniem telefonu i przeczytaniem ich.

Podnoszę wzrok i zauważam, że wszyscy na mnie patrzą. Wszyscy wstrzymują oddech, tak jak ja, a troska widoczna na ich twarzach jest miazdząca.

– Wyjdźcie wszyscy – zarządza Roddy, wspomagając się gestem rąk. Nie patrzę na nich. Nie widzę ich spojrzeń, ale kątem oka zauważam, że powoli wychodzą z pomieszczenia. – Chcesz, żebym został, czy mam wyjść? – Kuca przede mną, trzymając dłoń na moim kolanie i czekając na odpowiedź.

– Chcę... być sama, proszę.

Kiwa głową, ścisza moje kolano, po czym wstaje i wychodzi.

To ja zmusiłam go, żeby poleciał. To z mojego powodu był w tym helikopterze. Ja jestem powodem...

*Nie.*

*On musi żyć.*

*To Ford. Niezwykły, uparty jak diabli Ford.*

Gdy drzwi się zamykają, biorę drżący oddech, odblokowuję telefon i szykuję się na to, co przeczytam.

Ale zanim to robię, telefon zaczyna dzwonić. Z nieznanego numeru, odbieram go więc najszybciej jak umiem, z nadzieją, że to Ford.

– Halo? – dyszę.

– Ellery? Tu Ledger. – Powaga w jego głosie przeszywa mnie do głębi. Smutek słyszalny w niej jest nie do opisanego. Strach i panika przenikają każdą tkankę.

– Proszę... – Mówię przeciągle. Proszę, niech wszystko będzie dobrze. Proszę, powiedz, że on żyje. Proszę, powiedz, że stoi obok ciebie.

– Ekipa ratunkowa. – Wyrzuca z siebie te słowa. – Mają go.

Serce mi pęka.

Nie: mają go i nic mu nie jest. Nie: mają go i żyje. Tylko *mają go*.

– Ledger – mówię chrapliwie, czując, że słone łzy wpadają mi do ust, choć nawet nie wiedziałam, że płaczę. – Proszę.

Mijające sekundy są jak godziny, a z pomieszczenia uszło całe powietrze. Jedynym dźwiękiem, który słyszę, jest puls w moich uszach.

– Nic mu nie jest. – Tym razem to jego głos się załamuje. To jego czkający szloch przenika połączenie. Jego słowa sprawiają, że oddycham po raz pierwszy od nie wiem kiedy, od wielu minut, które ciągnęły się jak godziny.

Zaraz potem zacznym szlochać.

– Rozmawiałeś z nim?

– Nie. Jeszcze nie. – Jego głos jest zachrypnięty, ale czuć w nim ulgę. – Wylądował. Naszemu pilotowi udało się wylądować. Śmigła. Woda. Nie rozumiem, jak to zrobili, ale nic im nie jest.

– Muszę się tam dostać, zobaczyć go... żeby... Nie mam jak... Nie mogę tam polecieć. – Wyrzucam z siebie słowa.

– Wiem. Wiem. My... Jesteśmy z Callahanem w samochodzie. Jedziemy go zobaczyć.

– Proszę – błagam. – Proszę, niech on do mnie zadzwoni.

*Proszę. Nie mogę stracić kolejnej osoby.*

*Nie ponownie.*



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SZÓSTY

*Ford*

NIE MOGĘ ODDYCHAĆ. – Próbuję wydostać się z objęć moich braci, ale oni ściskają mnie mocno takim rodzajem uścisku, którym nie obdarzali mnie od lat. *Od pogrzebu taty.*

– Pieprz się – mamrocze Callahan.

– Masz podwójny wpierdół za to, że nas tak wystraszyłeś – dodaje Ledger.

A gdy w końcu mnie puszczejają i widzę ich spojrzenia, okazuje się, że wszyscy patrzymy na siebie ze łzami w oczach.

– Wyluzujcie. Bycie waszym wrzodem na dupach jest zbyt fajne, żebym miał was teraz zostawić.

Wybuchają niewiarygodnym śmiechem. Nie słyhać w nim rozbawienia, tylko ulgę.

Zamykam oczy i idę chwiejnym krokiem w stronę siedzenia. Wiem, że chcą więcej szczegółów, niż podałem im przez telefon. Dokładną relację z wydarzeń, ale ja potrafię skupić się tylko na myślach, które przebiegały mi przez głowę w tych przelotnych chwilach, pomiędzy tym, gdy pilot powiedział, że mamy usterkę techniczną, a jego słowami „przygotuj się na uderzenie”.

Moja mama. Jej łagodny uśmiech. Jej ciepły uścisk. Jej nieustanna mądrość.

Mój tata. Jego nieugiętość. Jego dziedzictwo, co do którego bałem się, że nie będę miał szansy go kontynuować.

Moi bracia. Inna część mnie. Ci, z którymi tworzę pełnię. Moja skała, gdy się rozpadam.

I Ellery. *Kocham ją*, a nigdy nie miałem okazji jej tego powiedzieć.

*Kocham ją.*

Nie popełnię już więcej tego błędu.

– Potrzebuję telefonu – mówię im.

Ledger wyciąga swój.

– On już dzwoni.

Biorę telefon i gdy tylko przykładam go do ucha, słyszę jej głos i padam na kolana.

– Ledger?

– Ellery. – Głos mi się łamie, gdy wypowiadam jej imię.

– Ford? Ford!

Nie wiem, kto pierwszy pęka. Ona, ja czy oboje na raz, ale łza spływa mi po policzku w tej samej chwili, w której ona zaczyna szlochać.

– Nic mi nie jest.

– Ford.

– Niedługo będę w domu.





## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY SIÓDMY

*Ellery*

CAŁY CZAS MAM WRAŻENIE, JAKBY ŚWIAT SIĘ ZATRZYMAŁ. To, że rozmawiałam z Fordem, nie ma znaczenia. Rozmowa była krótka, a on milczał, otoczony braćmi, ale to najlepszy dźwięk, jaki słyszałam w życiu.

*Niedługo będę w domu.*

Tylko Ford może się zachowywać, jakby katastrofa helikoptera nie była niczym wielkim.

Tylko on może mieć tyle odwagi, by wsiąść do kolejnego i dolecieć do mnie najszybciej, jak może.

Gdy jego samochód zatrzymuje się na parkingu, wybiegam przez frontowe drzwi i wpadam mu w ramiona – owijam jego biodra nogami i składam gorący pocałunek na jego ustach. Chwieje się pod moim ciężarem, a jego śmiech cichnie pod naporem mojego pocałunku, którym go obdarzam, nie zważając na to, kto nas widzi. Kto wie.

Ten pocałunek mówi tak wiele. Tęskniłam za tobą. Byłam przerażona. Nigdy więcej. Słowa, o których nadal cholernie boję się myśleć.

A gdy przestaję go całować, gdy stoję z powrotem na ziemi, biję go w klatkę piersiową.

– Nigdy, nigdy, nigdy więcej mi tego nie rób.

Wybucha śmiechem.

– Kolejny zwykły dzień w domu, gdy bijesz mnie tak czy inaczej.

– Zamknij się. – Popycham go, a potem przyciskam swoje usta do jego. Po raz kolejny upewniam się, że żyje. Że nic mu nie jest. Że to naprawdę on, tutaj, w moich ramionach.

Jego dłonie są na mojej twarzy. Jego wzrok jest skupiony na moim. Jego krzywy uśmiech zdobył

moje serce.

– Kocham cię, Ellery Sinclair. Kocham cię i mam dość niemówienia tego. Kocham cię i jedynym, o czym myślałem, gdy śmigłowiec spadał, było to, że ci tego nie powiedziałem. Mówię ci to więc teraz. Mówię ci, żebyś mogła z tym zrobić, co chcesz, ale nic teraz nie zmieni moich uczuć. Rozumiesz? Bo wolę popełnić błąd, wyznając ci to, niż żałować, że tego nie zrobiłem.

Słyszę jego słowa. Rozumiem, co mówi. Ale jestem tym wszystkim przytłoczona. Zatopiona w myśli, że go nie straciłam, owszem słyszę jego słowa, ale moje pragnienie, by żył, wszystko zagłusza.

Strach.

Panikę.

Jest tylko on.

Tylko my.

Po prostu kolejny dzień, żeby jakoś to poukładać.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY ÓSMY

*Ford*

CIĄGLE MAM TE SNY.

Jeden po drugim. Co mogło się stać. Co się stało. A gdy wybudzam się z koszmarów, widzę twarz Ellery na poduszce obok. Jej nogi splątane z moimi. Jej równy oddech i spokojne bicie serca, które czuję pod dłonią, przypominają mi, że to było tylko to. Koszmary.

A pomiędzy przerażeniem a strachem uświadamiam sobie, co działo się wczorajszej nocy. Jak posadziłem ją sobie na kolanach. Jak się tuliliśmy. Jak jej usta zatopiły się w moich, gdy na mnie usiadła.

Jak mnie kochała – ciałem i emocjami, które widziałem w oczach – ale nie słowami.

Poruszaliśmy się w ciszy.

Reagowaliśmy na nasz dotyk. Na nasze jęki. Na nasze prośby.

Reagowaliśmy, aż prawie poczułem ból, uświadamiając sobie, że prawie to straciłem. Ją straciłem.

Gdy odchyliłem się, żeby na nią spojrzeć, żeby zobaczyć, jak wygląda zalana miłością, po jej policzku spłynęła samotna łza. Scałowałem ją. Wyszepiałem, że nic mi nie jest. Że wszystko w porządku.

I że ją kocham.

Ale przyjemność ulotniła się, gdy przyszedł kolejny koszmar. I cholernie mnie wystraszył.

Chyba sen mnie obudził. A może drzwi właśnie kliknęły?

Najpierw zauważam, że pokój rozjaśnia się od wczesnego brzasku.

Zaraz potem, że Ellery nie ma obok mnie. Łóżko jest zimne.

Drapię się po twarzy i przerzucam nogi na drugą stronę materaca.

– Elle? – pytam w stronę uchylonych drzwi do łazienki.

Może ona też ma takie koszmary. Może potrzebuje zapewnienia, że nic mi nie jest.

Ale gdy zaglądam do łazienki, nie znajduję jej. Wychodzę na korytarz i gdy patrzę w dół, widzę, jak, odwrócona do mnie tyłem, ciągnie za sobą walizkę.

Ogarnia mnie panika. Ma jakieś spotkanie, o którym zapomniałem? Konferencję, na której musi być?

Wiem jednak, że odpowiedź brzmi „nie”.

*Ona ucieka.*

– Ellery? – biegnę za nią, ale na mnie nie patrzy.

Doganiam ją w korytarzu, blokuję jej drogę i dopiero wtedy widzę łzy płynące jej po policzkach. W rysach jej twarzy zauważam całkowite załamanie.

– Skarbie. Proszę. Powiedz mi, co się dzieje?

Wyraz jej twarzy pozostaje niewzruszony, pomimo łez zostawiających ślady na skórze i delikatnego kręcenia głową.

– Tak mi przykro – szepcze.

Te trzy słowa zupełnie mnie rozbijają. Unicestwiają ostatki nadziei, której się trzymałem.

– Nie rób tego. Nie pozwolę ci odejść – mówię, czując, że mój puls przyspiesza, a we mnie rośnie niedowierzanie. – Nie po tym wszystkim. Nie po wczoraj. Nie po... *nas*. – Nie rozpoznaję już swojego głosu. Tego błagania w nim. Splecionego z nim strachu.

– To nie w porządku – szepcze i próbuje mnie ominąć. Przesuwam się, żeby zablokować jej drogę. – To się nie może wydarzyć.

– Co nie może?

– To. My. – Opuszcza głowę, a łzy spadają między nami na nowy dywan. – Nie mogę pozwolić sobie...

– Na co? – domagam się odpowiedzi. Na nadzieję? Na pragnienie mnie? Na...

– Na kochanie ciebie – szepcze, spoglądając mi w oczy.

– Dlaczego? Dlaczego nie możesz mnie kochać? – żądam odpowiedzi, kładąc jej ręce na ramionach, rozpaczliwie chcąc ją potrząsnąć i wbić w nią trochę rozsądku. Ale ona już jest wystarczająco przerażona.

Tak jak ja.

Mój strach jednak wynika z tego, że wiem, czego chcę, i boję się, że tego nie dostanę. Jej – że nigdy tego nie miała i panicznie boi się to poczuć.

– Bo nie mogę. – Przełyka, łkając. – Po prostu nie mogę.

– Zasługuję na coś więcej. Na lepszy powód, Ellery, a ty cholernie dobrze o tym wiesz. – Biorę głęboki, wzmacniający oddech, żeby się uspokoić. – Dlaczego nie możesz mnie pokochać? – Głos mi się załamuje.

– Bo... bo wszyscy, których kiedykolwiek kochałam, zmarli. Zostawili mnie. A ja nie mogę... nie mogę stracić też ciebie. Wczoraj tak się prawie stało. *Prawie cię straciłam*. I jestem przerażona kochaniem cię, a potem utratą ciebie. Nie mogę znowu przez to przechodzić.

Patrzę w te szafirowe oczy przede mną. Na te usta, które mogą powiedzieć wszystko, a ja zrobię, o co poproszą. Na tę kobietę, która trzyma moje serce w swoich trzęsących się dłoniach.

*Synu, gdy charakter kobiety sprawia, że kochasz ją jeszcze mocniej, gdy jej opór sprawia, że chcesz jej rzucać wyzwania i gdy jej uśmiech wywołuje w tobie pragnienie kolejnych, wtedy wiesz, że ona jest warta cholernego ognia.*

Mój tata miał rację.

To właśnie ta chwila, w której mam pewność, że przeszedłbym po rozżarzonych węglach, ryzykując oparzenia, żeby ponownie ją do siebie przyciągnąć i zabrać jej z twarzy ten wygląd.

*Boże, on miał cholerną rację.*

Na temat tego, co byś dla niej zrobił.

Na temat tego, co byś za to dał.

Na temat tego, jak bardzo byś się za to sparzył.

– Ja tylko chcę ciebie. W każdy sposób, w jaki mogę cię mieć, Ellery. Jesteśmy warci tej walki. Ty jesteś warta walki. Wszystko inne to tylko hałas. Nad resztą możemy popracować.

Robi krok w tył, uwalniając się z mojego uścisku i unikając mojego wzroku.

– Muszę iść, Ford.

Ta łza wczoraj w nocy... ona już wiedziała, że mówi do widzenia.

Po tych słowach Ellery Sinclair wymija mnie i wychodzi z zajazdu.

A ja obawiam się, że również z mojego życia.



## ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DZIEWIĄTY

*Ellery*

ŁZY NIE PRZESTAJĄ PŁYNAĆ.

Nie mija też ucisk w mojej klatce ani ból w sercu.

Kocham go.

Kocham Fordhama Sharpe'a, mimo że przysięgłam sobie, że nie pozwolę sobie go kochać.

I prawie go straciłam.

Sny nie przestawały napływać. Panika, którą poczułam po przebudzeniu, gdy zobaczyłam, że on tam jest, żywy, jego klatka podnosi się i opada, jeszcze bardziej mnie przerażała.

Wszystko, co kocham, umiera.

Wszystko.

Nie mogę za to przeklinać Forda. Nie mogę przeklinać za to jego braci.

Ocieram kolejną łzę i czytam litery wygrawerowane na nagrobku mojego taty.

W głowie widzę jego twarz. Jego szeroki uśmiech i ciepłe uściski. Jego surowa dyscyplina i wyławne pochwały, które sprawiały, że czułeś się jak na szczycie świata, gdy je otrzymywałeś. Jego niezachwiane wsparcie i wyraźne rady, których trzymam się nawet dzisiaj.

*Ramiona mojej mamy drżą, gdy próbuję ją tulić. Gdy staram się ją pocieszyć, tak jak ona mnie.*

*Ale żadne przytulenie nie uleczy tego zranienia.*

*Żaden pocałunek w bolące miejsce nie sprawi, że to minie.*

*Zaciskam mocno oczy. To łatwiejsze niż rozglądanie się i zauważanie ludzi, którzy udają, że na nas nie patrzą. Ich wzrok jest pełen współczucia. Ich „Taka szkoda” szeptane jeden drugiemu. Zamknięte oczy to coś dziesięć razy lepszego od patrzenia na lśniąca czarną trumnę stojącą przed nami nad ziemią.*

*Czy jest mu tam zimno?*

*Czy nadal go boli?*

*Czy żałuje, że to zrobił, bo teraz widzi, jak bardzo cierpimy? Jak bardzo za nim tęsknimy?*

*Mama próbuje się ode mnie odsunąć. Przywrócić role na swoje miejsca, czyli jej jako matki i mnie jako dziecka. I jedno spojrzenie na jej twarz – smutne oczy, opuchnięty, czerwony nos – mówi mi coś, co już wiem: nic już nigdy nie będzie takie samo.*

*Podnosi mnie i sadza sobie na kolanach. Czuję na swoich plecach, jak jej klatka się porusza, i mam nadzieję, że nigdy więcej nie usłyszę tego dźwięku – tego kwilenia, z którym walczy. Zakrywam uszy dłońmi i próbuję je zatrzymać. Próbuję udawać, że to się nie dzieje.*

*To dźwięk rozpaczy.*

*Zmiany mojego życia.*

*Małej dziewczynki, która doświadczała nieodwracalnej zmiany.*

*Dlaczego to zrobiłeś, tato?*

*Oddychanie boli.*

*Złamałeś nas.*

*W głowie mi wiruje.*

*Złamałeś ją.*

*Oczy mnie potwornie palą, ale nie mam już łez.*

*A jeśli już nigdy nie poskładam jej w całość?*

*Nienawidzę cię za to, tatusiu.*

*– Nie nienawidzę cię – szepczę. – Po prostu nie rozumiem. Nawet tyle lat później. Nie rozumiem.*

*Łzy skapują mi po rzęsach, ból jest tak mocny. Mimo że minęły dwie dekady, odkąd musiałam powiedzieć „do widzenia”.*

*Nie, nie nienawidzę mojego taty. Jakbym mogła? Ale jestem wściekła za to, że ograbił mnie i mamę z kolejnych lat z nim. Z większej ilości czasu. *Boże, tęsknię za tobą, tato.**

*Podrywa się lekki wiatr i liść wiruje nad jego grobem, aż w końcu ląduje na grobie mamy.*

*Uśmiecham się. To tak jakby chciał mi powiedzieć, że mogę zostawić go mamie. Całuję swoje palce, które przykładam do jego nagrobku, po czym przenoszę wzrok na nagrobek mamy.*

*On jest bardziej wymyślny niż mogła ojca. Garland bardzo się postarał. Jak musiał się czuć, chowając kobietę, którą kochał, obok jej pierwszej miłości, zamiast w miejscu, w którym mogliby leżeć razem?*

*Nigdy się tak naprawdę nad tym nie zastanawiałam. Nad tym, z czego musiał zrezygnować, żeby jej to dać. Nad tym, jak bardzo ją kochał, jednocześnie wiedząc, że ona zawsze bardziej kochała innego.*

*Ta myśl towarzyszy mi, gdy w wazonie przytwierdzonym na stałe do płyty nagrobka układam kwiaty, które jej kupiłam.*

*Ja chyba bym tak nie potrafiła. Nie umiałabym chyba kochać kogoś takiego jak Fordham, wiedząc jednocześnie, że on kochał bardziej inną kobietę.*

*Może tak długo byłam zmęczona żałobą, że nigdy się nie zastanawiałam nad tym, jakim człowiekiem jest Garland. Kim był dla niej, choć pewnie potrzebował i chciał o wiele więcej.*

*– On ciągle o tobie myśli, mamusiu. Tak jak ja. W każdej minucie każdego dnia.*

*Kończę układać kwiaty i opieram się o marmurową płytę.*

*Nienawidzę tego miejsca.*

*Nienawidzę tego, że to tutaj dokładnie poznałam prawdziwą i całkowitą samotność. Załamanie.*

*Nienawidzę tego, że tutaj jest tak spokojnie. Spokojnie w sposób, który cię usypia delikatną bryzą we włosach i szumem liści nad głową.*

*Bo tutaj nie powinno być spokojnie.*

*To jest miejsce, w którym roztrzaskują się marzenia i pękają serca.*

*To tutaj bardziej niż gdziekolwiek indziej na świecie dociera do ciebie, jak ciemna i samotna jest śmierć. Jak jest stała. Jak wiele blizn za sobą zostawia. *Za każdym razem.**

*Nienawidzę tego miejsca.*

*Sprawia, że każda część mnie buntuje się we mnie – moje serce, moja dusza, moje jestestwo.*

*Garland stoi obok mnie, z okularami przeciwsłonecznymi na twarzy, z jedną ręką spoczywającą na mahoniowej trumnie. Nie rusza się. Nie płacze. Nie mówi. Po prostu patrzy na swoją dłoń w milczeniu, po czym bardzo delikatnie opuszcza głowę w ostatnim pożegnaniu i odchodzi.*

*Zatrzymuje się i ściska moje ramię, następnie odchodzi, żeby dać mi trochę czasu z nią.*

*Próbowałam się trzymać. Próbowałam ponownie być dorosła w sytuacji, w której nigdy nie po-*

winnam się była znaleźć, a co dopiero dwukrotnie.

*Ale gdy tak stoję i gapię się na trumnę, myślę tylko o tym, ile bym dała za ostatnie przytulenie. Żeby posłuchać, jak szepcze mi do ucha „kocham cię”, tak jak to robiłyśmy. Żeby się oprzeć i zobaczyć dumę i miłość w jej oczach, które mają taki kolor jak moje.*

*– Dlaczego mnie zostawiłaś? – szepczę na wiatr. – Tylko ty mi zostałaś. Co mam teraz zrobić? Jak mam iść dalej? Jak mam... żyć?*

*Przychodzą łzy. Nie ma sensu ich wstrzymywać. Już krzyczałam, wrzeszczałam i przeklinałam Boga i wszystko inne za to, że została mi odebrana. Za to, że muszę iść dalej bez niej.*

*Nachylam się i przyciskam usta do drewnianego wieka, ciepłego od promieni słonecznych. Nienawidzę tego, jak bardzo będzie mi jej brakować. Jak bardzo będę za nią tęsknić. Tego, że mam żyć bez niej. Bo tym razem nie ma kto mnie przytulić, gdy płaczę.*

*Nie ma żadnych ramion, na których mogłabym się oprzeć.*

*Czuję, jak ta strata we mnie wsiąka. Otacza mnie strach przed kochaniem bez lęku przed stratą, która potem nadejdzie.*

*Bo po co próbować?*

*– Wiem, mamo, że byłaś na tyle odważna, by znowu pokochać. Ale ja nie jestem. Nigdy nie będę tak odważna jak ty.*

*Nigdy więcej nie chcę się tak czuć.*

*Przenigdy.*

*Znowu czuję powiew bryzy, a liść, który wcześniej upadł, zostaje poderwany i uderza mnie w nogę.*

*– Próbujesz mi coś powiedzieć, mamo? – Uśmiecham się przez łzy, zastanawiając się, jakby też wyglądała. Zmarszczki i siwe włosy, którymi by się denerwowała, gdyby je dostrzegła. Marudzenie, dlaczego jeszcze nie wyszłam za mąż i kiedy dam jej wnuki.*

*Normalność.*

*Rzeczy, z których zostałam ograbiona.*

*Rzeczy, których się boję bardziej niż czegokolwiek.*

*Poznałam mężczyznę, mamo. Jest zabawny i przystojny... i wierzy we mnie bardziej niż ja sama.*

*Kocham go.*

*Kocham go i jestem potwornie przerażona, że kochając go, stracę go. Nie mogę mu tego zrobić. Jego rodzinie.*

*Po prostu nie mogę...*

*Łzy płyną mi mocniej, a ja odchylam głowę i pozwalam, by ciepłe słońce wysuszyło je na moich policzkach. Ale one się chyba nigdy nie zatrzymają. W pewnym sensie nigdy nie przestały lecieć.*

*Jak na ironię, to miejsce daje mi taki spokój, jednocześnie będąc miejscem, w którym moje życie się rozpadło. Patrzyłam, jak twarz i ciało mojej mamy zapadają się, gdy żegnałyśmy się tutaj z tatą. Jej też musiałam powiedzieć tutaj „do widzenia”.*

*To tutaj nauczyłam się, że miłość jest zbyt niebezpieczna dla serca.*

*To tutaj zaakceptowałam fakt, że nigdy więcej nie pozwolę sobie już nikogo pokochać.*

*Otwieram oczy i widzę, jak liść, poruszany wiatrem, tańczy w powietrzu kilka stóp nad ziemią.*

*Uśmiecham się, bo patrząc na niego, słyszę jej głos. Wyblakł z czasem, ale w tej chwili wydaje się taki prawdziwy i żywy.*

*Kochanie go jest w porządku.*

*Strach przed utratą go jest w porządku.*

*Ale to nie twoja miłość jest tego powodem.*

*To nie twoja wina.*

*Kręcę głową, jak gdyby ta rozmowa odbywała się naprawdę, a nie tylko w mojej głowie. Dalej dotykam palcami, moje myśli wirują, a serce nadal boli.*

*– Jeśli to prawda, to daj mi jakiś znak, mamo. Daj mi jakiś znak.*



## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY

*Ford*

WSZYSTKO W PORZĄDKU, BRACISZKU? – pyta Ledger. – Brzmisz, jakby coś się stało.

– Nie ma jej.

– W sensie że poszła do sklepu?

– Nie. Odeszła, zupełnie.

– Odeszła? Tak na amen?

– Aha – wzdycham.

– Co zrobiłeś, kurwa, tym razem? – pyta ze śmiechem.

– Prawie umarłem.

Jego śmiech staje się głośniejszy, zupełnie jakbym żartował.

– Pieprzysz.

– Nie. Mówię poważnie. Wszyscy, których kiedykolwiek kochała, umarli, Ledge. Wszyscy. Zastanowiłem się nad tym, dopiero gdy mi o tym powiedziała.

– Czyli boi się, że skoro cię kocha, to ciebie też straci i...

– I nie poradzi sobie już z kolejną stratą.

– Jezu. Ja nawet nie...

– Cholerny epilog...

– Co? – pyta z niezrozumieniem słyszalnym w jego tonie, a ja w końcu dokładam brakujący element.

– Nic, po prostu... – *Ona boi się uwierzyć w szczęśliwe zakończenia. Nie czyta ich, bo po deklaracji miłości w ostatnim rozdziale boi się sprawdzić, co było dalej. Boi się sprawdzić, czy oni dalej są ra-*



*zem. Dlatego ich nie czyta.*

– Po prostu co?

– Nic – powtarzam.

– No... gówniana sytuacja.

– Taa, nie musisz mi mówić – mamroczę. Ostatnie kilka dni było żalonych. Ona we wszystkim jest moją drugą połówką... a teraz, gdy jej nie ma, czuję się cholernie zagubiony.

– Co zamierzasz zrobić?

– A co mogę zrobić? Nie mogę naprawić tylu lat jej myślenia w ten sposób.

– Pewnie, że możesz.

– Nie wiesz, jaka ona jest uparta.

– Mówisz mi, że się poddałeś? To nie jest facet, którego znam. Brat, którego znam.

– Nie poddałem się. Kocham ją, Ledger. – Wzdycham i przejeżdżam dłonią po zaroście. Jest szorstki. Ja jestem, kurwa, szorstki. Wyglądam jak cholerny chodzący trup. Roddy pewnie myśli, że poszedłem w tango, ciągle wstrząśnięty po wypadku śmigłowca, z zaczerwienionymi oczami i zrzędcą.

Ale nie mogę spać.

Nie mogę jeść.

Chcę tylko, żeby wróciła tu, gdzie jej miejsce.

Tutaj.

Przy mnie.

– Muszę po prostu dać jej coś, żeby mieć pewność, że rozumie, że jej strach jest dla mnie ważny, ale że mnie to absolutnie nie odstrasza.

– Jeśli potrzebujesz naszej pomocy...

– Wiem, bracie. Wiem.

*I to była prawda.*

Ellery miała rację. Książka taty była o nim – o *jego* życiu. O jego osiągnięciach. Jego porażkach. Jego wyzwaniach. Jego relacji z mamą i z nami. Ten krótki czas, który poświęciłem na spotkania z prasą, pomógł mi to zrozumieć. Co ważniejsze, ten dzień pomógł zasklepić tę szczelinę, która utworzyła się pomiędzy mną a moimi braćmi.

Wiem, że mnie kochał. Że oni mnie kochają. I że ostatecznie tylko to się liczy.

Dlatego gdy Ledger mówi, że mogę prosić ich o pomoc, wiem, że to prawda. Tak samo jak oni mogli prosić mnie, gdy potrzebowali pomocy w zdobyciu Asher i Sutton. *Bo to właśnie robisz dla tych, których kochasz.*

A ja kocham Ellery.

Pytanie brzmi: co mam zrobić, żeby jej udowodnić, że ją kocham i nigdzie się nie wybieram?

Gdy kończymy rozmowę, kładę się w łóżku, które pachnie nią, otoczony rzeczami, do tworzenia których ona przyłożyła rękę, i wiem, że zrobię wszystko, żeby ją odzyskać.

Przejdę nawet przez cholerny ogień.



## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY PIERWSZY

*Ellery*

ZBIERAM W SOBIE WSZYSTKIE SIŁY, żeby wyjść z samochodu.

Zajazd stoi przede mną w całej swojej przebudowanej chwale. Jakie to ironiczne, że stałam tu kilka miesięcy temu, z kieszeniami pełnymi nadziei i zupełnie nieświadoma tego, jaką szansę dostanę – jeśli jakkolwiek.

Dało mi to nowe poczucie siebie, wiarę w swoje zawodowe umiejętności, której nie byłam świadoma, a teraz mam na koncie ogromny projekt, który mogę wykorzystywać jako swoje referencje.

Dało mi to szansę, by zobaczyć, że potrafię czuć. Przyjmować miłość... a teraz... teraz muszę przygotować się na spotkanie z kimś, kogo chcę kochać, ale jestem zbyt przerażona, by sobie na to pozwolić.

I może dlatego dalej siedzę w samochodzie, z jedną nogą na zewnątrz, drugą nadal w środku, zbierając się na odwagę, żeby zobaczyć się z Fordem po raz pierwszy od dwóch tygodni. Jasne, rozmawialiśmy mailowo. I podczas spotkań online, podczas których towarzyszyło nam wielu innych ludzi.

Ale nie widziałam go. Nie miałam z nim ani jednej rozmowy sam na sam.

Aż do teraz.

Dzisiaj jest dzień kontroli wykonawców. Dzień, w którym ludzie, którzy sprawili, że moje marzenie stało się rzeczywistością, zobaczą skończony produkt, to, do czego przyłożyli rękę, zanim otworzymy go dla gości.

Za nic w świecie bym tego nie przegapiła, nawet jeśli to oznacza spotkanie z Fordem jeszcze przed otrzymaniem odpowiedzi, znaku czy jakiegokolwiek absurdałnej rzeczy, na którą czekam, a która mi powie, że kochanie go jest w porządku.

Że to w porządku się bać, a mimo to go kochać.

Patrzę na ten swój nowy początek. Myślę o wspomnieniach, które w środku stworzyliśmy. O partnerstwie, które scementowałam. I tęsknię za nim bardziej, niż byłam sobie w stanie wyobrazić.

– To dzień na mnóstwo nowych rzeczy, Sinclair – mamroczę do siebie, po czym biorę głęboki oddech i wysiadam z samochodu.

Zajazd wygląda niesamowicie. Z zewnątrz jest zachwycający, ze swoim wspaniałym krajobrazem i świeżo postawionym kamiennym murem obwodowym. Uśmiech pojawia się automatycznie. Moja wizja została zrealizowana i czuję nagle uczucie żalu, że przegapiłam ostatnie dwa tygodnie tutaj. Że nie byłam częścią tych drobnostek i problemów, których rozwiązanie wymagało pewnie od Forda i Roddy'ego wiele wysiłku. Że nie było mnie tutaj, żeby dokończyć dzieło, które tak nagle z Fordem rozpoczęliśmy.

*Po prostu potrzebuję przestrzeni.*

Czy nie to mu powiedziałam tego pierwszego i ostatniego razu, gdy rozmawialiśmy po moim odejściu? Gdy mu powiedziałam, że pracuję zdalnie z Roddym, żeby mieć pewność, że mimo wszystko moja obecność będzie tam wyczuwalna? Czy nie to powtarzałam w swojej głowie każdej nocy, gdy zasypiałam zmęczona płaczem? Czy nie to powtarzałam, jadąc tutaj, tylko po to, żeby uleciało przez okno, gdy się zatrzymałam?

O wiele łatwiej było mi słuchać własnych próśb, gdy byłam z dala od Forda. Ale teraz, gdy tu jestem i mam pewność, że on jest w środku, idąc w jego stronę krok za krokiem, jestem mieszańką wszystkich emocji, jakie można sobie wyobrazić.

Nadal jest kilka rzeczy, które trzeba poprawić czy skończyć. Nawet teraz nie mogę przestać ich szukać. Prawa okiennica na czwartym piętrze, w trzecim oknie od prawej jest trochę przekrzywiona. Roślina na lewym rogu już umarła. Doniczki przed drzwiami wejściowymi nie są ustawione równo po obu stronach.

I nie ma szyldu z nazwą zajazdu.

Zakładam, że to moja wina. On zapytał, a ja nigdy nie dałam mu odpowiedzi. Może czułam, że na to nie zasługuję albo że sam wymyśli nazwę. A może bałam się na stałe zostawiać ślad na czymś, czym nigdy więcej nie będziemy się już dzielić.

*Przestań tak myśleć, Elle.*

Zacznij myśleć pozytywnie. Zrób ten kolejny krok naprzód. *Negocjowałaś już z ojczymem i oficjalnie związałaś się z S.I.N. na określony czas, z nadzieją, że Ford zobaczy, że jesteś gotowa, żeby się z nim do czegoś zobowiązać.*

*Jeśli nadal będzie cię chciał.*

Otwieram drzwi frontowe, spodziewając się, że na korytarzach będzie się kłębił tłum wykonawców i innych ważnych osób.

Ale nikogo nie widzę.

Przechodzę z jednego miejsca w drugie. Cisza jest ogłuszająca, a ja sprawdzam w telefonie, czy czegoś nie pomyliłam. Upewniam się, że na zaproszeniu jest dzisiejsza data.

Jest.

– Halo? – wołam, czując się obco w miejscu, które należy do mnie.

Częściowo.

Fifty-fifty.

Ta myśl wywołuje na mojej twarzy cień uśmiechu, a po chwili dobiega do mnie głos wołający:

– Tutaj!

Idę w stronę baru na dachu, spodziewając się, że impreza odbywa się właśnie tam, ale wchodzę do kompletnie pustej przestrzeni.

Wstrzymuję oddech i przykładam dłoń do ust. Miejsce jest skończone i absolutnie wspaniałe. Miało być wyremontowane na końcu, dlatego przegapiłam czas realizacji, ale... wow.

– Niesamowite, prawda? – pyta Ford zza moich pleców, a ja czuję, że serce zaczyna mi bić szybciej.

Zwieszam na chwilę głowę, przygotowując się na instynktowną reakcję, która nastąpi, gdy go zobaczę.

Ostatnie sekundy, zanim się odwrócę, żeby stanąć z nim twarzą w twarz. Stoi w drzwiach w bluzce z długim rękawem i fajnych džinsach. Włosy ma w nieładzie, tak jak lubię, a nadzieja w jego uśmiechu trzyma w garści każdą smutną, przerażoną, *pełną nadziei* część mnie.

Kocham go.

Mam szansę go kochać.

To samo powtarzałam sobie ciągle na nowo przez ostatnie tygodnie. Te same frazy, na które uczyłam się nie krzywić, albo nie bronić się przed nimi, gdy je mówię.

Bo to prawda. Bez względu na to, jak bardzo mnie to przeraża, kocham Fordhama Sharpe'a.

– Wykonałeś świetną robotę – mówię lekko.

– Nie, my wykonaliśmy świetną robotę. – Uśmiecha się łagodnie. – Dobrze wyglądasz, Selery Ellery.

– Ty też, Uniwersytecie Fordham. Gdzie są wszyscy?

Chichocze, spogląda na podłogę, a potem na mnie.

– Będą tutaj za pół godziny. Bardzo możliwe, że zmieniłem godzinę na twoim zaproszeniu, żebyś przyjechała pierwsza. Wiesz, taki ze mnie egoista.

– Ford...

– To był żart, Ellery. Jeszcze nam nie przeszło?

– Tak. – *Proszę, kochaj mnie nadal. Proszę, powiedz mi, że nie jest za późno.* – No dobra, najpierw zobaczyłeś się ze mną. Co teraz?

– Kilka rzeczy.

– Jakich?

Podchodzi do lady, na której prawym końcu leżą papiery. Nie jestem pewna, czy cieszę się, że zajął się kwestiami zawodowymi – dając mi trochę czasu – czy zła. Czego się spodziewałam, skoro go zraniłam? Że weźmie mnie w ramiona i powie, że mnie kocha, mimo że już raz go odrzuciłam?

Biorę głęboki wdech, czując, że wkrada się we mnie zwątpienie. Czy czekałam zbyt długo? Poszedł naprzód? Spóźniłam się?

Ale gdy się odwraca i patrzy na mnie, po czym z uśmiechem rozświetlającym twarz pokazuje mi, żebym podeszła, wiem, że będzie dobrze.

Ma sposób, który na mnie działa. Osłabia moją panikę.

Ciekawa podchodzę do papierów, w zasadzie grafik, a potem otwieram szeroko usta, gdy widzę je wszystkie. Na ladzie leży około dziesięciu różnych makiet możliwych logo i oznakowań zajazdu.

Ale to nie mistrzowskie projekty sprawiają, że do oczu napływają mi łzy. To nazwa zajazdu, którą Ford wybrał.

*Azure. Sygnowana Kolekcja Sharpe'ów.*

Próbuję mruganiem odpędzić łzy, ale ponoszę porażkę, patrząc na nazwę, która tak wiele dla mnie znaczy.

– Ford? Czy ty wiesz...

– Wiem – szepcze, podchodząc do mnie. – Delia Azure Sinclair-Haywood. Matka jedynej Ellery Jean Sinclair. Pomyślałem, że tylko to będzie pasować, bo skoro ja mam możliwość uhonorowania mojego taty nazwą zajazdu, ty powinnaś móc zrobić to samo.

– Nazwałeś go więc po mojej mamie? – pytam.

– Tak, owszem. Mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko.

*Prosiłam cię o znak, mamo, a ten był potężny i tak lśniący, że nie mogłam go przegapić. Dosłownie i w przenośni. Dziękuję.*

– Fordham... – szepczę. Wyciągam dłoń i przesuwam palcami po projektach, jak gdybym mogła je poczuć, po czym odwracam się do niego. – Dziękuję. To jest doskonałe.

– Nie dziękuj mi. To jest w połowie też twoje. Pamiętaj...

– Fifty-fifty – mówię.

– Fifty-fifty. A następny może być chyba ukłonem w stronę mojej mamy. Kolejny ukłonem w stronę twojego taty... i tak dalej. Chcę znaleźć sposób, by uhonorować wszystkich, których kochaliśmy i straciliśmy, a nie tylko żyć ze stratą.

– Mówisz poważnie?

– Tak.

– Ale dlaczego... to znaczy...

– Prosiłaś o przestrzeń. Dałem ci ją. Ale możesz być pewna, że nie zamierzałem pozwolić ci odejść. Nigdy w życiu. – Zaciska usta i zaczyna bawić się rogiem jednego z projektów, a między nami wirują niewypowiedziane słowa. – Posunąłem się nawet do rozmowy z Garlandem o nowym partnerstwie z Haywood, ale najwyraźniej ktoś mnie uprzedził.

Patrzy teraz na mnie, na jego ustach błąka się uśmieszek, a wzrok zalewa nadzieja.

– Owszem. Widzisz, nie tylko ty bałeś się odpuścić.

Kiwa głową, zupełnie jakby chciał coś powiedzieć, ale powstrzymuje się, jak gdyby bojąc się

zniszczyć tę chwilę.

Moja kolej, żeby się odezwać. Moja kolej, żeby się przed nim otworzyć.

Przygotowałam sobie przemówienia. Wyjaśnienia, wymówki i w zasadzie wszystko inne.

Ale gdy chcę się odezwać, tylko jedna rzecz wychodzi z moich ust.

I to jest ta jedyna, która ma znaczenie.

– Kocham cię, Fordhamie Sharpie. – Bierze gwałtowny wdech, a ja unoszę ręce, żeby przejść przez to, co chcę powiedzieć. Kiwa głową. – Kocham cię i jestem śmiertelnie przerażona, że kochając cię, stawiam cię na celowniku losu. Kocham cię i jestem przerażona, bo nigdy wcześniej nie znałam takiej miłości i nie jestem pewna, co z nią zrobić. Czy dać ci ją po tym, jak cię odepchnęłam, z nadzieją, że ją przyjmiesz? Czy mam ci powiedzieć „oto ona”, a potem, że nie masz wyjścia, bo nigdy nie pozwolę, żebyś dał mi odejść? Co mam zrobić, Ford, bo jestem zagubiona i przerażona, że jest za późno i...

Podchodzi do mnie i przyciska swoje usta do moich.

– Ford. Chcę tego epilogu teraz. Chcę go przeczytać. Pokochać go. Żyć nim.

– Jesteś pewna?

Zagryzam dolną wargę i kiwam głową.

– Jestem pewna.

Uśmiech rozjaśnia mu twarz.

– Co się zmieniło?

Uczciwe pytanie. Dużo o nim myślałam.

– Ty. Ty mnie zmieniłeś. Twoja niezachwiana wiara we mnie. Twoja nieustająca miłość do mnie. Twoja cierpliwość. Twoja przyjaźń. Po prostu ty, Ford. Ty jesteś tym, co mnie zmieniło.

– Teraz cię pocałuję.

– Dlaczego mi to mówisz? – śmieję się.

– Bo to będzie warte romantycznej powieści. Takiej, po której napiszesz cholernie dobry epilog – szepcze tuż przy moich ustach.

– Śmiało.

Dwa tygodnie bez jego smaku to długo. Bez jego dotyku. Bez jego miłości.

Jak mogłam myśleć, że wolno mi odejść? Że mój strach przed utratą jest większy od siły jego miłości?

Bo strach tak działa.

A Ford jakimś cudem nauczył mnie, że miłość odpiera to ryzyko.

Gdy kończymy się całować, a ja dokładnie przypominam sobie, jakie ten mężczyzna potrafi siać we mnie spustoszenie, i jak bardzo za nim tęskniłam, Ford się odsuwa i otula moje policzki dłońmi.

– Wyjaśnijmy coś. Ty, Ellery Sinclair, nie zrobiłaś ze mnie celu. Nie przekłęłaś mnie, nie rzuciłaś na mnie klątwy czy cokolwiek tam uważasz. Dopełniłaś mnie i zrobiłaś to w sposób, jakiego się nigdy nie spodziewałam. Swoją miłością do mieszanki zarazków i upodobania do lodowych batoników. Swoim pragnieniem wiedzy i miłością do powieści romantycznych. Od potrzeby przeczytania książki mojego ojca do lepszego zrozumienia mnie. Sposobem, w jaki na mnie patrzysz z drugiego końca pokoju, i sprawiasz, że czuję, jakbym był w nim jedyny. I tym, że nie boisz się obdarzać trudną miłością, nawet jeśli ma cię ona po prostu chronić przed zbytnim zbliżaniem się, a mnie wysłać na śmierć w wodach rzeki Hudson.

– Ej...

– Żartuję tylko. – Śmieje się i podnosi ręce w geście poddania, po czym ponownie obejmuje moją twarz dłońmi. – Ty... ty jesteś największym bólem w mojej dupie i największą miłością mojego życia. – Składa mi pocałunek na ustach. – Ojciec powiedział mi kiedyś, że poznam, że to *ta jedyna*, gdy będę gotów przejść przez ogień, żeby do niej dotrzeć. Te ostatnie dwa tygodnie, w czasie których czekałem na ciebie, były jak przechodzenie przez ogień. I wiesz co? Chętnie zrobiłbym to ponownie tysiąc razy, żeby tylko usłyszeć, jak znowu mówisz mi te słowa.

– Co to były za słowa? – drażnię się z nim, czym zasłużyłam sobie na klapsa w tyłek i kolejny, namiętny pocałunek. – Kocham cię, Fordhamie Sharpie. Teraz. Zawsze. Nawet, gdy jestem przerażona. Nawet gdy się ich boję. Nawet gdy czuję, jakbym nie mogła cię już dłużej kochać, kocham cię.

– Co? Tak po prostu? Bez negocjacji? – Śmieje się, zakładając mi kosmyk włosów za ucho. – Straciłem dla ciebie głowę, Selery Ellery.

– A co takiego chcesz negocjować? – mrużę oczy, udając powagę.

– Rzeczy. Tak wiele rzeczy. – Ponownie czule mnie całuje. – Na przykład to, że gdy wrócimy do miasta, wprowadzisz się do mnie.

Powinam powiedzieć, że jestem w szoku, że moją naturalną odpowiedzią byłoby nie, ale czy tutaj nie mieszkamy już razem?

– Życ z tobą? – pytam. – Tylko jeśli będziemy mieć psa.

– Psa? – wybucha śmiechem.

– Aha. Psa. To wymóg.

– Okej. – Potakuje. – Co jeszcze?

Mój umysł pędzi z prędkością miliona mil na godzinę. Jak trudno było przyjąć tę miłość, a teraz, gdy to zrobiłam, jak cholernie łatwo jest skoczyć w to na główkę.

– Nie jestem jeszcze pewna, ale rezerwuję co najmniej trzy rzeczy, które dorzucę, gdy będę mogła normalnie myśleć.

Przesuwa palcem po moich plecach, unosi rąbek koszuli i przesuwając nim po mojej skórze.

– Dlaczego nie możesz normalnie myśleć? Czy coś cię rozprasza?

Śmieję się. To jest takie dobre uczucie.

– Może. Może potrzebuję jeszcze trochę rozproszenia. – Staję na palcach i całuję go.

– Rozpraszenie rozpoczęte. – Jego jęk jest wszystkim, czego potrzebuję, by wiedzieć, że jego ciało jest nastawione teraz na to samo co moje. Równie mocno potrzebuje i pragnie. – Teraz żałuję, że zwołałem wszystkich trzydzieści minut, a nie na godzinę później.

– Dlaczego?

– Bo chcę się z tobą kochać po raz pierwszy, Ellery. – Uśmiecha się szeroko. – Takie słowa są dość tandetne, ale do diabła z tym. Będę używał słowa *miłość* za każdym razem, gdy dostanę szansę, żebyś się do niego przyzwyczaiła. Żebyś się go już więcej nie bała.

– Wprowadzić się do ciebie. Mieć psa. *I od razu się kochać. Wow, Sharpe.* No, nie wiem. – Drażnię się z nim, walcząc z uśmiechem. – Czy to twoja ostateczna propozycja?

– Skarbie, dopiero się rozkręcam. – Rozradowany odchyła głowę, żeby na mnie spojrzeć, a uśmiech, który mi posyła, sprawia, że miękną mi kolana. Jego słowa jeszcze bardziej. – Nie. Będiesz wiedzieć, kiedy się oświadczę. – Niewinny pocałunek. – I to nie będzie podlegało żadnym negocjacjom.



## ROZDZIAŁ PIĘCDZIESIĄTY DRUGI

*Ford*

*Trzy miesiące później*

NAPRAWDĘ UWAŻASZ, ŻE TO NAJLEPSZA OPCJA? – Ellery spogląda na mnie. Siedzi oparta o zagłówek łóżka w moim... yyy, *naszym*... apartamencie. Na udach trzyma laptop, włosy ma spięte na czubku głowy, a twarz pozbawioną makijażu.

*Jezu.*

Czasami jej widok wprawia mnie w osłupienie. Jak to się stało, że mam takie szczęście? Jak do tego doszło, że wybrała mnie?

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – pyta, marszcząc brwi i zaciskając usta.

– Bez powodu. – Szczerzę zęby. – Czasami po prostu mnie to uderza. To. Ty. My. – Wzruszam ramionami.

– Fordhamie Sharpie, robisz się przy mnie miękki? – drażni się ze mną.

– Nie tam, gdzie ma to znaczenie. – Puszczam do niej oko, rozśmieszając ją, po czym nachylam się nad jej laptopem. – Na twoje pytanie odpowiadam: tak. Park City jest zimowym placem zabaw bogaczy. To świetne miejsce dla Signature Sharpe. Drogie. Ekskluzywne. A jeśli sukces Azure jest jakimkolwiek wyznacznikiem, to ludzie lubią afiszować się swoim „wyjątkowym” doświadczeniem.

I, cholera, robią to.

Azure ma rezerwacje na następne osiemnaście miesięcy, a jesteśmy otwarci dopiero od dwóch. Wieści szybko się rozeszły wśród elit i kręgów celebryckich. I dzięki, kurwa, za to.

Oczywiście było kilka potknięć, jak to zwykle bywa w przypadku tego, co nowe, ale udało nam się je zminimalizować i szybko naprawić.

I nie będę kłamać, będę rzucał tym sukcesem moim braciom w twarz za każdym razem, gdy nadarzy się okazja. Oni robiliby to samo.

– Okej. – Kiwa głową i przygryza końcówkę długopisu. – Zatem Park City.

– Wiedziałem, że... – Dzwoni dzwonek do drzwi i nasza adoptowana kundelka, Chex, podnosi głowę, jak gdyby musiała się namyślić, czy ją to obchodzi, po czym uznaje, że nie, i kładzie ją z powrotem.

Jedynymi ludźmi, którzy przychodzą bez zapowiedzi portiera, są moi bracia.

– Co, do cholery, oni tutaj robią?

– Nie wiem – odpowiada Ellery, zdejmując laptop z kolan i wstaje z łóżka.

Chwilę potem otwieram drzwi i patrzę podejrzliwie na stojących w nich Ledgera i Callahana.

– Znowu działacie w tandemie. Czym tym razem powinienem się martwić?

*I znowu to samo.*

– Mam coś dla ciebie – mówi Ledger i, mijając mnie, wchodzi do salonu, jakby był u siebie.

– Cześć. Jak się dzisiaj masz, Ford? Przeszkodził nam w czymś? Możemy wejść? – drażnię się, idąc za nimi. Za mną rozlega się śmiech Ellery.

– Zaufaj nam – mruczy pod nosem Callahan i to akurat zaczyna mnie martwić.

Zerkam na Ellery, a ona wzrusza ramionami.

– Możesz korzystać z AirPlay z mojego laptopa na swoim telewizorze? – pyta Ledger, doskonale wiedząc, że tak.

– Jasne, ale... możesz mi powiedzieć, co, do cholery, się dzieje?

Uśmiech Callahana mnie niepokoi. Ostatnim razem tak się uśmiechał, gdy pokazali mi nagranie z kamery w windzie, którą jechałem z kobietą, z którą się wtedy spotykałem. Uznali, że to będzie prze zabawne, gdy skrytykują moją technikę.

Pieprzone dupki.

– To nie to – mówi Ledger i wybucha śmiechem.

– Nie co? – pyta Ellery.

– Lepiej, żebyś nie wiedziała – mówię i całuję ją w policzek, co sprawia, że tym bardziej chce wiedzieć więcej.

– Usiądź – oznajmia Callahan, ale ponieważ tego nie robię, chwytam mnie za rękę i popycha na kanapę.

– Co do diabła... – Ale milknę w tej samej chwili, w której słyszę głos ojca wypełniający pokój i widzę go na ekranie. Siedzi na krześle, z jedną kostką na kolanie drugiej nogi. Opiera się, ramiona rozłożone po obu stronach, usta zaciśnięte.

Serce podskakuje mi do gardła. Usłyszeć ten dźwięk, zobaczyć go... Zerkam na Ledgera i Callahana, a oni tylko pokazują mi, żebym patrzył na ekran.

– Proszę mi opowiedzieć o Fordhamie – pyta osoba zza kamery, a ja dokładnie wiem, co to jest.

Taśmy z wywiadem na potrzeby biografii.

Uśmiech mojego ojca jest nostalgiczny, rozkochany, a mnie do oczu napływają łzy wywołane odpowiedzią, której udziela na pytanie o mnie.

– Fordham jest... on jest niezwykłym chłopakiem. Ciężko pracującym. Oddanym. Ma cholernie wielkie serce. Jeśli szuka pan pikantnych historii o nim, to ich pan nie znajdzie. Trzymał się z dala od kłopotów, poza sytuacjami, w których przyjmował na siebie winę za coś, co zrobił Callahan. – Ojciec śmieje się i przesuwając dłoń po twarzy w geście podobnym do tego, jaki ja właśnie robię.

To sprawia, że się uśmiecham.

– Dzięki, chłopie – mówi Callahan, klepiąc mnie po ramieniu. – Ciągle mam za to u ciebie dług. – Byłem tak urzeczony widokiem ojca na ekranie, że nie zauważyłem, gdy Ledger i Callahan usiedli po moich obu stronach.

– Żartowaliśmy z Carly, że Ford jest skałą w naszej rodzinie. Jeśli potrzebowałeś pomocy, on tam był. Jeśli potrzebowałeś z kimś pogadać, on tam był. Jeśli ktoś musiał przyjąć rolę mediatora pomiędzy Callahanem a Ledgerem, on to robił. Fordham strzelał najlepszymi żartami, gdy najbardziej tego potrzebowaliśmy. Odczytuje emocje lepiej niż ktokolwiek, kogo znam, i wie, jak skomentować sytuację, żeby załagodzić sytuację albo kogoś uspokoić. Martwił się o wszystkich, bo chciał, żeby zawsze wszystko było dobrze. Nie przejmował się tym, że był w cieniu braci, bo jego własne światło i tak zawsze się przebijało.

– Wydaje się świetnym facetem.

– Zdecydowanie najlepszym. – Mój tata patrzy na rozmówcę i uśmiecha się tak, że mam wrażenie, jakby patrzył prosto na mnie. – Żartowaliśmy z Carly, że był takim dzieckiem, które w każdej sytu-



acji wiedziało, co zrobić. Był *Po prostu Fordem*. Hm. – Mój tata ponownie się uśmiecha, a ja po jego nieobecny spojrzeniu widzę, że przez głowę przemyka mu jakieś wspomnienie.

– Co to znaczy?

– Tak właśnie mówiliśmy o nim z Carly. *Po prostu Ford*. Zapomniałem o tym. Gdy leżeliśmy wieczorem w łóżku i rozmawialiśmy o tym, jak nam minął dzień... Za każdym razem, gdy któryś z naszych pozostałych chłopców źle się zachowywał albo wpadał w kłopoty, ona zwykle mawiała: „Dlaczego nie mogą być po prostu tacy jak Ford?”. Śmiałyśmy się i mówiliśmy, że to wobec nich nie fair... Ale to z nami zostało i ostatecznie zostało skrócone do *Po prostu Ford*”. – Chichocze. – Boże, czuję, jakby to było wieki temu.

– Po prostu Ford – mówi rozmówca.

– Tak. Ford jest... rozjemcą w naszej rodzinie. Zachowuje równowagę w naszym, czasami burzliwym, życiu. To jest... *Po prostu Ford*.

Nagranie się kończy, ale ja nadal wpatruję się w ciemny ekran, słysząc jego głos i widząc jego uśmiech.

*Po prostu Ford*.

To znaczyło dla niego o wiele więcej, a ja odczytałem to na początku jako obojętność.

Moje policzki są mokre od łez. Nawet nie wiem, kiedy popłynęły, i gównu mnie to obchodzi. Przy mnie są tylko moi bracia i Ellery. Troje ludzi, którzy liczą się w moim życiu najbardziej.

Ledger ściska mój kark i popycha mnie w przód i w tył, a Callahan klepie mnie po plecach.

Podnoszę wzrok, szukając Ellery. Jej policzki lśnią od łez, ale uśmiech, który mi posyła, mówi wszystko.

*Ona cały czas wiedziała, że w tej historii jest coś więcej.*

Tak jak moi bracia. I postanowili mi to udowodnić.

Troje ludzi, którzy znaczą dla mnie na tym świecie najwięcej, zna prawdę. Wiedzą, co kryje się za słowami *Po prostu Ford*. Moja mama miała rację. Tylko ich opinia o mnie ma znaczenie.

Po prostu Ford.

To określenie nieźle brzmi i chętnie je sobie zostawię.



## EPILOG

*Ellery*

WIESZ, ŻE MOGŁAŚ WYBRAĆ JAKIEKOLWIEK MIEJSCE na Ziemi.

– Wiem – szepczę, przyciskając usta do jego. Przyciąga mnie do siebie i po prostu trzyma mocno w tym jednym miejscu, w którym nigdy nie czułam się bezpieczniej. – Ale to tu chciałam być. Tu, gdzie wszystko się zaczęło.

Późne popołudniowe słońce sprawia, że piasek wydaje się jeszcze bielszy, a kolory kwiatów żywsze. Plaża za Azure została zamieniona w raj, w który nawet ja nie mogłam uwierzyć, gdy go dzisiaj zobaczyłam.

Wszędzie porozwieszano girlandy świateł. Na drzewach. Na stołach. Parkiet do tańczenia na piasku. Małe zgromadzenie tych, których najbardziej kochamy... i moich braci. Nasza relacja wciąż wymaga pracy, ale przynajmniej ta *praca* się pojawiła. Przynajmniej jest.

– Trudno się nie zgodzić. – Ford patrzy na mnie z miłością widoczną na jego całej twarzy. – Nadal nie mogę w to uwierzyć. – Muska mnie ustami.

– Ja też nie.

– Czy jest pani gotowa, pani Sharpe?

To nazwisko.

Teraz jest moje.

A raczej jest moje od całych czterech godzin i trzech minut i już czuję się z nim tak dobrze, że nie mogę się doczekać, jak to jest być panią Sharpe do końca życia.

*Wyszłam za mąż.*

Za samego Fordhama Sharpe'a.

Kobieta, która bała się miłości, która ją odpychała, nie może sobie wyobrazić, że miałaby nie kochać tego mężczyzny.

A teraz jest mój na zawsze i zaczynamy właśnie naszą wspólną podróż.

Zerkam przez zasłony, żeby przyjrzeć się naszym gościom stojącym po obu stronach ścieżki prowadzącej do limuzyny. Fordham chwyta mnie za rękę i uśmiecha się, otwierając drzwi.

Uderza nas hałas. Gdy wychodzimy, towarzyszą nam śmiechy, wiwaty i okrzyki.

Jak się tu znaleźliśmy?

– Zróbmy to – mówi Ford, ściskając moją rękę, po czym stawiamy pierwsze kroki w stronę naszej wieczności.

*Deszcz i wiatr dosłownie zbijają mnie z nóg, gdy próbuję dojść do zajazdu. Chandler rozwodzi mi się w słuchawce o projekcie, nad którym pracuje, zupełnie jakbym nie stawiała czoła tropikalnej burzy i nie unikała uderzeń pioruna.*

– Halo? Słyszales, co mówię? – powtarzam już chyba dziesiąty raz. On mnie nie słucha, tak bardzo zajęty sobą. – Zamknijcie. Utknęliśmy.

– Doskonała obserwacja. Utknęliśmy tu wszyscy z pewnego powodu i nie jest nim atmosfera – mamrocze facet po mojej lewej, gdy rzucam torbę na podłogę obok jedyne wolnego stolka w tym zapomnianym przez Boga miejscu.

– Nie wydaje mi się, żebym mówiła do ciebie – odwarkuję. Zajmij się swoimi sprawami, koleżko.

– Dobrze. Świetnie. Chwila. Zamknęli drogi?

*Dopiero wtedy podnoszę wzrok i patrzę w oczy tego gburowatego dupka, który się wtrąca, chociaż go o to nie prosiłam. Chandler dalej gędzi mi do ucha, ale nie słyszę ani słowa z tego, co mówi, bo zostałam powalona przez parę zachwycających bursztynowych oczu.*

*Przez siedzącego przede mną człowieka, który sprawia, że mój puls przyspiesza.*

Mijamy Callahana i Sutton. Ich dwie córeczki, Maxine i Carly, obie ubrane w białe sukienki z falbankami i z kwiatowymi koronami w kręconych włosach. Sutton wyciąga rękę i ściska moją dłoń, uśmiechając się uspokajająco i szczerze, a Callahan przybija bratu piątkę i mówi coś, co sprawia, że obaj wybuchają śmiechem.

– No dalej, Selery Ellery. Daj mi szansę. Daj nam szansę. – Wyciąga rękę – tę samą, której nie podał na powitanie mojemu bratu. – Umowa stoi, partnerko?

– Nie wierzę, że się na to zgadzam – jęczę, czując nagłe uderzenie podeksytowania.

– Czy to znaczy tak?

*Patrzę mu w oczy, przyjmuję jego uśmiech i wyciągam rękę. Co ja, do diabła, wyprawiam?*

– Tak.

Następni są Ledger i Asher. Stoją z szerokimi uśmiechami na twarzach. Asher trzyma w ramionach ich dwumiesięcznego synka, Olivera. Chłopiec śpi głęboko. Ledger otula ją ramieniem i przyciąga do siebie.

– Bawcie się dobrze! – mówi Asher półgłosem i wyrzuca w powietrze garść czegoś, co spada dookoła nas.

– Selery Ellery.

– Uniwersytecie Fordham – odpowiadam z niewzruszonym wyrazem twarzy – bo on wygląda na cholernie poważnego – po czym wybucham śmiechem.

*Wskakuje na łóżko i zaczyna mnie laskotać, aż tracę oddech i zrzucam go z siebie.*

*Nasze usta spotykają się w najczulszym z pocałunków.*

– Miałem mnóstwo planów z tym związanych. Wyrafinowanych. Ich realizacja ruszyła, a potem została wstrzymana na wiele tygodni, żeby poczekać na właściwą chwilę. Ale... ja już nie chcę dłużej czekać.

– Ford. – Jego imię jest ostrzeżeniem i wołaniem o nadzieję.

*Zrywa się i siada na mnie okrakiem, a ja czuję, że jego nieśmiały uśmiech zawładnął moim sercem.*

– Mogę ofiarować ci świat w każdej ilości, którą sobie zazyczysz. Mógłbym ci kupić wszystko, co zechcesz, zabrać w jakieś odległe miejsce albo napisać to fajerwerkami na niebie. Mógłbym umieścić reklamę na Times Square albo zaplanować jakąś wymyślną grę... ale myślę, że żadna z tych rzeczy nie miałaby dla ciebie znaczenia. Pompa i okoliczności to nie twoja bajka... bo tobie od pierwszego dnia chodziło o nas. Widzisz prawdziwego mnie. Widziałas to, a mimo to mnie wpuściłaś. Wyjdź za mnie, Ellery. Wyjdź za mnie i napiszmy ten epilog razem, a potem go przeżyjemy.

*Uśmiecham się przez łzy. Wiedziałaś, że to kiedyś nadejdzie. Rozmawialiśmy o tym, żartowaliśmy*

*na ten temat i wiedziałam, że to nieuniknione. Ale nawet świadomość tego nie przygotowała mnie na emocje, które pojawiły się, gdy usłyszałam te słowa i spojrzałam mu w oczy.*

*Wyciąga rękę i spod swojej poduszki wyjmuję pudełko z pierścionkiem. Otwiera je i w środku widzę cudowny pierścionek z owalnym kamieniem umieszczony na niebieskiej, aksamitnej poduszczyce.*

*Ale on ma rację. Nie zależy mi na pompie, miejscu czy blasku dokoła. Widzę tylko jego. Chcę tylko jego.*

*– Twoje milczenie mnie zabija, Ellery.*

*– Myślę, że znałam odpowiedź tej nocy, gdy się poznaliśmy. Być może przyznanie się do niej zajęło mi chwilę, ale...*

*– Ale dzięki, cholera, że tak się stało. Zatem?*

*– Tak. Oczywiście, że tak. Jak mogłabym powiedzieć coś innego?*

*Gdy mijam Garlanda, delikatnie kiwa mi głową, a ja wyciągam rękę i ściskam mu dłoń. Szafirowy pierścionek mojej mamy, który przechował i dał mi, żebym miała coś niebieskiego, lśni teraz w miękkim świetle.*

*Przybijamy piątki kilkorgu naszym przyjaciołom, mijamy kartonową, naturalnych rozmiarów postać Chrisa Hemswortha, którą Ford uznał za ważne wspomnienie wieczoru, w którym się poznaliśmy, po czym stajemy na końcu deptaka.*

*Zabawne, że możesz spotkać kogoś w najdziwniejszym czasie i odkryć, że daje ci on radę, nadzieję i wolę, by zmienić coś, czego wcześniej nie miałaś siły zmienić.*

*I dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, czym oni w nas rzucają. Nie jest to tradycyjny ryż, ale mieszanka bez precli.*

*Chwytam Forda za klapę i wybucham śmiechem. On mnie podnosi i kręci się dokoła.*

*– Dla ciebie tylko to, co najlepsze, Selery Ellery.*

*Gdy się zatrzymujemy, zjeżdżam powoli po jego piersi, opuszczana przez niego na ziemię. Nasze usta znowu się spotykają.*

*– Powiedziałaś mi kiedyś, żebym pokazał ci faceta, który wie, co to miłość, i wie, że romantyzm nie zawsze wiąże się z wielkimi gestami, a za niego wyjdiesz. – Wkłada mi kawałek mieszanki w usta, a potem gestem zachęca wszystkich do wiwatowania. – Na szczęście dla mnie, dotrzymujesz słowa.*

*– Zawsze. Na wieki. Tylko ty, Ford. Tylko my.*

*Nasze spojrzenia się spotykają. W oczach lśnią łzy. Kierowca otwiera drzwi samochodu i Ford podchodzi do nich.*

*– Nasz epilog właśnie się zaczyna.*